RUaH

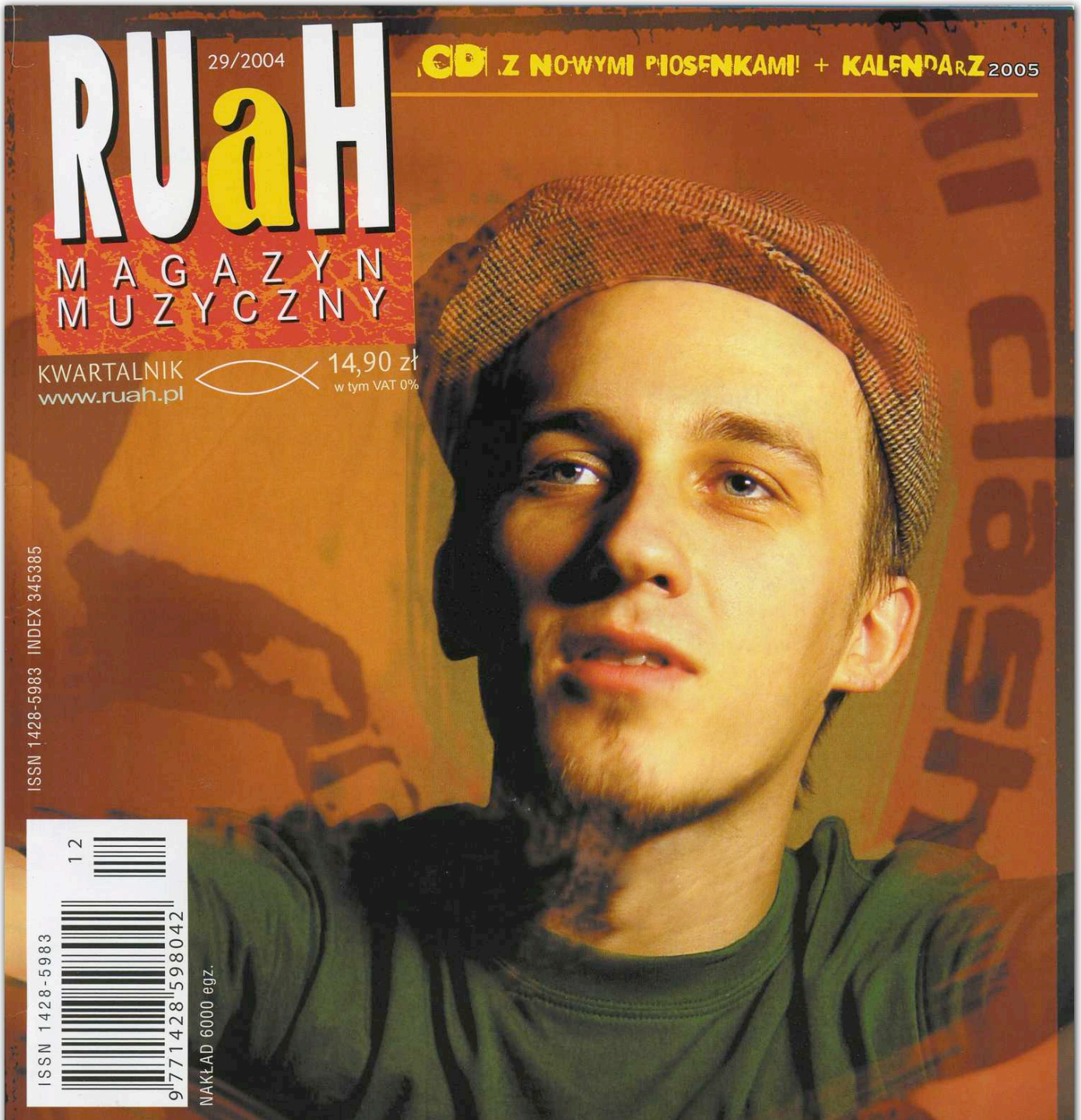
29/2004

MAGAZYN MUZYCZNY

CD Z NOWYMI PIOSENKAMI! + KALENDARZ 2005

KWARTALNIK
www.ruah.pl

14,90 zł
w tym VAT 0%



ISSN 1428-5983 INDEX 345385

ISSN 1428-5983 12
9 771428 598042

NAKŁAD 6000 egz.

POSITIVE FERMENT SOUND
SYSTEM ★ SPEAR HIT ★ LITZA
WORSHIP SAX ★ BONI ★ DEUS MEUS
RICHARD SMALLWOOD ★ MALEO



Przewodnik po CD

Na Święta przygotowaliśmy prezent, który zaskoczy Was pięknymi melodiami i brzmieniami! Na naszej płycie wśród głosów znanych usłyszycie wielu debiutantów, którzy zapowiadają się bardzo obiecująco! Marta Florek, nasz kolega redakcyjny – Adam Rymarz, Ewa Broczek, Małgorzata Bieńkowska, Kasia Kurzawska, Weronika Korthals, Poldek Twardowski, siostra Anna Bałchan, grupa Remont Duszy... Bogu niech będą dzięki! Ich piosenki, czujemy to głęboko, są owocem modlitwy wielu ludzi, ale też działania środowiska muzyków chrześcijan w Polsce przez kilkanaście lat. Nic nie dzieje się w próżni. Jedne talenty pociągają za sobą inne. Cieszy to, że debiutanci stawiają sobie wysoko poprzeczkę w swych poszukiwaniach i dążeniach artystycznym. RUaH życzy im dalszych udanych eksperymentów i piosenek!
A słuchaczom – nowego odkrywania Pana Boga!

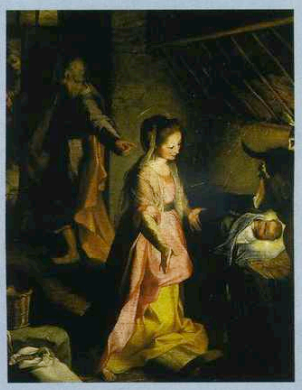
1. Full Power Spirit + Marcin Pospieszalski, DJ HaeM, Darek Malejonek, Lidka Pospieszalska, Viola Brzezińska
   Rozpal serce – sł. Miru, muz. Marcin Pospieszalski i HaeM
2. Marta Florek
   Mam to w sobie – sł. Marta Florek, muz. Marcin Neuman, Marta Florek
3. Full Power Spirit + Dekalog HIP HOP
   Chciałem więcej niż mam – sł. Picia, muz. Grzegorz Piotrowski
4. Inicjatywa Poznańskich Muzyków BOGU JEDYNEMU CHWAŁA
   Nie nam Panie – sł. Ps 115, św. Franciszek, muz. Leopold Twardowski
5. Siostra Anna Bałchan i Przyjaciele
   Bóg jest tu – sł. i muz. Don Moen i Paul Overstreet
6. Ewa Broczek, Adam Rymarz i grupa Odpowiem
   Twój Anioł – sł. i muz. Artur Kaszowski
7. Silence
   Alleluja o poranku – sł. ks. Kazimierz Stasiak SAC, muz. ks. Andrzej Daniewicz SAC
8. Katarzyna Kurzawska
   Każdy dzień upewnia mnie – sł. i muz. Katarzyna Kurzawska
9. Ruth Lynch i Chór II Warsztatów Gospel
   I love The Lord – sł. i muz. Richard Smallwood
10. Magda Anioł
    Kiedyś wino i chleb – sł. i muz. Adam Szewczyk
11. Jestem
    Słowo „razem" – sł. i muz. Michał Obolewicz
12. Sool
    Sól – sł. i muz. Joanna Gajda
13. Ruah
    Teraz wiem – sł. Igor Kwiatkowski, muz. Damian Rypiński
14. Remont Duszy
    Do Pana – sł. na podst. Psalmu 12 - Jan Pleti, muz. zespół

w numerze

6-7/ newsy **8**/ rozmowa z chłopakami z **Positiv Ferment Sound System** **12**/ nowa kapela – **Worship Sax!** **13**/ muzyka, której słucha **Łukasz Musiał** **14**/ Ręce w górze – **Marcin Jakimowicz** o modlitwie uwielbienia **16**/ Księża kontra hiphopowcy – rozmowa z ks. Rafałem Praskim **19**/ **Marta Florek** – udany debiut! **20**/ **Paweł Gzyl z 'Litzą** o problemach współczesnego świata **23**/ **Rafał Boniśniak** na Czarnym Lądzie – reportaż z Malawi **26**/ Basia Pycel była na trasie z **Deus Meus** **28**/ o nowych projektach – **Tomek Kamiński** **39**/ Spotkanie Młodych w Kolonii – przygotowania! **40**/ **Jacek Kowalski** o śpiewach u dominikanów w Poznaniu **42**/ Reggae we Francji – rozmowa z muzykami **Spear Hit** **44**/ Battle of The Year, a sprawa polska – **Historia breakdance** (2) **46**/ o muzyce **trance** – Marek Horodniczy **47**/ o **Festiwalu Stróżów Poranka** – Marcin Jakimowicz **48**/ Brat Marek o śpiewach w **Taizé** **50**/ Uwagi na marginesie **Kongresu Muzyki Liturgicznej** – Cezary Sękalski **52**/ Misterium uwielbienia (6) – **Piotr Płecha** **54**/ Gospel na warsztacie – **Richard Smalwood** **56**/ **Maleo** o ciekawym Festiwalu w Bułgarii! **58**/ recenzje płyt **60**/ Archiwum Y: **Kraków Gospel Choir** +„Zapistnik" **Tośki Krzysztoń**

Chrystus rodząc się,
przynosi światu
najpiękniejsze melodie i piosenki!
W każdym ich dźwięku
słychać MIŁOŚĆ!
Życzymy Wszystkim Wam,
byście ją odkryli
i chcieli przesyłać dalej
- wszystkim, których postawił
na Waszej drodze!
Redakcja RUaH.

BOŻE NARODZENIE 2004



RUaH MAGAZYN MUZYCZNY
numer **29**

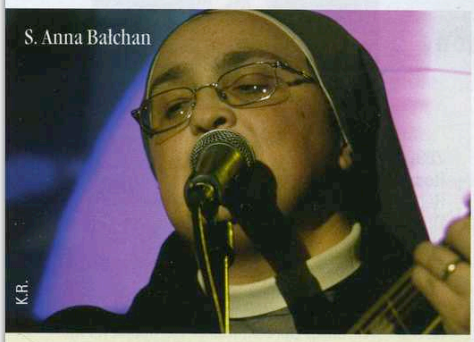
WYDAWCA / REDAKCJA:
paganini
Małgorzata i Weronika Kotarba
31-135 Kraków, ul. Batorego 25/11,
tel./fax 012-623 71 81, tel. 012-623 71 82
e-mail: firma@paganini.com.pl
RUaH w Internecie: www.ruah.pl
www.paganini.com.pl
Druk: Drukarnia Eikon Plus, Kraków, ul. Batorego 25
Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie bierze odpowiedzialności za treść i formę reklam.
Na okładce: Łukasz 'Pesy Musiał
Fotografia na okładce: Paweł Brakowiecki

ZESPÓŁ:
Redaktor naczelny: Janusz Kotarba
Redaktor programowy: Andrzej Bujnowski OP
Opracowanie graficzne: Andrzej Bujnowski OP, Grzegorz Gielert
Sekretariat redakcji: Weronika Kotarba
Korekta: Kinga Chojnacka
Stali współpracownicy: Rafał Boniśniak, Jan Bujnowski, Weronika Gurdek, Marek Horodniczy, Piotr Iwicki, Marcin Jakimowicz, Przemek Kawecki, Jacek Kowalski, Antonina Krzysztoń, Darek Malejonek, Beata Mencel, Patrycja Michońska, Michał Nolywajka, Marcin Perfuński, Piotr Płecha, Barbara Pycel, Krzysztof Raczyński, Maciej Syka, Adam Rymarz, Cezary Sękalski, Jan Trębacz, ks. Grzegorz Ułamek, Grzegorz Wacław, Jan Walczewski, Tomasz Wienke, Monika Zytke, Jakub Żmidziński


K.R.

Tegoroczny Dzień Papieski w naszym kraju po raz kolejny uświetniły koncerty transmitowane tym razem nie tylko przez TVP1, ale i POLSAT. 25 października w Stróżach pod Nowym Sączem (transmisja: POLSAT) wystąpili m.in. – **Grażyna Łobaszewska, Krzysztof Zalewski, Kinga Preis, Darek Malejonek, Angelica Korszyńska-Górny, Marcin i Mateusz Pospieszalscy, Piotr Stopa Żyżelewicz, Natalia Kukulska, Kapela Sobka Karpiela Bułecki** i zespół ludowy **Kowalnia**. Widowisko reżyserował Jerzy Bielunas, a piosenki aranżowali bracia Pospieszalscy. Na Placu Zamkowym w Warszawie (transmisja: TVP1) 10 października zaśpiewali dla Ojca Świętego, m.in.: **Mieczysław Szcześniak, Stanisław Sojka, Ryszard Rynkowski, Ewa Bem, Justyna Steczkowska, Anna Maria Jopek, Andrzej Dziubek** (De Press), **Jacek Dewódzki, Anastasis**, a także grupy z zagranicy: **Leyenda** (Peru), **Akulu Naam Rabbi** (Liban), **Sagi Cohen, Gavriel Butler, Ronit Hilel** (Izrael). Koncert reżyserował Bolesław Pawica, a piosenki aranżował Krzysztof Herdzin.

Konin Gospel Choir świętował swoje pierwsze urodziny! Z tej okazji 3 listopada w GDK „Oskard" w Koninie odbył się wyjątkowy koncert z udziałem amerykańskiego wokalisty, kompozytora i instruktora muzyki gospel – Norrisa Garnera oraz laureata tegorocznego Festiwalu Muzyki Gospel w Osieku – Basandy ze Szczecina, kierowanej przez znakomitą Jolę Szczepaniak (Deus Meus)!


S. Anna Bałchan

K.R.

Siostra **Anna Bałchan**, znana czytelnikom RUaH między innymi z piosenki „Zaufaj Panu już dziś", nagrała wraz z zespołem S. Anna & Przyjaciele swą pierwszą płytę. Znajdują się na niej utwory, które mówią zarówno o spotkaniach z ludźmi, jak też z Tym, Który Jest bliżej nas, niż my samych siebie. Piosenka „Bóg Jest Tu", którą odnajdziecie na krążku dołączonym do niniejszego numeru RUaH, jest zwiastunem płyty. Muzyka Siostry Anny łączy w sobie elementy bluesa, jazzu oraz prostego, jak twierdzi ona sama – „oazowego grania". Dochód ze sprzedaży krążka przeznaczony jest na pomoc kobietom będącym ofiarami handlu i przemocy, którymi siostra Anna zajmuje się na co dzień.



Krakowski zespół **Budzik** przygotował na 6 grudnia (św. Mikołaja) prezent – premierę swojego maxi-singla, który zawiera 4 utwory nagrane podczas koncertu 12. 05. 2004 w klubie Akademii Rolniczej „Arka" w ramach Chrześcijańskich Dni Żaka. Dodatkowym prezentem jest odsłona strony internetowej www.budzik.kdm.pl. Na razie zespół poszerza skład (Grzesiek Furlaga – gramofon, sampler), czym zmierza w kierunku eksperymentalnego, nowego brzmienia.

23 listopada minęła pierwsza rocznica śmierci nieodżałowanego kontrabasisty **Andrzeja Cudzicha**. Z inicjatywy Jarosława Śmietany, w krakowskim klubie jazzowym „PIEC'art" (ul. Szewska 12) odbył się koncert poświęcony pamięci Andrzeja, z którego dochód w całości został przeznaczony dla żony Ewy i dzieci. Zagrali między innymi: Jarosław Śmietana, Piotr Baron, Joachim Mencel, Piotr Wyleżoł, Janusz Muniak i inni.



„Krótki jest czas" – taką nazwę nosi debiutancki album zespołu **Remont Duszy**. Materiał został zarejestrowany w krakowskim studio „Lynx Music" między styczniem a majem 2004 roku. Mastering jest dziełem Grzegorza Piwkowskiego, a producentem płyty – cały zespół. Krążek zawiera 13 utworów osadzonych w klimatach reggae i ska. Brzmienie grupy urozmaica sekcja dęta (trąbka, saksofon i puzon), flet poprzeczny oraz chórki. Remont Duszy aktywnie promuje płytę na koncertach. Wraz z ukazaniem się debiutanckiego albumu rusza nowa strona zespołu: www.remont.kdm.pl



28 listopada miała miejsce premiera płyty „DEKALOG, HIP-HOP 2004". Jej pomysłodawcami i promotorami są salezjanie z Łodzi – Przemek Kawecki i Wojciech Kułak, administratorzy popularnej wśród młodzieży strony internetowej **www.bosko.pl**. W tym dniu w Łodzi, w Klubie Muzycznym „CUBE" (Kilińskiego 123), odbył się koncert z udziałem wszystkich muzyków biorących udział w jej nagraniu, a więc grupy **Full Power Spirit** i jej gości: Evidentu, Mietka Szczeniaka, Venio Pele, Dj'a Mini, DJ'a Grubaz'a, Łyskacza (Morwa) i innych. Po imprezie Full Power Spirit ruszył w trasę po Polsce. Data premiery, jak i czas trasy promocyjnej nie jest przypadkowy, gdyż przypada na Adwent, który w tradycji katolickiej jest czasem radosnego oczekiwania na przyjście Chrystusa. W tym okresie w całym kraju organizowane są rekolekcje przygotowujące do świąt Bożego Narodzenia. „Hip-hop Dekalog 2004" może być jednym z atrakcyjnych pomysłów na rekolekcje dla młodzieży, ale również – osobiste przemyślenie swojego stosunku do Boga i jego przykazań.


Promyczki

Jak mogli już się zorientować widzowie telewizyjnego programu dla dzieci „Ziarno", Jan Paweł II przyjął 4. listopada, podczas specjalnej imieninowej audiencji, dziecięcy zespół **Promyczki** i pielgrzymującą razem z nim Redakcję „Ziarna". Dzieci zaśpiewały Ojcu Świętemu zupełnie nową, specjalnie na tę okoliczność przygotowaną posenkę „Hej, baco" z udziałem góralskiej kapeli, napisaną przez Joachima Mencla (muz.) i Beatę Kołodziej (sł.). Będziemy mogli niebawem usłyszeć więcej kompozycji tych autorów. Joachim Mencel podjął się bowiem produkcji nowej płyty „Promyczków". Krążek wkrótce się ukaże. Więcej informacji o zespole w następnym numerze RUaH.



Z okazji 10. lecia zespołu **Deus Meus** Wydawnictwo Edycja Świętego Pawła przygotowało reedycję dwóch jego pierwszych płyt: „Hej, Jezu!" (z 1995 r., jeszcze pod nazwą Inicjatywa Muzyczna Ludźmierz) oraz „Słońce nagle zgasło" (pieśni wielkopostne z 1996 r. z udziałem m.in. Antoniny Krzysztoń). Wznowienie tych dwu pozycji, których nakłady zostały już dawno wyczerpane, zbiegło się z trasą koncertową zespołu po Polsce, w której oprócz chóru ze Szczecina wzięli udział m.in.: od początku związani z nim Mietek Szcześniak i Marcin Pospieszalski, jego żona Lidka, meksykanin Thomas Celis Sanchez, Armeńczyk Aram Arbaczjan, Michał Kulenty oraz inni znakomici muzycy. Patronami medialnymi obu reedycji, jak również całej trasy koncertowej Deus Meus, byli: portal www.bosko.pl, Lista Przebojów www.muzycznedary.niedziela.pl oraz Magazyn Muzyczny RUaH. Wspomniane płyty są dostępna w Edycji św. Pawła oraz na www.paganini.com.pl. Koncerty Deusów w dużych miastach Polski cieszyły się ogromną frekwencją słuchaczy, a dźwiękowy ich zapis będzie można usłyszeć na krążku, który ukaże się wiosną 2005 roku.

Dzieci z Brodą, wraz z realizatorem Jankiem Pospieszalskim, zdobyły wyróżnienie na festiwalu wideoklipów „Yach Film Festiwal 2004" w Gdańsku! Nagroda przyznana została za 6 klipów zrealizowanych do płyty „Czuwaj wiaro!" (patrz: recenzje płyt) jako wyraz uznania jury za podjęcie trudnej tematyki związanej z Powstaniem Warszawskim. Gratulujemy i przypominamy, że jest to już kolejna nagroda na koncie tego zespołu. W poprzednim roku nagrodzono teledysk Dzieci z Brodą „Hej ruku andi" zrealizowany przez Marcina Świtalskiego.

Rwij Rzemienie – to hip-hopowy rytm, bębnowe pulsujące reggae, oraz duch ognistego punk rocka. Trzy, pod względem muzycznym różne zespoły, połączyło to samo przesłanie, ten sam korzeń, który odnaleźć można w Biblii. **Rwij Rzemienie** jest eksperymentem i wyrazem wspólnoty, znakiem zawierającym różnorodność muzyczną, ale przemawiającym jednym głosem – przesłaniem o duchowej walce. Kapele, które tworzą projekt – **Korzeń z kraju Melchizedeka, Izaiash**, oraz **Against All Odds** wydały singiel „Rwij rzemienie", który jest zapowiedzią płyty „Punk Roots" ostatniego z wymienionych zespołów (gra w nim Wojtek i Darek z **Izaiash'a**) oraz płyty **Izaiasha**, do której pierwsze dźwięki będą nagrywane w nowym roku.



Tegoroczne roraty akademickie w kościele dominikanów w Poznaniu będą równocześnie inauguracją obchodów 70.lecia Duszpasterstwa Akademickiego Dominikanów, które przypada w przyszłym roku. Z tej okazji przygotowany zostanie album o dominikańskich roratach, z fotografiami **Janusza Kurzawskiego** oraz tekstem ojca **Jana Góry OP**. Roraty dominikańskie zakończą się Pasterką na Polach Lednickich. Wydarzenie to będzie równocześnie otwarciem Ośrodka Akademickiego nad Lednicą. Przed i po Pasterce odbędzie się tam adoracja Dzieciątka Jezus – figurki z drzewa oliwnego podarowanego wspomnianemu Duszpasterstwu przez Ojca Świętego.



Ruah

Nad nowym materiałem pracuje zespół **Ruah**. Kompozycje utrzymane są w stylistyce pop-jazz z domieszką elektroniki. Zespół przygotował również swoje wersje znanych i mniej znanych kolęd. Świąteczne koncerty grupy odbędą się w styczniu i lutym. Szczegóły: www.ruah.pl

Już po raz drugi, 13 11 2004 r. w **Bolesławcu** (w Starym Teatrze) odbył się Przegląd Piosenki Religijnej pod hasłem „Pan kocha serca radosne, dusze zawsze uśmiechnięte" (św. Teresa). Wzięło w nim udział 9 solistów i 15 zespołów ze Zgorzelca, Karpacza i Jeleniej Góry. Celem przeglądu było zbliżenie młodych do Boga, propagowanie dobrej muzyki religijnej oraz stworzenie szans dla początkujących muzyków. Gościem specjalnym Przeglądu był Thomas Celis Sanchez, meksykanin grający na instrumentach perkusyjnych m.in. w zespole Justyny Steczkowskiej i Raz Dwa Trzy, który dzielił się z uczestnikami swoimi umiejętnościami. W konkursie, wśród solistów, pierwszą nagrodę zdobyła Renata Galik z Wlenia, w kategorii zespołów dziecięcych – zespół Faustyna z Jawora, wśród zespołów młodzieżowych – zespół Twoje Światło z Chocianowa. W koncercie finałowym wystąpił bolesławiecki zespół **On Tak Chciał** oraz gwiazda wieczoru – Deus Meus.



On Tak Chciał

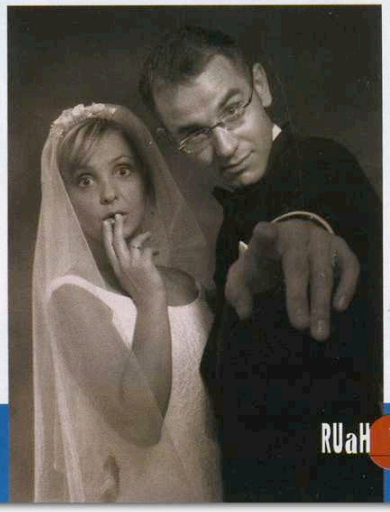
Katolika Front to nowa formacja na rynku muzyki tworzonej przez chrześcijan. Choć projekt urodził się całkiem niedawno, grający w nim muzycy to starzy wyjadacze. Lider grupy **Grzegorz Bocian Bociański** ma za sobą występy w kapeli Wolna Europa i metalowej grupie Indian Woman. Po odkryciu swych chrześcijańskich korzeni (przeczytasz o nich m.in. w książce Marcina Jakimowcza „Dno"), Grzegorz zajął się pracą radiowca. Od roku prowadzi ewangelizacyjną audycję „Amen" w katowickim radiu Em. Teraz powraca jako muzyk z nowym materiałem. To solidne, pełne melodii, rockowe granie, które usłyszeliśmy aż trzykrotnie na tegorocznym ogólnopolskim Festiwalu Stróżów Poranka.

Po ubiegłorocznym sukcesie wspólnego kolędowania zespół **Viola i New Day** ponownie wyrusza z kolędą. W tym roku zespół zagra w 18 miastach całej Polski, m.in. we Władysławowie, Szczecinku, Pile, Poznaniu, Toruniu, Otwocku, Warszawie i Krakowie. Na koncertach grupa wykona najpiękniejsze kolędy i pastorałki. Będzie też można usłyszeć go i zobaczyć na żywo 7 stycznia w TV TRWAM i Radio Maryja, w programie „Rozmowy Niedokończone", którego gospodarzem jest o. Piotr Dettlaff. Specjalnie



z okazji trasy kolędowej zostały nakręcone teledyski do trzech kolęd, ich emisja w TV – podczas Świąt. Więcej o wspólnym kolędowaniu z Violą i New Day szukaj na stronie www.newday.art.pl

2 października w Kościele dominikanów w Szczecinie na ślubnym kobiercu stanęli **Tamara Kasprzyk** i **Marcin Przybysz** ze szczecińskiego **Deus Meus**. Młodej parze życzymy błogosławieństwa Bożego i dalszej owocnej współpracy z zespołem!





Jah jest prezydentem Jah jest kierownikiem Jah jest trenerem ja jestem jego zawodnikiem

z chłopakami z POSITIVE FERMENT SOUND SYSTEM

rozmawia Andrzej Bujnowski OP

Na początek może się przedstawcie....

Maciek: Ja jestem Tylski, aka Przyjemniaczek Etyl.

Tomek: Tomek Tom Ala Tylka, brat Maćka, starszy od niego 14 miesięcy.

M: Brat ściągnął mnie do Systemu, bo ja siedzę bardziej w klimatach hip-hopowych, już od dziewięciu lat. Kręcą mnie nawijki rapowe.

Dominik: Dominik Zasada aka zasad.

Wyjaśnijcie naszym czytelnikom, co to jest sound system? Działacie w nim już od trzech lat. W Polsce jest ich chyba niewiele...

D: Jest to jamajska forma prezentacji muzyki, która polega w skrócie na tym, że są dwa gramofony i mikser, albo czasami jeden gramofon, nagłośnienie i człowiek, który puszcza płyty, zwany selektorem, nie didżejem! DJ – jest w hip-hopie lub na europejskiej scenie klubowej. Selektor dokonuje selekcji płyt, które puszcza. Mniejszą wagę przykłada się do miksu, chociaż są także momenty, kiedy trzeba go robić. Są też ludzie, którzy śpiewają, dogadują, nawijają... Deejaye, Singjaye, Toasterzy.

M: Po polsku nawijacze...

Nie można ich nazwać raperami?

D: Nie, bo to jeszcze coś innego. Są różne znaczenia terminu „sound system". Niektórzy mówią, że jest to tylko sam sprzęt nagłośnieniowy. Dla Jamajczyków ważne jest, ile on ma Wat.

T: Czyli, kto jest głośniejszy...

D: Albo jest to też ekipa, tak jak na przykład my tu teraz – dwóch nawijaczy, jeden selektor.

T: W Polsce sound system to bardziej ekipa.

D: Jest też kwestia rozróżnienia: sound system jako instytucja, lub sound system jako wydarzenie. My funkcjonowaliśmy przez pierwszy rok jako wydarzenie.

T: Nadrabialiśmy imagem. Mieliśmy techniczne braki.

D: Zakładaliśmy turbany na głowy. Dezodorantami robiliśmy ogień, żeby było fajnie. Ale teraz powoli stajemy się instytucją. Może niedużą, ale już coś potrafimy i nie trzeba nic nadrabiać. A historia soundsystemów w Polsce ma około piętnastu lat, najstarsze to Joint Venture ze Zgorzelca i Love Sen-C Music z Lublina. Na festiwalu w Ostródzie zagrało łącznie 17 polskich soundów i nie były to wszystkie składy, zatem skala zjawiska jest spora, bałbym się nawet szacować konkretną liczbę. Fakt, w porównaniu z kapelami nadal wygląda to blado, ale scena rośnie w siłę i ilościowo i jakościowo..

Skąd się wzięły sound systemy na Jamajce?

T: Z powodów finansowych. Ściąganie zespołu i robienie mu koncertu, podłączenie backline'u, przodów, sceny, jest, jak wiadomo, droższą sprawą. Sound system jest o wiele tańszy, może grać dłużej. Na Jamajce zaczęło się od wydawania wersji instrumentalnych piosenek wykonawców takich jak np. Elton Ellis (połowa lat 60.). Studia nagraniowe zatrudniały zespoły, które nagrywały muzykę, do której śpiewali zaproszeni wokaliści, by potem na stronach B singli wydawać tzw. „rytmy", czyli ridimy. Było wiele osób, które chciały robić imprezy, bo Jamajka to taki kraj, gdzie tym się żyje.

D: Można tam grać w domino, puszczać latawce albo... tworzyć muzykę. Na Jamajce były sound systemy, które jeździły od wsi do wsi i organizowały imprezy taneczne. Reggae wyrosło z mento, po drodze zahaczając o ska. Ponieważ liczy się je na dwa, można powiedzieć, że jest to muzyka ludowa. I potwierdzają to imprezy, które odbywały się na wsiach na udeptanej ziemi.

Ideą sound systemów jest więc, w gruncie rzeczy, taniec. Pobudzanie ludzi do aktywności, żeby się dobrze czuli i bawili.

D: Dokładnie! Jest nawet nazwa – dancehall. Sala do tańca, sala taneczna.

Czym muzyka dancehall różni się od reggae?

T: Jest to pewna gałąź reggae. Od roots reggae różni się ona rytmami, szybkością. Generalnie mówiąc – to wszystko ewoluuje. Ja na przykład kiedyś nie wiedziałem o dancehallu, słuchałem Marleya, itd. Ale przez ostatnie 20 lat na Jamajce wydarzyło się bardzo dużo, muzyka reggae rozwinęła się właśnie w tę stronę... Jest duża różnorodność rytmów, są szybsze i wolniejsze.

Najbardziej pobudzająca do tańca jest chyba ska. Wprawia ona od razu w ruch słuchacza...

T: Dancehall jest wolniejszy od ska. Ostatnio jednak szybkie podkłady produkowane są przez np. Divali czy Clapas.

D: Dancehall ma zupełnie inne przeznaczenie. Po prostu.

Jaką rolę odgrywają tu śpiewane na tle podkładów teksty?

D: Łukasz „Pesy" z Ave Lion powiedział kiedyś na forum internetowym, że jeżeli ganiasz za panienkami i grasz muzykę, to będziesz o tym śpiewał. Jeżeli próbujesz żyć z Panem Bogiem – to będziesz śpiewał o Panu Bogu. Na Słocie, z którego właśnie wracamy, mieliśmy okazję poznać obce nam podejście do duchowości – dominowało uwielbienie, a zatem wszystko było bardziej rozmyte i napompowane w porównaniu z tym, co my przeżywamy będąc we wspólnotach drogi neokatechumenalnej. Słowo Ewangelii dosyć mocno trzyma nas przy ziemi i nie ma się co oszukiwać, nie pozostawia zbyt wielu złudzeń co do oceny samych siebie. Powstaje pytanie – co w takim razie robić? – Śpiewać o tych dziewuchach, tylko i wyłącznie? Czy można dorabiać sobie wielki zadek, gdy nasze życia nie wyglądają jak na pięknym obrazku w piśmie „Strażnica"? Czy znaleźć drogę środka, czyli mówić o pragnieniach, potrzebach? O tym, że chcemy słuchać Słowa, chcemy coś ze sobą robić, choć wychodzi to tak, a nie inaczej... I myślę, że idziemy środkiem, choć to jest może czasem źle...

Uwielbienie jest podstawowym wymiarem modlitwy, nie wyklucza zarazem radykalnego życia dla Jezusa. Człowiek koncentruje się w nim bardziej na Bogu niż sobie... Wy tymczasem śpiewacie o życiu, o sprawach, którymi żyjecie... W ruchu neokatechumenalnym zwraca się, faktycznie, większą uwagę na świadectwo, na czyny, życiowe doświadczenia, uwielbienie też jest jednak obecne, chociażby w pieśniach, które są śpiewane na spotkaniach.

D: Nasz pierwszy tekst, jaki powstał, to „Pytam, ciągle pytam, gdzie jest Jahwe Pan". Wyrażał nasze stałe poszukiwanie Go. Bo czy Bóg jest obecny wyłącznie w sytuacjach pobożnych, czy raczej we wszystkich sytuacjach życia? I znów, „Pesy" z Ave Lion śpiewa taką piosenkę: „I jeszcze więcej, zdobyć przekonanie, że dobrem jest wszystko, cokolwiek się stanie". Czy to tak wygląda, czy może lepiej jest się czasem zagubić i sponiewierać? To są takie pytania... I jedno-



cześnie opowieść o tym, że „Jeruzalem Nowe, jak piękna kobieta, wróci do każdego, kto na nią czekał". Mamy gdzieś w głowie zaszczepioną bardziej żywą niż nieżywą nadzieję na to, że Ewangelia nie kłamie.

T: Mamy też trochę eschatologicznych kawałków! (ha, ha, ha) ...

D: Usłyszeliśmy mocno Słowo, że kiedyś spełni się w naszym życiu Kazanie na Górze, że będziemy tacy... Nie będziemy się musieli pocić... Pan Bóg tak zrobi z naszym życiem, że On je poprowadzi.

T: Tylko On to może zrobić!

Jak powstają Wasze teksty? Pisze je każdy z Was?

T: Każdy po trochu. Najbardziej płodny jest Dominik.

D: Śmiejemy się z Tomkiem, że Pan Bóg dał mu struny głosowe, z których wydobywa piękne dźwięki, a mnie dał błogosławieństwo, jeśli chodzi o składanie słów.

Nie dał mi głosu, żebym nie mógł się specjalnie chwalić. A z kolei Tomek nie może się chwalić, bo pisze mało tekstów.

W Waszych kawałkach, które słyszałem, wyczuwa się wyraźną świadomość teologiczną. Gdy powiedzieliście, że jesteście neokatechumenami, wszystko zrozumiałem. Ludzie z „neo" umieją mówić religijnym językiem, bo na ich spotkaniach każdy nie tylko słucha, ale często mówi o sobie i Bogu. Inspirujecie się tym, o czym tam się mówi?

T: Tak, to słowo nas dotyka.

D: Przechodzi przez nas.

Jak znaleźliście się w neokatechumenacie?

T: Ja byłem kiedyś w młodzieżowej Wspólnocie „Pustynia Miast". Zajęli się w niej nami księża salezjanie. Trafiłem tam przez szkolnego katechetę. Tam się poznaliśmy. To był początek. Już wtedy zaczęliśmy razem coś tworzyć i myśleć o tym, żeby coś przekazać. Ta wspólnota chciała zajmować się ewangelizacją... Dominik słuchał wtedy muzyki punkrockowej, ja słuchałem hip-hopu. Już wtedy pojawiły się pomysły, by robić jakieś imprezy w mieście, na których warto coś przekazać. Byliśmy wtedy jednak jeszcze na innym etapie...

Innym stopniu świadomości?

T: Tak. Ja byłem neofitą. Gdy byłem w grupie, to mogłem wszystko. Robiło się tam różne rzeczy, krzyczało się, śpiewało. Gdy jednak zostałem sam, wyglądało to już trochę inaczej. 5 lat temu wyjechałem do Torunia na studia i chciałem tam robić taką Pustynię Miast. Trafiłem do Duszpasterstwa Akademickiego, nie było w nim jednak takiego ognia, by coś dalej robić, nie było też księży salezjanów. Dowiedzieliśmy się jednak, że są katechezy neokatechumenalne i że jest to świetna formacja. Za namową księdza Jacka Aliszewskiego, który był na Drodze, ja też wkrótce na nią trafiłem. Dołączył do niej Dominik...

Jak się spotkaliście?

D: To był zjazd Pustyni Miast, rekolekcje przed akcją ewangelizacyjną w roku 1997. Przyjechaliśmy ekipą z Łodzi, wchodzimy do sal szkoły, gdzie mieliśmy spać, była to jakaś szkoła na toruńskim Rubinkowie, a tam siedzi koleś w długich dreadlockach i gra reggae na gitarze. Powtarza tyle razy – „żyję w tym mieście", ile razy zrobił to Darek Malejonek. Śpiewa ładnie, gra ładnie, nie za ładnie wygląda, bo te dready trochę podniszczone, ale generalnie... Miał koszulkę d.i.y (d.i.y. to skrót od „do it yourself")... My też mieliśmy takie (ha, ha, ha). Później gadka, gadka, gadka. Wkrótce pojechaliśmy gdzieś razem. Zaczęło się życie o żebranym jedzeniu... (Pustynia Miast, gdy jeździ po Polsce, nie bierze pieniędzy, żyje z tego, co zaproponują ludzie – świeccy, kapłani – zarówno jedzenie, jak i noclegi...).

T: ...Całe wakacje...

D: ...To łączy...

A Ty, Dominiku, jak znalazłeś się w neokatechumenacie?

D: Ja też byłem w Pustyni Miast itd... W roku maturalnym – 2000 – byłem animatorem, musiałem jednak sobie trochę odpuścić, bo było sporo zaległości w szkole, także przez te wyjazdy, przez zaniedbanie obowiązków i jechanie na emocjach. Dziewczyna, która chodziła ze mną do ogólniaka, była na Drodze i zaprosiła mnie na katechezy. Byłem wobec nich trochę



E. Malejonek

PFSS z Darkiem Malejonkiem na Przystanku Woodstock 2003



Maciek Tylka, Dominik Zasada, Tomek Tylka


Misiek

Dominik

sceptyczny, bo przeszedłem już przez Oratorium Salezjańskie, Pustynię Miast, seminaria Odnowy w Duchu Świętym, przeczytałem wiele książek i Pismo Święte. Ale poszedłem. Z Michałem (obecnie Raggabandit Selekta) poszliśmy zobaczyć, co nowego nam powiedzą... No, widocznie coś powiedzieli, bo pojechaliśmy na konwiwencję założycielską. Powiedzieliśmy „tak" i wtedy właśnie usłyszeliśmy tę obietnicę, że Kazanie na Górze spełni się w naszym życiu. Ja byłem wtedy w dosyć mocnym szoku. Dostałem taką lutę, że stwierdziłem, kurczę blade, nic nie stracę! A jeśli to się spełni – będzie super! A teraz Droga idzie i idzie, i wiadomo, jest sinusoida...

Jesteś we wspólnocie, która działa w Łodzi?

D: W VI Wspólnocie Drogi Neokatechumenalnej przy Parafii Ojców Jezuitów, na Mickiewicza 60. Kościół cudami słynący! (ha, ha, ha)

W końcu zaczęliście razem grać?

D: Jak Tomek mówił, zaczęliśmy grać już dawno, dawno temu. W Łodzi były zespoły... Tomek pogrywał gdzieś w Pile. To był punk rock. W tym roku spotkamy się już chyba siódmy lub ósmy raz na Sylwestrze w Pile. Wcześniej zjeżdżała się tam cała ekipa związana z Pustynią Miast. Do domku, gdzie mieszkają Tomek i Maciek wchodziło tak ze 30 osób i tam sobie graliśmy, muzykowaliśmy. Był sprzęt i garaż. W noc sylwestrową robiliśmy prezentację tego, co zrobiliśmy przez poprzednie trzy dni, bo zaczynaliśmy trochę wcześniej... I trzy lata temu było tak, że ja grałem na perkusji i jakichś przeszkadzajkach, Tomek miał bas, komputer, fastrackera. Była też Anka Jasińska, dziewczę niezwykle uzdolnione, siostra ze Wspólnoty z Łodzi – grała na trąbce. Mikrofon był zdilejowany, czerwone światło w garażu, psychodeliczny klimat... Graliśmy dwie godziny...

T: Zaczynaliśmy od dubów...

D: Powstała też nazwa, po czym na rok – cisza.

A dlaczego reggae, sound systemy, dancehall? Skąd takie zainteresowania?

D: Prawdziwa muzyka jest czarną muzyką – jak to ktoś kiedyś powiedział. Ja osobiście przeszedłem kiedyś przez bluesa – Staszek Sojka, te rzeczy. Ale, jeśli chodzi o słuchanie aktywne, to na pewno zaczęło się od punk rocka. Potem był jakiś heavy metal, jakiś hardcore, reggae – to wszystko wymieszane. Od jakiegoś czasu – tylko i wyłącznie muzyka reggae! Może trochę jass/jazz, funk i rytmy karaibskie. Teraz na Slocie było trochę ciężkich kapel, ja stałem, no kurczę, nie ma trąbek, nie buja, ja tego nie słucham... Fascynacja polskim reggae zaczęła się jeszcze w podstawówce, ale przez stare Forum Tymoteusza, przez chłopaka z Łodzi, Franklina, selektora w łódzkim Soul Jah Sound System, poznałem lepiej reggae. Dowiedziałem się, że to nie tylko Marley, Misty in Roots i Black Uhuru, ale także Alpha Blondy, Buju Banton, Morgan Heritage, Capleton, Anthony B... Od niego dostawałem pierwsze taśmy i płyty.

T: Składanki „Franklin Compilations"! Wszyscy z nas tego słuchali! (ha, ha, ha)

D: Potem była platforma internetowa: „dyskusje.pl", jej najbardziej aktywne forum – „reggae w Polsce", podpięta pod najlepszy portal o reggae w Polsce: „reggaenet.pl". Tam jest społeczność internetowa, wśród której jest mnóstwo członków kapel i przedstawicieli najprawdopodobniej wszystkich sound systemów w Polsce. To jest piękne, bo dzięki temu, to środowisko w naszym kraju jest zintegrowane i pojawiający się nowy sound, jak my, miał dzięki temu okazję zagrać już w całej Polsce.

T: Od Zamościa do Darłówka!

Które grupy w Polsce są według Was najlepsze?

D: Ave Lion!

M: Sidney Polak.

T: Bakszysz. Pełny szacunek dla Bakszyszu! Maleo Reggae Rockers – zespół świetny technicznie i super najlepszy! Zresztą tam jest kilku członków starego składu Bakszysz. Tomek Bielecki, Adaś – bębniarz! Są otwarci na współpracę ze wszystkimi, to też jest świetne! Darek wziął nas na Woodstock. To jest dla nas bardzo duże wyróżnienie.

D: To była petarda, bo ta sytuacja nie miała prawa zaistnieć.

Jak wyglądają Wasze koncerty? Przyjeżdżacie z walizeczką pełną płyt. I z czymś jeszcze?

D: Mamy walizeczkę, słuchawki i systemy do grania.

T: Jeszcze ze dwie torby longów! (ha, ha, ha)

A gramofony?

D: One są warunkiem imprezy. Nieraz zapewniają je organizatorzy. Jeśli robimy imprezę ze znajomymi, to my mamy jeden gramofon.

T: Kolekcjonujemy sprzęt soundsystemowy. Nie mamy jeszcze takiego, aby obstawić wszystko. Musimy czasem coś pożyczyć, jakiś gramofon, lepszy mikrofon...

Puszczacie muzykę z gramofonów obaj, czy tylko jeden z Was?

M: Zasad i Raggabandit, którego pozdrawiamy!

D: To wydarzenie, impreza taneczna. Jest jeden selektor, który stoi za gramofonami, odpala płyty, miksuje je z mniejszym bądź większym skutkiem. Chłopaki są na mikrofonach i zapowiadają te numery, opowiadają rzeczy, robią jakieś narracje, tzw. toasting. Przychodzi czas, kiedy jest puszczony goły rytm, chłopaki nawijają te kawałki, które są przygotowane, albo freestyle prosto z głowy.

Są płyty z samymi tylko rytmami?

D: Standartowo singiel wygląda tak, że z jednej strony jest wersja normalna, tzn. muzyka i nawijka czy śpiew. Z drugiej strony jest wersja, riddim, podkład instrumentalny, rytm – jakkolwiek to nazwać.

Można na jej tle śpiewać czy wygłaszać teksty...

D: Tak, tak, dokładnie!

Używaliście kiedyś żywych instrumentów, by „dobarwić" muzykę z podkładów?

T: Przez jakiś czas była w naszym sound systemie wspomniana trąbka, na której grała Ania Jasińska. Ostatnio stwierdziła, że już nie ma czasu i ciągnie jeszcze inne projekty. Ma szkołę, pracę itd...

Nie sądzicie, że muzyka grana na scenie przez żywych muzyków jest zdecydowanie bardziej energetyczna?

T: Myślę, że tak. I dlatego też gram w zespole Ave Lion. Gramy dość krótkie koncerty, nie potrafimy grać całonocnych jam sessions. Mamy materiał na godzinę. Sound systemy mogą grać dłużej. Robiłem imprezy, na których grały do 5.00, a nawet 8.00 rano. Ze zmianami oczywiście. Z pomocą Dominika. Jak ludzie chcą tańczyć, to ja mogę stać. Spoko! Taki job, jak mawia sel_mma!

M: W ten sposób gra się w małych klubach. Gdy gra zespół, potrzebna jest przestrzeń. Tu możemy zrobić jakieś „after party".

D: Pierwszy koncert zagraliśmy, gdy zaistniała potrzeba wypełnienia czasu po koncercie Ave Lion. Miesiąc później – podobna sytuacja z zespołem Triquetra. A potem – to już poleciało. Graliśmy jako „dożynacze publiczności". Tak było też dwukrotnie w Zamościu, nawet po imprezie, na której kapele grały heavy metal i nu metal. A na imprezach stricte dancehallowych, gdzie spotykają się dwa- trzy sound systemy...

T: ... w dużych miastach w Polsce, bo w mniejszych to jest mniej popularne. Może jeszcze tylko nie startujemy w soundclashach i długo nie będziemy, bo nie jesteśmy nastawieni na konkurencję...

D: Soundclash – to jest „starcie sound systemów", czyli pojedynek, w którym selektorzy walczą na to, co puszczą. Mówiąc inaczej – kto wygrzebie lepszy kawałek. Tu publiczność decyduje, który sound system jest lepszy, a nawijacze walczą kto zaśpiewa lepiej. Te imprezy odbywają się w Polsce od 3 lat. Obecnie miłościwie nam królującym sound systemem jest Dreadsquad z Łodzi, Teofilów.

Sound systemy mają, jak się domyślam, swoją publikę...

D: Tak, oczywiście!

Typowa młodzież słucha jednak dziś hip-hopu i nie ma chyba świadomości, że istnieje dancehall...

T: To wszystko teraz ewoluuje.

D: Te sceny teraz się łączą. Używa się tych samych narzędzi. Są gramofony, są mikrofony. Wiosną była taka duża trasa „Wielkie Joł – SIMPLUS team" i tam grali hiphopowcy Numer Raz, Tede i James Ashen Band w wielkim procencie Warszawskie Vavamuffin, grający raggamuffin na żywo, jeden z dwóch czy trzech takich zespołów w Polsce. A ze strony „jamajskiej" Mr.Reggaenerator z Vavamuffin właśnie i Zjednoczenia SS. W wakacje natomiast, jakby druga odsłona tej trasy obejmowała imprezy nakręcane przez dj Krzaka ze Zjednoczenia SS i Numera Zero – grającego na co dzień z Numerem Raz. PabloPavo ze Zjednoczenia zrobił kawałek z Fu, OSTR rymował na podkładach Draedsquadu, Wielkie Joł (firma Tedego) wydaje teraz album producencki Dreadsquadu właśnie, potem będzie album Vavamuffin, Pan Duże Pe zwycięzca ostatniej Wielkiej Bitwy Warszawskiej (free style' owego pojedynku MC's) nawija w 5G kolejnym zespole grającym raggamuffin na żywo (mimo to płyta nagrana została do „syntetycznych" podkładów własnej produkcji) – dzieje się sporo kolaboracji...

Jakie są reakcje ludzi na Wasze przesłanie? Chyba niewiele sound systemów w Polsce włącza w swą działalność przekaz o Bogu, mimo że reggae wyrosło z rzeczywistości duchowej, jaką jest rastafarianizm?

D: Sytuacja wygląda tak, że my nie robimy z siebie bożków, ale jeśli mówimy o Bogu, to dość otwarcie. Słowa są jednak bardziej o pragnieniu, niż o spełnieniu. Jest to przyjmowane bardzo gładko, bo wszyscy mamy podobne pragnienia. Soundy w Polsce nawijają nieraz o Bogu, rozumianym jednak po swojemu, w manierze rastafariańskiej czy panteistycznej. Znajomy nawijacz ze Zgierza, Człowiek Gawron, wchodzi w panteizm, śpiewa o wielkim słońcu. Wspomniany Franklin inspiruje się szeroko rozumianym judeo-chrześcijaństwem, właśnie jak bracia na Jamajce. Łódzki Ri!Codeh SS nawija natomiast o życiu po prostu, uśmiechu, złych kobietach, prostych i ważnych sprawach, bez zadęć i ideologizowania...

W jednym ze swoich kawałków zachęcacie do Eucharystii. W muzyce reggae brzmi to zaskakująco!

D: To Maciek.

T: Ten tekst musiałem gęsto tłumaczyć kiedyś w toruńskim Radio Sfera. Po wypuszczeniu tego kawałka na szersze wody nie wiedziałem, że wywoła to burzę...

Teksty w Waszym przekazie na koncercie są wypowiadane bardzo szybko. Jak sądzicie, czy docierają one do ludzi? Gdy się tańczy trudno koncentrować się na słowie...

D: We Wrocławiu 2 lata temu był Sound Clash nawijaczy, mam nagraną tę imprezę na mini dysku i słucham jej 4 razy w tygodniu. Wszystkie słowa, które tam rymują PabloPavo i Regenerator ja po prostu znam na pamięć – *„Jah jest prezydentem, Jah jest kierownikiem, Jah Jah jest trenerem, ja jestem jego zawodnikiem"*, czy *„ ja nigdy nie jestem tu sam, nade mną czuwa Najwyższy Pan"* – słowa tak jasne i tak mocne nie mogą pochodzić znikąd indziej, jak z autentycznie Bożej inspiracji, ja tak to widzę... Faktycznie jednak, gdy się tańczy, nie myśli się do końca o słowach. Na tę muzykę są jednak zorientowani ludzie, którzy chcą czegoś więcej niż poskakać. Gdyby chcieli tylko tego poszliby na drum'n' bass, na houserkę. Na imprezy z sound systemami, które ciągle są jeszcze podziemną formą prezentacji przychodzą ludzie z jakąś świadomością, ludzie zorientowani.

M: Ja mam kontakt z młodzieżą z mojego osiedla. Oni nie zwracają uwagi tak od razu na tekst, ale na formę, jak to jest zaawansowane technicznie. Dopiero potem wsłuchują się w tekst i mówią, że faktycznie, coś w tym jest.

Młodzi ludzie, wbrew pozorom, bardzo uważnie słuchają przekazu i poważnie traktują to, o czym się mówi...

D: My jesteśmy bardziej propozycją rozrywkową. Opowiadamy o pewnych historiach z naszego życia, ale to, co robimy, jest raczej preewangelizacją. Chcemy być tam, gdzie jesteśmy. Nasze miejsce jest w klubie i na świeżym powietrzu. Nie robimy z siebie kogoś. Od rekolekcji są raczej rekolekcjoniści. My możemy zrobić fajną bibkę, żeby ludzie potańczyli, zrzucili z siebie trochę napięcia.

I na koniec pytanie o Wasze nagrania. Czy zamierzacie wydać jakąś swoją płytę? Mimo że celem sound systemów nie jest nagrywanie płyt, może warto byłoby udokumentować jakiś etap Waszej działalności?

T: Ja bym chciał wydać mix-tape'a.

D: Do płyty trzeba byłoby się przysiąść z dwoma gramofonami...

T: Płyta to jest może za duże słowo.

D: Jest taka forma prezentacji materiału, jeśli chodzi o sound systemy, także DJ'ów hiphopowych, że nagrywa się mix-tape albo live-tape. Ta ostatnia jest rejestracją imprezy, powiedzmy koncertówką, miksuje się wtedy cały materiał na żywo. Mix-tape jest robieniem tego samego, tylko w zaciszu domowym lub studiu. I to jest wizytówka sound systemu, ze wszystkimi efektami, przejściami, także z potknięciami, bo to jest nieuniknione. A materiał bardziej autorski powoli się robi. W wakacje nagraliśmy kilku-utworowe demo na „kradzionych" podkładach. Nasz producent ciągle pracuje nad własnymi rzeczami, Maleo dał nam parę swoich podkładów – zobaczymy, co z tego wyjdzie...

Może jakieś słowo na koniec dla czytelników?

D: Reggae to nie tylko Marley, dancehall, to nie tylko Sean Paul – jest czas, żeby chodzić na imprezy, słuchać dobrej muzyki i starać się kochać – jakkolwiek koturnowo by to nie brzmiało.

T: No i chcielibyśmy pozdrowić wszystkie soundy, wszystkie kapele, wszystkich organizatorów imprez, którzy pomogli nam w czasie ostatnich dwóch lat. I najważniejsze – tych, którzy przychodzą bawić się na bibach PFSS.

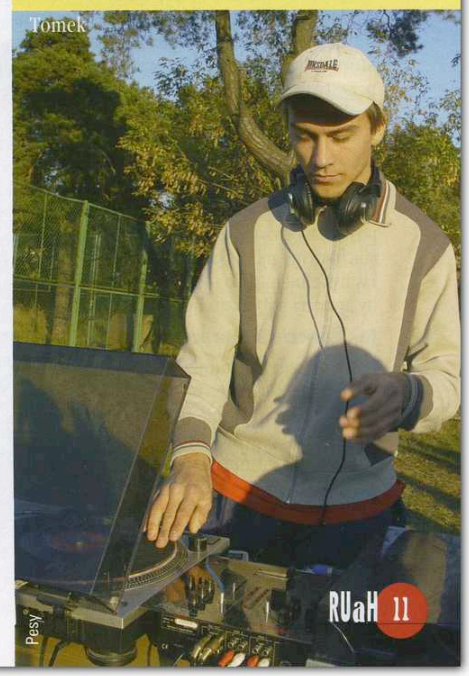

Misiek

Maciek



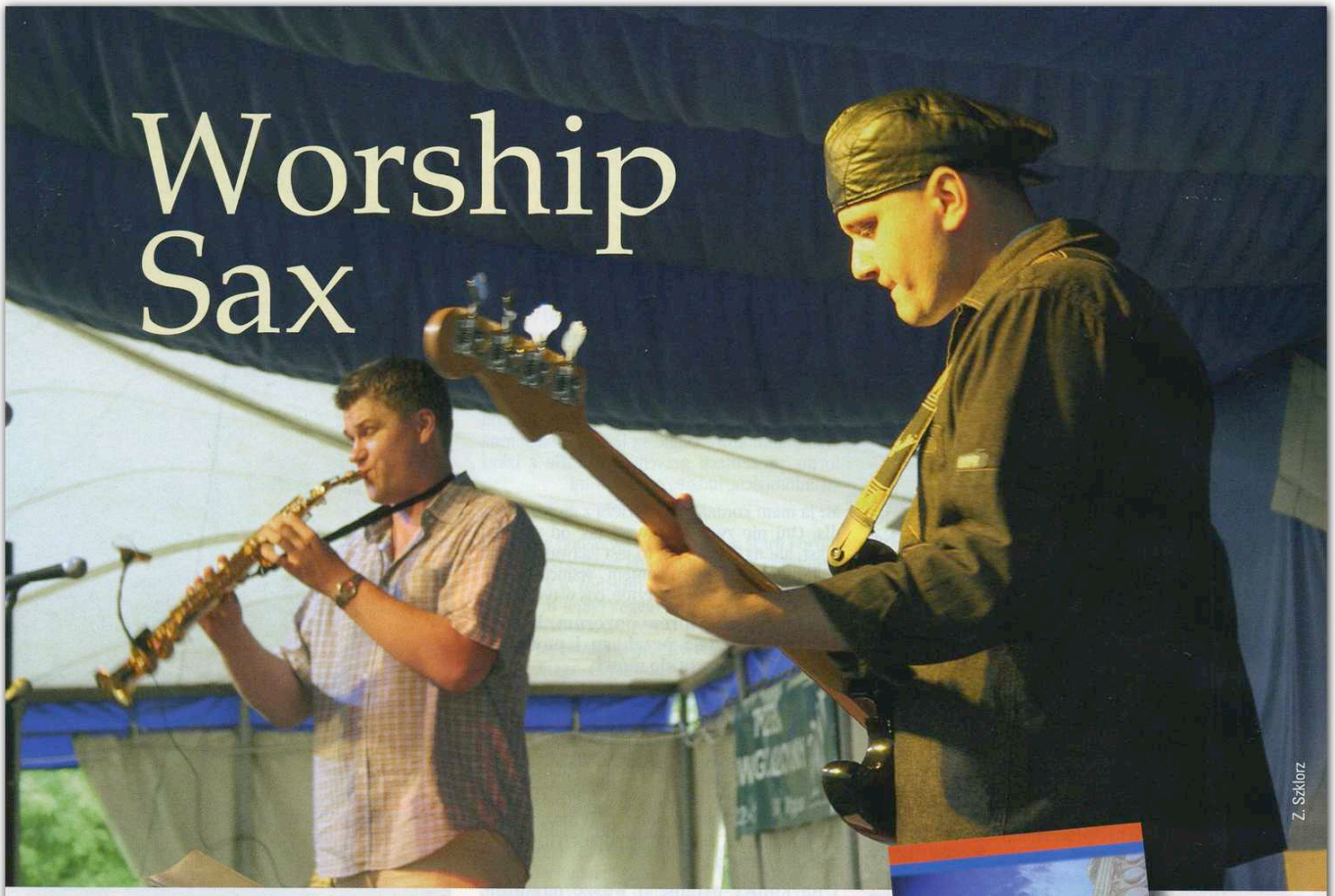
POSITIVE FERMENT
to obecnie:

Michał Domżalski aka mastaRBS: selekcja
Maciek Tylka aka tylski: nawijka
Tomasz Tylka aka Tom Alla: nawijka
Wiktor Moszczeński aka Doktor Mordedre: produkcja, nagrywki
Dominik Zasada aka zasad: selekcja

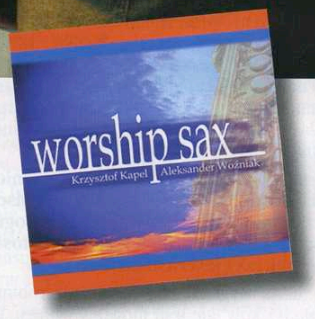

Tomek

Pesy

Worship Sax



Z. Szkłorz



z Krzysztofem Kapelem i Aleksandrem Woźniakiem,

twórcami albumu „Worship sax"
rozmawia Ilona Boruta (reporterka programu „po prostu" w radiu CCM)

Opowiedzcie jak powstawała płyta...

K.K.: Długo nosiłem się z zamiarem nagrania saksofonowej płyty uwielbieniowej i myślę, że gdzieś na początku 2002 roku podjąłem decyzję o rozpoczęciu pracy nad albumem. Oczywiście minęło trochę czasu zanim to, co zaplanowaliśmy z Olkiem, ujrzało światło dzienne, zanim zdołaliśmy zebrać ludzi, którzy byliby zainteresowani współpracą przy tworzeniu tego rodzaju muzyki. I tak krok po kroku, najpierw nagrania, potem szukanie wydawcy, kompletowanie zespołu, pierwsze koncerty. To wymagało wielu przemyśleń i prób, bo płyta jest w całości instrumentalna, a na koncertach skład zespołu jest powiększony o wokalistów, tak, żeby każdy słuchacz mógł brać czynny udział w koncercie i w uwielbieniu. To mogłoby być trudne, gdyby koncert był czysto instrumentalny.

Jak czujecie się na scenie?

A.W.: To zależy od dnia. Czasami jest tak, że czujesz się świetnie, wydaje ci się, że grasz świetnie, ale nagranie live tego nie potwierdza. Bywa też odwrotnie, wydaje się, że wszystko idzie nie tak jak trzeba, a jednak gdzieś na końcu okazuje się, że Duch Boży działał. Oczywiście, tak jak w każdej pracy, bywa różnie, jak z pisarzem, który pisze i wyrzuca kartki do kosza, a potem je wyjmuje i okazuje się, że to, co chciał zniszczyć, jest dobre.

Granie na scenie to też duża odpowiedzialność...

K.K.: Tak, ale tej odpowiedzialności uczymy się już od dziecka. Od początku naszej przygody z muzyką występowaliśmy na różnych scenkach i scenach i zawsze uczono nas odpowiedzialności za to, co „płynie" w eter z naszych instrumentów.

Dlaczego zajmujecie się akurat tego rodzaju muzyką. nie byłoby łatwiej grać muzykę nieokreśloną światopoglądowo?

Dla nas granie muzyki, której treść koncentruje się na Ewangelii, jest niejako koniecznością. Będąc chrześcijanami, najłatwiej jest nam się wypowiedzieć właśnie w takiej muzyce. To jest naturalną częścią naszego chrześcijańskiego życia, to potrzeba serca, to niemalże wewnętrzny obowiązek, a już na pewno naturalna kontynuacja codziennego życia z Bogiem. Może to wszystko brzmi nieco górnolotnie, a ja nie lubię takich słów, ale jeżeli esencją naszego życia jest wiara w Boga, to trudno jest się tym nie dzielić z innymi. A jak to robić, jeśli nie poprzez muzykę, skoro właśnie to potrafimy robić najlepiej? Zależy nam też na szerzeniu idei ekumenii, na pokazaniu, że ludzie o różnych światopoglądach, pochodzący z różnych Kościołów chrześcijańskich, mogą znaleźć wspólny język i koncentrować się na głoszeniu Ewangelii bez oglądania się na podziały i różnice. To dlatego nie jest nam obojętne, co gramy i dlatego zajmujemy się taką muzyką.

Są jakieś minusy tej pracy, to jest bycia muzykiem?

A.W.: Oczywiście, ale staramy się koncentrować tylko na plusach. Mieliśmy wczoraj koncert w Węgorzewie i dzisiejszy dzień cały spędziliśmy zgnieceni w busie. To jest oczywiście duży minus, trzeba często podróżować po naszych kiepskich drogach i, choć ja uwielbiam podróże, to może niekoniecznie takie. Czasami są też inne trudności, ale gdyby człowiek koncentrował się tylko na tym, to w zasadzie nie wstawałby chyba z łóżka. Staramy się raczej myśleć o tym, co możemy dać ludziom. Chcemy być też aktywni, jesteśmy muzykami, chcemy jakoś spożytkować naszą energię i stąd wynika nasz duży zapał w robieniu tego, czym się zajmujemy.



Jakie macie plany na przyszłość?

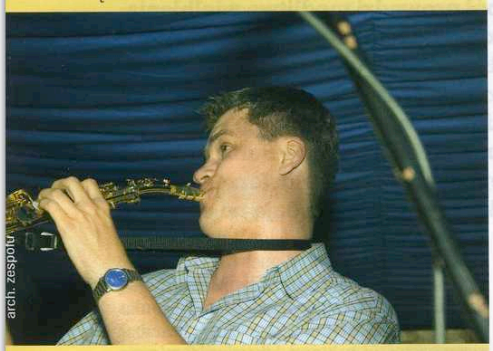
K.K.: W tej chwili zbieramy materiał na drugą płytę. Myślę, że ona, w odróżnieniu od pierwszej, będzie zawierać kilka śpiewanych piosenek, a także parę utworów autorskich, które powoli powstają. Z pewnością jednak zachowamy charakter pierwszego albumu „Worship sax" i tak jak wcześniej, będzie to płyta dla tych, którzy lubią piosenki „śpiewane" przez saksofon.

Jaki jest główny cel Waszej pracy?

A.W.: Grać, grać i jeszcze raz grać – jak ten słynny kwartet na Titanicu i nie utonąć (śmiech). A serio – trafiać do serc ludzi, uwrażliwiać ich, pobudzać do myślenia, poszukiwań, a także po prostu dawać im dużą porcję dobrej rozrywki, relaksu, wyciszenia. To chyba wszystko. ■

rozmawiała Ilona Boruta

Krzysztof Kapel – saksofonista, absolwent Wydziału Jazzu i Muzyki Rozrywkowej katowickiej Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego (1998), laureat Jazz Juniors (II nagroda dla zespołu i wyróżnienie dla najlepszego saksofonisty – 1999), wybrana dyskografia: *Mr. Nobody*, *Back Point*, *Free Bop* (Custom trio), *Kapishon* (Kapishon), *Worship sax* (Worship Sax). Hobby: wędkarstwo.



arch. zespołu

Aleksander Woźniak – absolwent krakowskiej Akademii Muzycznej (2000). Realizator dźwięku, aranżer, współpracował w ramach grupy producenckiej Adama Abramka z takimi artystami jak Edyta Bartosiewicz, Beata Kozidrak, Seweryn Krajewski, Kasia Kowalska, Maryla Rodowicz. Hobby: podróże.



arch. zespołu



P. Brakowiecki

muzyka której słucham

Łukasz 'Pesy Musiał

Moje pierwsze poważne, świadome zetknięcie z muzyką nastąpiło w liceum, gdzie przez jakiś czas przechodziłem okres „długich włosów i wyciągniętych swetrów" „pod patronatem" Pearl Jam i Soundgarden. Pamiętam płyty pożyczane przez kumpla z biblioteki muzycznej, która wtedy funkcjonowała w moim rodzinnym mieście. Wśród nich znalazł się kiedyś „czarny" album Brygady Kryzys i tak właściwie zaczęła się moja fascynacja polską sceną lat 80. Można powiedzieć że przełomowym momentem była dla mnie wizyta na Czad Giełdzie, gdzie trafiłem po długich poszukiwaniach na Kryzys, Brygadę, Armię, Janerkę....W tamtym czasie zdzierałem do granic możliwości płytę Izraela „1991", która moim zdaniem broni się do dziś, mimo upływu 13 lat. „1991", a także niektóre kawałki Brygady, Tiltu skierowały mnie ku reggae i jak sądzę, rozpaliły we mnie na dobre chęć grania. Stąd też pojawia się na mojej półce Bakszysz, RAP, izraelowskie „Nabij Faje" i „Duchowa Rewolucja", Immanuel, ale też Asunta, Osjan, Słoma, Siekiera, New Model Army. Ogromnie zafascynowałem się też w tamtym czasie zespołem Dead Can Dance. Pierwsze miesiące studiów kojarzą mi się z „brudnym", minimalowym, gitarowym graniem – Ewa Braun, Ścianka, Fugazi, Portishead (szczególnie „Roseland NYC Live"!), Tortoise (płyta „Millions now living will – never die").

Jednak największą moją fascynacją muzyczną było i jest bez wątpienia reggae. Polskie płyty z lat 80. poszły w odstawkę, a na ich miejsce wskoczyły klasyki – Bob Marley & The Wailers, Augustus Pablo, Abyssinians, medytacyjny I Jah Man, Alpha Blondy, Burning Spear (dwupłytowy album koncertowy!), a także składanki ze Studia One Rockers, z których co jakiś czas zdarza nam się z Ave Lion coś wybrać i zagrać na koncertach.

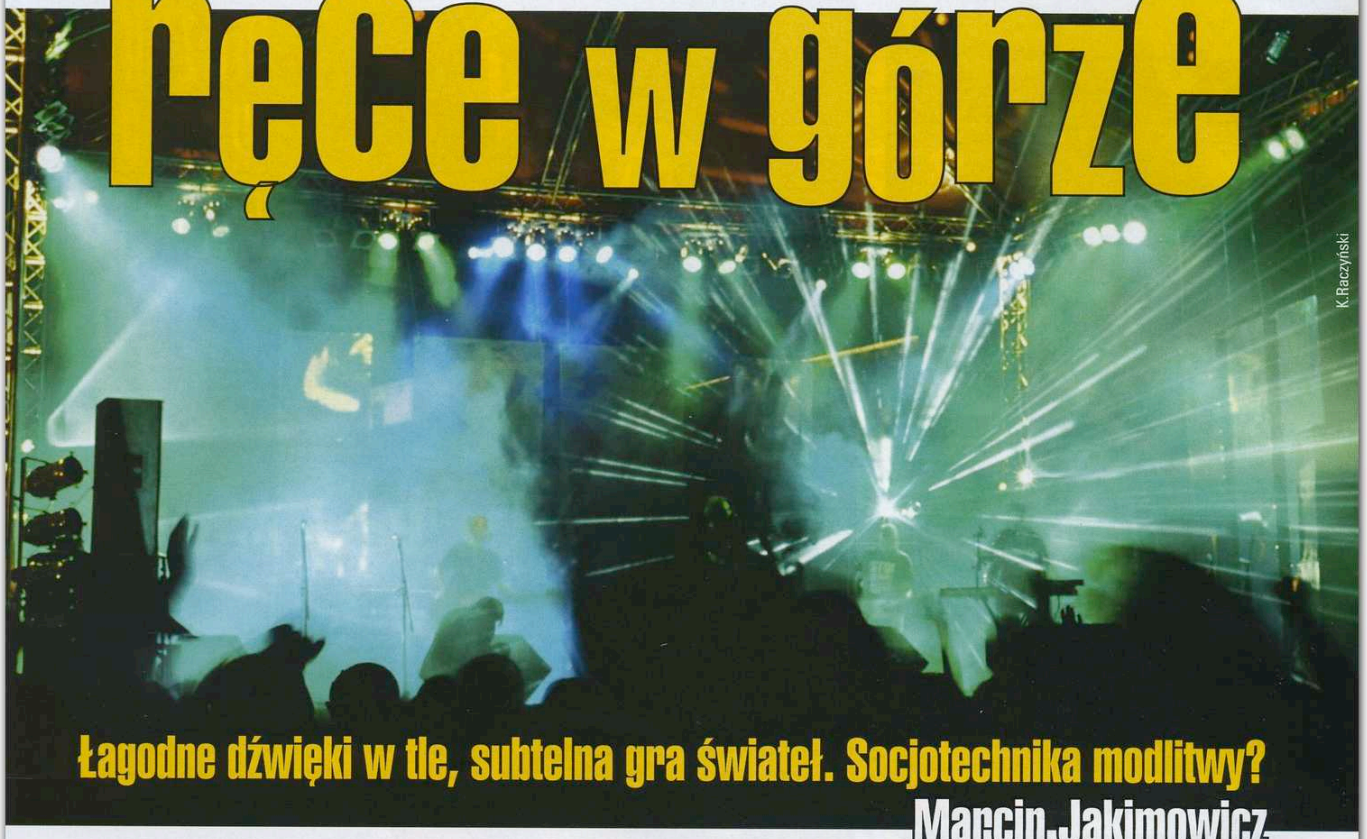
Nieocenionym źródłem inspiracji jest dla mnie Steel Pulse, zespół, którym zaraził mnie nasz basista Pablo. Słuchałem ich płyt niezliczoną ilość razy, ale ciągle czuję niedosyt. Niektórzy zarzucają muzyce reggae, że w większości jest schematyczna i nudna. Muzyka Steel Pulse łamie reggaowe schematy i pokazuje że można połączyć piękne linie wokalne z trudnymi i wyszukanymi aranżacjami. Zresztą wystarczy posłuchać wersji koncertowych... majstersztyk.

Ważne miejsce w moim muzycznym zbiorze zajmują też współczesne jamajskie brzmienia, które zdobywają u nas coraz większą popularność. Spodobały mi się studyjne albumy Morgan Heritage, ale już ich koncertowe wydawnictwo nie wzbudziło mojej euforii. Za to live album Gentlemana & The Far East Band męczyłem przez kilka miesięcy, podobnie jak „Journey to Jah" i pierwszy, mniej reggaeowy, ale też w „dechę" longplay „Trodin On". Także jego ziomkowie z zespołu Seed bardzo przypadli mi do gustu, choć tu znowu jest więcej akcentów hip-hopowych. Z dancehallowych klimatów lubię czasem posłuchać Damiana Jr Gong Marleya, Christafarai & Friends „Dancehall Baptism Chapter One", trochę rzadziej Anthony'ego B i Capletona, a z polskich terenów prym wiodą Vavamuffin (na razie tylko wersje koncertowe), Mr. Reggaenerator, Masala SS. Zapomniałbym zupełnie o Tumbao, które swego czasu też długo nie wychodziło z odtwarzacza i Jaffi Namuel, której nie mogę odżałować.

Dużo czasu spędzam pracując przy komputerze. Słucham wtedy muzyki, która mnie zbytnio nie rozprasza – ostatnio Thievery Corporation „The richest man in Babylon" i Chill Out In Paris „Sun".

Kiedy chcę odpocząć od reggae, włączam Erykah Badu, The Cinematic Orchestra, Björk „Violenty Live", Fisza, Stinga, albo muzykę z filmu „The Million Dollar Hotel". ■

Ręce w górze



K.Raczyński

Łagodne dźwięki w tle, subtelna gra świateł. Socjotechnika modlitwy?

Marcin Jakimowicz

Wielu nastawało na niego, żeby umilkł. Lecz on jeszcze głośniej wołał (Mk 10, 48)

Duży koncert chrześcijański. Tłum faluje pod sceną. Na niej zespół prowadzi modlitwę wielbienia. Ręce w górze. Łagodne dźwięki w tle, subtelna gra świateł. Lekki dym nad głowami. Płyną słowa chwały. Przechodzę obok sceny. Wpadam na zamyślonego Budzego. Idzie jak czołg ze spuszczoną głową. Zapytany o coś, rzuca od niechcenia: *Nie chce mi się nawet o tym gadać. Bo wiesz, jeśli chodzi o mnie, to ja już nie mam żadnych złudzeń.* **Macha od niechcenia ręką i znika za rogiem. Gbur. Ze sceny słyszę słowa chwały, pastelowe pasaże. Wdycham delikatny zapach dymu. Jak bardzo słowa Budzyńskiego kontrastowały z tym, co działo się na scenie! Były gwałtem zadanym tej sielankowej atmosferze. Pulsują w mych uszach do dziś. Coś we mnie zburzyły. Do dziś (a minęło już kilka miesięcy!) nie dają mi spokoju. Dlaczego? Bo mówią mi coś ważnego o doświadczeniu Boga.**

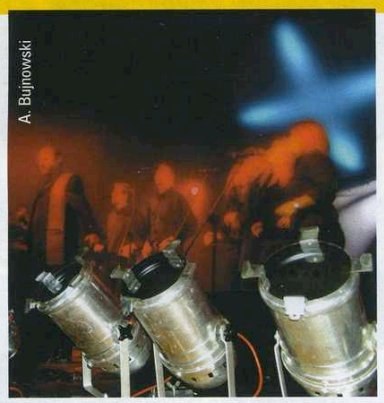
Michael Jackson płacze nad Osetią

Tłum pod sceną. Ręce w górze. Łagodne dźwięki, subtelna gra świateł... *Wiesz, Marcin, gdyby teraz na scenę wszedł Michael Jackson i zaczął śpiewać rzewną balladę o biednych dzieciach z Osetii, też polałyby się łzy, a ręce same zafalowały w geście solidarności* rzucił ironicznie kumpel. Początkowo się obruszyłem. Ale czułem, że ma rację. Dobro trzeba robić dobrze, to jasne. Wierzę, że ludzie na scenie modlili się szczerze, nie udawali. Ale często przy prowadzeniu takich modów istnieje zagrożenie, że „liderzy uwielbienia" (co za słowo?) poczują się „specami" od modlitwy. Zapomną, że mają być jak bezradne dzieci. A św. Augustyn mówił, że cokolwiek mówi się o Bogu już Nim nie jest. On zawsze jest większy, inny. Kto mi zapewni, że na profesjonalnie przygotowany koncert uwielbieniowy zstąpi Pan? Socjotechnika nie zastąpi spotkania z żywym Bogiem.

Zejść, by zjeść

Ilekroć słyszę o „warsztatach wielbienia", czuję niepokój. Wiem, jak są potrzebne. Jesteśmy zamknięci na cztery spusty i trudno otworzyć się nam na uzdrawiającą miłość Boga. Takie spotkania pomagają. Ale jednocześnie widzę przed oczami zadowolone twarze prowadzących, sypiących z rękawa przykładami. Uśmiechają się, czują się tak, jakby złapali Pana Boga za nogi. Jakby mieli z Nim za chwilę, tuż po skończonych warsztatach, zjeść smaczną kolację. Zapominają, że Zacheusz, by zjeść kolację, musiał zejść z drzewa. Stanąć twardo na ziemi. Nie dopasowywać sobie szczudeł. Pan *do grzesznika poszedł w gościnę.* Nie twierdzę, że warsztaty wielbienia są złe. Sam często przeżywałem podobne chwile i dziękuję za nie Bogu. Wiem jednak jedno: Pana Boga nie da się nabrać na żadne techniczne sztuczki, puste gesty. On bada serce. Jedynie modlitwa wypływająca z serca jest dla Niego perłą. A w czasie „warsztatów uwielbieniowych" łatwo zapomnieć o Nim, poddać się jedynie nastrojowi chwili. Człowiek czuje się jak w przedsionku nieba, a potem zderza się z twardą, brutalną rzeczywistością, w której, jak twierdzi, *nie ma Boga*. Problem w tym, że On tam jest. Szczególnie tam. Czy na warsztatach modlitewnych można nauczyć się modlić? Jasne, że tak. Ale przecież nikt tego nie zagwarantuje. Biblia opisuje sytuacje, w której ludzie modlili się dobrze: zostali wysłuchani. A przecież „styl" ich modlitwy kompletnie nie pasuje do naszych doświadczeń. O jakiej modlitwie myślę? O pełnym bólu jęku siedzącego przy drodze żebraka Bartymeusza. *Słysząc, że przechodzi obok Jezus z Nazaretu, zaczął wołać: Jezusie, Synu Dawida, ulituj się nade mną! Wielu nastawało na niego, żeby umilkł. Lecz on jeszcze głośniej wołał.* Został wysłuchany.

Jezusie, synu Dawida, ulituj się nade mną – krzyczała kobieta kananejska, mimo że uczniowie prosili Jezusa: *Odpraw ją, bo krzyczy za nami!* Wyobrażam sobie, co tam się działo. Kobieta narobiła niezłego zamieszania,


A. Bujnowski

skoro wyprowadziła z równowagi samych apostołów. Została wysłuchana.
Pamiętaj o mnie – jęczał umierający łotr. Został wysłuchany. Abraham, gdy Pan zawierał z nim przymierze, czuł, że umiera. *Ogarnęła go wielka ciemność*. Każda komórka jego ciała rozsypywała się przed obliczem Pana Zastępów. Był rozdarty, a jednak został wysłuchany. Gdy Jeremiasz stanął oko w oko ze Słowem Bożym, zawołał: *Niech będzie przeklęty dzień, w którym się urodziłem! Dzień, w którym porodziła mnie matka moja, niech nie będzie błogosławiony! Niech będzie przeklęty człowiek, który powiadomił ojca mojego: Urodził ci się syn, chłopiec!, sprawiając mu wielką radość. Po co wyszedłem z łona matki? Czy żeby oglądać nędzę i utrapienie i dokonać dni moich wśród hańby?* Łaska Boża jest tak potężna, że stojący w jej obliczu człowiek ślepnie i może jedynie wołać za Hiobem: *Odwróć Twój wzrok, niech trochę rozjaśnię oblicze!* (Hi 10,20). „Odwróć Twój wzrok, niech trochę rozjaśnię oblicze...". Paradoks. Krzyk Piotra: *Odejdź ode mnie, Panie,* nie jest teatralnym gestem, świetnie zagraną rolą w dramacie. Fale jeziora niosły szczery do bólu krzyk przerażonego rybaka pamiętającego, że *nikt nie może zobaczyć Boga i pozostać przy życiu*. A samo życie Jezusa? Narodziny w stajni, wizyty pierwszych gości: pastuchów i magów, śmierć na hańbiącym krzyżu poza miastem. Na zwykłym wysypisku śmieci. Żadnej sielanki. Dla większości zgorszenie. Profanum. A jednak On swą obecnością potrafił uświęcić te miejsca! Stajenka jest święta, Golgota jest święta, święty jest krzyż. Święci pasterze. Sacrum wdziera się tam, gdzie inni zamykają z zawstydzeniem oczy. Nie możemy spotkania z żywym, płonącym z tęsknoty Bogiem uzależniać od nastroju, który przygotują na scenie muzycy! On może przyjść, ale nie musi. A kilka razy widziałem, jak prowadzący takie koncerty byli niemal pewni, że swymi postawami, słowami, dźwiękami „sprowadzą" Boga na ziemię. Jest pokorny. Schodzi na nasze wołanie. Lituje się nad nami. Ale

przyjdzie, kiedy chce... I jak chce.

Świetnie pisze o tym trapista o. Michał Zioło: *Chodzi o bardzo popularną w cysterskim myśleniu Paschę Pana, Jego Przejście. Był to moment bardzo przez mnichów oczekiwany i sumiennie przygotowywany, choć czas i miejsce nawiedzenia znane były tylko Jezusowi. Istnieją piękne średniowieczne opowieści, w których Jezus zaskakuje cysterskich mnichów swoją mistyczną, rozpalającą serce obecnością w najbardziej zwykłych miejscach: w drewutni przy rąbaniu drzewa, w stajni, na pastwisku przy pilnowaniu wołów...* Przyjdzie, jak chce. Ostatnio Jan Budziaszek opowiadał mi o tym, jak Pan Bóg go zaskoczył: *Pamiętam, że po kilku latach organizowania u mnie w domu pierwszosobotnich różańców, wściekłem się i powiedziałem: „Koniec, mam dość!" Chodziłem po znajomych, po duszpasterstwach, kościołach i zachęcałem: „Przyjdźcie do mnie na różaniec". Przychodziły trzy, cztery osoby. Miałem dość. Będąc kiedyś w Częstochowie na trasie ze Skaldami, przez tydzień chodziłem na szóstą rano na odsłonięcie obrazu i błagałem: „Zwolnij mnie. Nie chcę już niczego organizować!" i usłyszałem w sercu: „Jeszcze jeden, jedyny raz...". Nie ruszyłem palcem, nikogo nie zawiadomiłem, nie wykonałem żadnego telefonu. „Nie powiem, że jestem w Krakowie, to może nikt nie przyjdzie?" – cieszyłem się w duchu. Nadeszła sobota. Od rana urywały się telefony, żona nie podnosiła już nawet słuchawki. Wieczorem na modlitwę przyszło do mnie aż... czterdzieści siedem osób. Przez kilka godzin staliśmy stłoczeni w pokoju i modliliśmy się, a potem zauważyłem, że pod moim oknem marznie dwóch chłopców. Otwieram okno, a oni mówią: „Czy możemy jeszcze trochę postać?" (śmiech). Teraz wiem, że to Jego dzieło, a nie moje.*
Już dawno zrozumiałem, że to, co po ludzku rzecz biorąc jest mocne, imponujące, przekonujące, fascynujące wcale nie musi być takim dla Boga – dodaje Adam Szewczyk. *Im bardziej jesteśmy przekonani, że Boga w czymś nie ma, tym bardziej prawdopodobne, że On tam jest. Patrz: nędzna stajenka, krzyż hańby.*

spalam się

Nie chce mi się nawet gadać. Bo wiesz, jeśli chodzi o mnie, to nie mam już żadnych złudzeń rzucił Tomek „Gbur" Budzyński. Nie pamiętam już dziś słów ani melodii pieśni uwielbienia, która płynęła ze sceny. Nie pamiętam delikatnego zapachu dymu. Pamiętam słowa Tomka. Była to jakaś część prawdy o trudnym, bolesnym procesie oczyszczania, który przeżywał. A przecież tylko prawda wyzwala. W słynnym traktacie „Noc ciemna" Jan od Krzyża pisze: *Bóg jest podobny do ognia, do którego wrzuca się drewno. Jeśli drewno było mokre, pod wpływem ognia staje się czarne, ciemne i brzydkie, oraz wydziela swąd. W miarę jednak osuszania ogień coraz bardziej ogarnia je płomieniem i usuwa zeń wszystkie ciemne i brzydkie przypadłości, które są jego przeciwieństwem. W końcu, ogarnąwszy je od zewnątrz, rozpala je, zamienia w siebie, czyni je tak pięknym, jak on sam.* Żar płonącego z tęsknoty za człowiekiem Boga. Płomień, o którym wołał Jezus: *Przyszedłem rzucić ogień na ziemię i jakże bardzo pragnę, żeby on już zapłonął!* Płomień wypalający boleśnie resztki starego człowieka. Spala wszystko to, co zbędne. Dusza sama staje się płomieniem. Zaczyna płonąć miłością. *Połóż mnie jak pieczęć na twoim sercu, jak pieczęć na twoim ramieniu, bo jak śmierć potężna jest miłość, a zazdrość jej nieprzejednana jak Szeol, żar jej to żar ognia, płomień Pański* – wołał autor Pieśni nad pieśniami.
Jedynie szczere, poddane Bogu modlitwy mogą zapalić innych. Inaczej będą wymądrzaniem się, moralizowaniem. Będą rzewną piosenką Michaela Jacksona, który może i ładnie zaśpiewa i wzruszy, ale potem za kulisami, z rękami w kieszeniach będzie się wykłócał o grube pieniądze. Ludzie postoją jeszcze przez chwilkę ze wzniesionymi rękami, a później wrócą do domów i „wsiąkną w szarą codzienność". Nie zauważą, że właśnie tuż tuż przy nich stoi anioł Pana. Wysłannik Boga, który „nie zdrzemnie się ani nie zaśnie". Nie spuści z nich oka. ■

Marcin Jakimowicz


A. Bujnowski



w środku – ks. Rafał Praski

Ł. Fojt

księża kontra HIPHOPOWCY

z ks. Rafałem Praskim rozmawia ks. Grzegorz Ułamek

Co to w ogóle jest hip-hop, Rafale?

Hip-hop to kultura. Dzieli się na rap, czyli muzykę z jakimś przekazem, grafitti, tj. sztukę malowania sprayami oraz breakdance, czyli formę tańca, zaangażowania całego ciała. Gdy ktoś mówi „jestem hiphopowcem", to osoba z boku kojarzy go tylko z muzyką, ale hiphopowcem może być człowiek, który tylko robi grafitti lub tylko tańczy. Hip-hop przyszedł do Polski ze Stanów i kojarzy się głównie ze słowem, przekazem. Powstał wśród biedoty murzyńskiej. Ludzie na ulicach śpiewali o tym, co im się nie podoba, co boli. Podkładali do tego bity, muzykę. Hip-hop mówi o rzeczywistości, o wszystkim, co nas dotyka.

Hip-hop rodził się w czarnych gettach, stąd odbierany jest jako muzyka ludzi żyjących w gorszych osiedlach miast, w blokowiskach. Jaka jest geneza tej muzyki u nas, w Polsce?

Ludzie, niezależnie od tego, gdzie mieszkają, mają te same problemy: czy znajdzie się praca i pieniądze na codzienną egzystencję? Ale rzeczywiście, ta muzyka utożsamiana jest z młodymi ludźmi z miast. Znamy obrazek: blokowisko, ławka, siedzą na niej chłopaki bez zainteresowań i zajęcia, bez pomysłu na spędzenie wolnego czasu. Oni są dzisiaj głównymi odbiorcami hip-hopu, jego twórcy niekoniecznie są blokersami...

Ma się wrażenie, że hiphopowcy dużo śpiewają o rzeczach negatywnych, o tym, że wszyscy dookoła są niedobrzy i wszystko jest złe. Tylko ci, którzy przeciwstawiają się temu, choćby przez hip-hop, są lepsi od pozostałych.

Główna idea hip-hopu sprowadza się do buntu, tak to nazwijmy, chociaż bunt w stosunku do np. muzyki punkowej, to może za duże słowo. Jest to przejaw tego, że coś nam się nie podoba i chcemy o tym powiedzieć.

Pierwsze płyty zespołów hiphopowych, szczególnie te wydane 8-10 lat temu, są bardziej mroczne. Dzisiaj widać, że ta muzyka ewoluuje, choć jej główny rdzeń pozostaje nienaruszony. Pojawiają się w niej nowe trendy, ale „tradycja" nie pozwala na głębsze zmiany. Hip-hop mówi o rzeczywistości. Spytaj dziś ludzi, jak postrzegają to, co ich otacza. Mało jest takich, którzy powiedzą: *Dostałem 80 zł. podwyżki! Syn uczy się trochę lepiej.* W końcu usłyszałem pozytywną informację w Wiadomościach! Ludzie nie mówią o pozytywach swojego życia, o radościach, bo jest ich mało. Nie tylko hiphopowcy skupiają się na tym, co złe w życiu. Non stop słyszymy narzekania w szkole, w sklepie, na ulicy, w programach... Wszędzie się narzeka. Ludzie coraz rzadziej patrzą optymistycznie, a coraz częściej pesymistycznie. To dobrze, że widzimy rzeczy złe, w swoim życiu, w Polsce, w świecie, ale sztuką jest też zauważyć rzeczy dobre. Coraz więcej jest zespołów hiphopo-

wych, których płyty mówią o ich rozwoju: druga płyta jest inna niż pierwsza, trzecia różni się od drugiej. Muzycy coraz częściej zaczynają mówić o rzeczach pozytywnych, w ich utworach jest coraz więcej humoru, optymizmu, haseł typu – *damy radę, nie bój się zmiany na lepsze, jest źle, ale trzeba coś z tym zrobić, zaakceptować i działać.*

Kilka dni temu mieliśmy dzień dobrych wiadomości w mediach. Myślę, że wszyscy możemy się uczyć i pracować nad tym, by zauważać rzeczy nie tylko złe, ale przede wszystkim dobre. Interesuje mnie, jak powstaje hip-hop. Muzyka zwykle tworzona jest przy pomocy instrumentów, a w hip-hopie jest inaczej. Raperzy wykorzystują bity i podkłady innych autorów. Raper „nakłada" tekst na cytowane dźwięki; didżeje, którzy mu towarzyszą, używają gramofonów. Zgodzisz się ze mną, że to kanon hip-hopu?


Ł. Fojt

Podam przykład: wchodzę do warszawskiego studia nagrań Wienia i Pelego przy Chmielnej i słyszę muzykę... Eleni. Hip-hop i Eleni? O co tu chodzi? Obecnie ważnym elementem w muzyce stał się sampel. Pele słucha na przykład Eleni i w jej muzyce szuka dobrego motywu, interesującego dźwięku, charakterystycznej trąbki, dwóch sekund, czegoś, co mogłoby być użyte w jego utworach. Następnie wycina ten fragment, wrzuca na komputer i bawi się tym: rozciąga, dokłada basy, trąbkę, dokłada inny sampel. Hip-hop to muzyka składana na komputerze. Na bitmaszynie tworzy się tzw. bity, w tym leitmotiv, który leci stale gdzieś w tle, a towarzyszą mu inne, mocniejsze bity, główne uderzenia. By mówić o szczegółach, trzeba by poprosić kogoś, kto tę muzykę robi, ale mniej więcej o to właśnie chodzi. Później, gdy muzyka jest już zrobiona, didżej dodaje skrecze. Robi się je poprzez szybkie przesuwanie płyty analogowej. Skrecze to po angielsku – drapanie.

Hiphopowcy ostatnio coraz częściej mówią o Bogu, nie boją się tego. Znany raper Sokół mówi, że, co prawda, nie można *mieszać hip-hopu z Panem Bogiem*, ale śpiewa o Nim dlatego, że *śpiewa o tym, co go otacza*.

Rzeczywiście. Kiedyś zastanawiałem się, jak to jest – czy można pięknie śpiewać o Bogu, a w gruncie rzeczy być od Niego bardzo daleko. Ale sam fakt, że ktoś decyduje się na coś takiego, jest znakiem, że Pan Bóg w jego życiu jest obecny. I powiem szczerze, że WWO i Sokół, o którym mówimy, może nie bezpośrednio, ale cały czas delikatnie odnoszą się do Boga, na pierwszej i kolejnych płytach. Byłoby bardzo niedobrze, gdyby ktoś śpiewał o Bogu, bo taka jest akurat moda. W czasie odbierania Oskarów każdy dziękuje Bogu, rodzinie, przyjaciołom. Zastanawiam się, czy jest to autentyczne, czy też robi to, bo wypada tak powiedzieć. Podobnie bywa w hip-hopie. Jest to autentyczna muzyka i prawdziwy przekaz z wewnątrz. Jeżeli śpiewają w niej o Bogu, musi w tym coś być. Mówimy o Wojtku Sokole, może dlatego, że jestem z nim zaprzyjaźniony i od niego zaczęła się moja przygoda z hip-hopem. Tydzień temu byłem w Warszawie. Po co? Bo zadzwonił i poprosił o spowiedź z całego życia. Może ktoś mi zarzuci, że publicznie mówię o sprawach bardzo osobistych, ale samo to, że ktoś pragnie spowiedzi, Komunii świętej – o czymś świadczy...

Gdy Ojciec Święty pobłogosławił tańczących breakdance chłopaków, wszyscy robiący tę muzykę byli pozytywnie nastawieni i mówili nawet, że coś zaiskrzyło między nimi a Kościołem. Jest odbiór pozytywny tego faktu, ale z drugiej strony – negatywny, możliwe, że o nim nie słyszałeś...

Nigdy bezpośrednio się z takim nie spotkałem. Podejrzewam, że w każdym zjawisku, które choć trochę odbiega od normy i jest niezgodne z przeciętnym myśleniem, człowiek będzie szukał „podstępu". Niedawno odbył się w Częstochowie mecz: księża kontra hiphopowcy. 90% osób, z którymi rozmawiałem, było zafascynowanych tym wydarzeniem, ale jeden redaktor z gazety „Ślizg" nie mógł się z nim pogodzić: jak to! – jedna skrajność z drugą skrajnością – hiphopowcy z księżmi? Nie można znaleźć nic wspólnego, co by ich łączyło! Podają sobie ręce, nagle spędzają ze sobą czas, są dla siebie mili i to nie jest na pokaz!? Każdy ma prawo mieć swój pogląd na jakieś zjawisko, ale ludzie nie chcą do siebie dopuścić takiej myśli: jak to? – tu mroczni, wulgarni hiphopowcy, narkotyki, przemoc, tatuaże, a po drugiej stronie – księża? Podejrzewam, że dzięki spotkaniu Ojca świętego z breakdancerami, czy choćby meczowi: księża – hiphopowcy, wielu chłopaków może zacząć patrzeć na Kościół inaczej; zacznie dostrzegać, że jest on otwarty, że


Ł. Fojt


Ł. Fojt

chce prowadzić dialog z każdą subkulturą, z każdym człowiekiem, bez względu na to, co robi. Że Kościół na nikogo się nie zamyka. Może dzięki temu spojrzy się pozytywniej na hiphopowców, że to nie tylko ci, którzy mają tatuaże na rękach, palą jointy, robią coś złego, nie uczą się, nie mają żadnych wartości.

Mecz zorganizowałeś, Rafale, 23 maja, później – wieczorny koncert, z którego dochód przeznaczony został na wakacje dla biednych dzieci. Jakie były konkretne owoce tego spotkania?

Owoce... Ktoś powie może, że owocem było tylko zebranie 140 milionów starych złotych. Za te pieniądze w ostatnim tygodniu lipca pojechaliśmy na odpoczynek z najbiedniejszymi i najzdolniejszymi dziećmi z mojej parafii, tj. św. Teresy od Dzieciątka Jezus w Częstochowie-Dźbowie do Koszarowa Zdrój k. Żywca.

Wszystko zaczęło się o godzinie 15.00 na stadionie Victorii w Częstochowie. Przyjechała MTV, dziennikarze. Niecodzienne wydarzenie. Księża wygrali 2:0!

To nieistotne! Byłem przeszczęśliwy, że coś takiego mogło się odbyć. Chodziło to po mojej głowie od ponad roku. Długo nie mogliśmy się zgrać, ale w końcu, po wielu perturbacjach udało się... To, że dzieci pojechały i wróciły zadowolone, szczęśliwe, to jeden owoc, drugi to ten, że mecz się w ogóle odbył i że w jednym miejscu stanęło tylu raperów. Nikt na żadnym festiwalu nie zebrał ich w takiej sile. Powiedzieli: *Udało ci się zebrać czterdziestu trzech chłopaków i wszyscy byli na jednym boisku i na jednej scenie*. A najpiękniejsze jest to, że wszyscy przyjechali bezinteresownie. Zwykle zespół bierze 4 do 5 tysięcy za koncert; tu było osiem zespołów i nikt nie wziął ani złotówki. Ktoś spojrzy może inaczej na hiphopowców i powie, że to ludzie, którzy chcą pomagać dzieciom, chcą bezinteresownie coś dobrego zrobić. Przed koncertem byliśmy na Jasnej Górze. Uzgodniłem z ojcem przeorem, że 20 minut przed obrazem Matki Bożej będzie tylko dla nas. Jeszcze przed wejściem powiedziałem chłopakom, że wezmę mikrofon, powiem parę słów, a potem podam go do tyłu i kto będzie miał życzenie, to może powiedzieć jedno czy dwa zdania. Powiem szczerze, myślałem, że dwóch, trzech może coś tam powie, a tu praktycznie niemal wszyscy wzięli mikrofon do ręki. Mówili słowa bardzo mądre, mniej mądre, dłuższe-krótsze refleksje. Łza płynęła mi po policzku. Było niesamowite to, co mówili, jakich słów używali. Najpiękniejsze było to, że jak wyszliśmy z kaplicy, to pytali, czy już muszą jechać na koncert. Mówię, że już, bo jesteśmy pół godziny spóźnieni, a oni na to: *Poczekaj chwilę, chcemy, aby ta cisza troszeczkę dłużej w nas trwała*. To było niesamowite wrażenie, każdy podchodził, klepał mnie po ramieniu i mówił tylko – „dziękuję". Teraz widzę ich po pół roku i nikt nie wspomina meczu i koncertu, chociaż to też pamiętają, ale każdy mówi: „Rafał, na Jasnej Górze to było coś niesamowitego!". To jest kolejny owoc. Ewangelia mówi, że owoce zostaną zebrane dopiero kiedyś. To tylko ziarno, które może kiedyś zaowocuje...

To była chyba pierwsza narodowa pielgrzymka hiphopowców na Jasną Górę?

Można to tak nazwać. A propos pielgrzymek. W Warszawie mieszka Maciek, pseudonim Bilon, kiedyś był w składzie Molesty, ma 28 lat, na pielgrzymce był już 18 razy. Zabierała go na nią babcia, odkąd skończył 10 lat i tak to trwa do dziś. Od 4 czy 5 lat zabiera swoich kolegów, innych muzyków, raperów i nie tylko, również kolegów z Mokotowa. Często nienajlepszych chłopaków, którzy nie mogą się odnaleźć, szukają wszystkiego i sensu życia. Mówi im, że tam można wiele przeżyć. Kilka lat temu widziałem, kto tam idzie. To byli ludzie, którzy nie mieli nawet kontaktu z Kościołem, którzy patrzyli na niego bardzo dziwnie. Szli na pielgrzymkę i naprawdę dochodziło do wielkich nawróceń. W tym roku, tradycyjnie, Maciek szedł z Wilkiem, swoim ziomkiem z zespołu, zabrali też kilku innych kolegów. Byli tutaj, spali u nas przez 2 dni na plebanii. Pielgrzymka pielgrzymką, ale to, co się dzieje później... Dochodzi do spowiedzi z całego życia: to są według mnie owoce. „Może ksiądz by poszedł z nami za rok, może byśmy jeszcze parę osób wzięli?". To na razie propozycja. Nie chodzi o to, by tworzyć grupę hip-hopową, ale o to, by coraz więcej ludzi zarażać tym, co piękne. Jeszcze jedno słowo o Bilonie. 2 lata temu zrobił sobie duży tatuaż na plecach, a na nim nic innego tylko trasę pielgrzymki z Warszawy do Częstochowy. Kiedy wchodziła pielgrzymka, w „Życiu Częstochowy" ukazał się artykuł o nim i zdjęcie jego pleców. Ktoś powie, że mógł przecież wytatuować sobie wiele rzeczy, a on wybrał właśnie to. To musiało być dla niego naprawdę ważne.







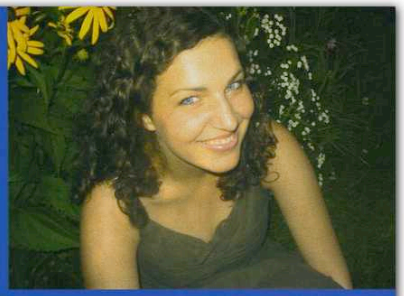


Chwała Panu! Co, Twoim zdaniem, powinni robić nauczyciele, katecheci, którzy na co dzień pracują z trudną młodzieżą? Jak powinni do niej podchodzić, jak z nią pracować, żeby młodzi czuli się potrzebni, a nie odrzuceni?

Trudno mówić o radach. W Polsce, a może wszędzie, jest taki stereotyp, że ktoś z taką fryzurą, z takim wyglądem jest O.K., a z czymś innym – już nie. Chyba każdy z nas łapie się na tym. I nauczyciel widząc w klasie takiego „odmieńca"– z innym kolorem włosów lub kolczykiem, gdzieś podświadomie uważa takiego człowieka za gorszego. Człowiek sam sobie tworzy taki obraz, często niewłaściwy. Do tego coś dopowie koleżanka, kolega... Czas pokazuje, że w rzeczywistości są to ludzie, którzy bardzo, bardzo potrzebują zrozumienia i Pana Boga. Każdy z nas jest w jakiś sposób niedoskonały, ma wady i zalety, oni oczywiście też, to jest normalne. Nie należy bać się ludzi, żadnego człowieka i na życie trzeba patrzeć optymistycznie, należy szukać u ludzi raczej czegoś dobrego, bardziej pozytywów niż wad i cech negatywnych. Lepiej nie widzieć w uczniu tego, że jest dziwny. Należy to uszanować. ■

rozmawiał ks. Grzegorz Ułamek

z Martą Florek



rozmawia Marcin Neuman

Pamiętam czas tych rekolekcji. Modlitwa, przemawiająca muzyka z wyższej półki i wspaniali ludzie – wszystko to w malowniczym Gródku nad Dunajcem. Biegłem gdzieś schodami domu rekolekcyjnego. W pewnym momencie natknąłem się na Martę. Ponieważ omal dziewczyny nie przewróciłem, zacząłem ją przepraszać. Nawiązała się bardzo miła rozmowa – zaproponowałem, byśmy usiedli na tarasie. Marta powiedziała, że coś tam sobie wprawdzie śpiewa, ale to nic wielkiego. Dałem jej swoją płytkę, a ponieważ zadeklarowała chęć „by popiszczeć" w refrenie, obiecałem zadzwonić. Zaraz po przyjeździe coś mnie tknęło i zabrałem się do pracy w studio. Zrobiłem podkład i podesłałem Marcie. Oddzwoniła zaraz po otrzymaniu przesyłki o pierwszej w nocy. Miesiąc później spotkaliśmy się na… nagraniu, i tak powstał utwór „Mam to w sobie".

Jesteś laureatką II miejsca na Międzynarodowym Festiwalu „Pop Music Discovery" – Warna 2004. Opowiedz nam, jak dostałaś się na tak prestiżową imprezę.

Przez eliminacje w Nowohuckim Centrum Kultury. Osobą, która decydowała, kto pojedzie na Festiwal, był pan Aleksander Pałac z Telewizji Polskiej, z FIDOF-u, czyli organizacji zajmującej się zdolnymi śpiewającymi ludźmi, którzy mogą reprezentować nasz kraj na festiwalach za granicą. To wyróżnienie było dla mnie ogromną niespodzianką... Pamiętam moje zaskoczenie i... uczucie szczęścia, kiedy zdałam sobie sprawę, że będę reprezentantką Polski.

Bułgaria to obcy język, kultura, itp. Nie bałaś się tej podróży? W końcu pojechałaś tam zupełnie sama?

Nie sama, tylko z panem Aleksandrem Pałacem (którego niewiele znałam) i panią Krystyną Piotrkowską – pedagogiem szkolącym „młode talenty". Sama podróż trzema samolotami była nieco męcząca, ale dalsze wydarzenia postawiły mnie na nogi. Nie da się opisać mojego przerażenia, jakie ogarnęło mnie po przyjeździe do bułgarskiego hotelu... Po niespełna roku nauki języka angielskiego miałam na początku spore problemy z porozumiewaniem się. Uczestnikami byli ludzie w wieku 17-30 lat z czterech kontynentów. Niektórzy wyglądali jak prawdziwe gwiazdy. Dowiedziałam się, że w swoich krajach są popularni, rozdają autografy... Pomyślałam sobie: co ja tu robię? Po pierwszej próbie stwierdziłam jednak, że Polska nie jest chyba wcale taka zła. Sam konkurs trwał dwa dni, niezwykle ekscytujące i pracowite, ale opłacało się zdobyć II miejsce, jako najmłodsza uczestniczka, to było coś!

Podobno jeden z jurorów podczas wręczania Ci nagrody nie mógł się nadziwić, że biała dziewczyna może mieć taki czarny głos... Powiedz, czy było jeszcze coś, co wywarło na Tobie jakieś szczególne wrażenie, co Cię zdziwiło?

W Bułgarii zaskoczyła mnie dyskoteka. Po koncercie i rozdaniu nagród świętowaliśmy na uroczystym bankiecie. Zabrali nas do jakiegoś klubu, gdzie jednym z utworów była piosenka, przy której bułgarska młodzież tańczyła ich narodowy taniec w kręgu, tak jak tańczy się Zorbę... W Polsce coś takiego by nie przeszło!

„Mam to w sobie" jest Twoim pierwszym singlem. Jak ludzie reagują na ten utwór?

Piosenka jest dość świeża, ale ma już swoją anegdotę. Gdy niespełna trzyletnia Julia po wysłuchaniu piosenki swojej cioci chodziła po pokoju i śpiewała ją – nikogo to nie dziwiło. Gdy jej głosik dobiegać zaczął z toalety – no, cóż? – domownicy byli nieco zaskoczeni. Mała Julia śpiewała powyższy refren... siedząc na nocniczku.

Ha, ha, ha… Powiedz jeszcze, czy ludzie rozpoznają Cię na ulicy?

Spotykam się z wieloma zabawnymi sytuacjami, które są dla mnie bardzo miłe, ale zupełnie nie wiem, jak powinnam się podczas nich zachować. Niektórzy traktują mnie jak kogoś wyjątkowego, inni biorą autografy dla swoich dzieci, jeszcze inni dziwnie mi się przyglądają, a ostatnio poznałam w Krakowie poetkę – Ewę Lipską, która miała wieczór autorski i myślała, że jestem kimś z Telewizji, he, he... Fajnie czasem poczuć się wyjątkowo. ■

Bóg mi zaufał

z Robertem 'Litzą Friedrichem

rozmawia Paweł Gzyl



M.S. Witwicey

Czytałem niedawno wywiad z popularnym amerykańskim zespołem metalowym Tool. Jego lider powiedział, iż dzień dzień 11 września 2001 r. udowodnił, że religie są obecnie największym złem na świecie.

Powodem prawdziwych nieszczęść może być jedynie pogańska religia naturalna – wykorzystywanie Boga do własnych interesów. Objawia się to w różnych formach: najprostszą z nich jest składanie Bogu ofiar, aby wymusić na Nim przychylność dla naszych planów. Kiedy postępowanie człowieka wynika z doświadczenia żywej relacji z Bogiem – nigdy nie przyniesie złych efektów.

Zagrożenie terroryzmem sprawiło, że przeciętny mieszkaniec Zachodu zaczął patrzeć nieufnie na ludzi radykalnie podchodzących do spraw wiary. Ty jesteś właśnie takim człowiekiem. Obraziłbyś się, gdyby ktoś nazwał Cię fanatykiem?

Prawdziwy chrześcijanin jest nietypowym fanatykiem, ponieważ jest gotów oddać swe własne życie za drugiego człowieka. Czy kogoś takiego można się lękać? Ja najbardziej obawiam się fanatyków-ateistów: kiedy ktoś nie wyznaje żadnych zasad, wtedy można się po nim spodziewać wszystkiego...

Ataki terrorystyczne na całym świecie przypomniały ludziom, że kresem naszej ziemskiej wędrówki jest śmierć.

Mimo ogromnego postępu cywilizacyjnego i gwałtownego rozwoju techniki wielu ludzi nie widzi sensu życia. Dlatego potrzeba nam świadków – tych, którzy będą głośno mówili o swym doświadczeniu obecności Boga. Byliby oni znakiem, że można żyć według ewangelicznych zasad: kochać swych nieprzyjaciół, przebaczać swym winowajcom, służyć Bogu i bliźnim. Wtedy pozostali dostrzegą, że ich egzystencja ma sens – ale tylko w kontekście życia wiecznego.

Konsekwencją wydarzeń z 11 września okazał się atak Stanów Zjednoczonych na Afganistan, a potem na Irak. Było to symboliczne starcie dwóch cywilizacji: zachodniej, czyli liberalnej, i wschodniej, czyli tej, która funkcjonuje w oparciu o zasady religijne.

Człowiekiem odartym z chrześcijańskiej moralności kieruje tylko chciwość i przemoc. Bez Jezusa Chrystusa każdy, kto sprzeciwia się naszej woli, jest dla nas potencjalnym wrogiem. Dopiero w świetle Jego nauki staje się jasne, że nie dzieje się nic złego, kiedy ktoś się nam przeciwstawia lub nas osądza. Lekarstwem na wszystkie konflikty – te w skali makro, czyli międzynarodowe i te w skali mikro, czyli rodzinne – jest Bóg.

Postrzegając Holandię jako awangardę zachodniej cywilizacji zmierzamy dokładnie w odwrotnym kierunku: aborcja, eutanazja, swobodny dostęp do narkotyków, legalizacja małżeństw homoseksualnych – to efekty odrzucenia dotychczasowych norm moralnych wypływających z nauki Chrystusa.

To, co dzieje się w Holandii, jest wynikiem błędnego rozumienia wolności. Czy odrzucenie wszelkich zasad moralnych przyniesie nam szczęście? Nie – to ślepa uliczka. Ludzie wybierają taką postawę, ponieważ nigdy nie widzieli w swoim życiu prawdziwego świadka Chrystusa – kogoś, kto byłby dla nich znakiem, że Jezus jest najlepszym lekarstwem na wszystkie choroby i problemy tego świata. Dam ci przykład. Poznałem kiedyś człowieka, który był właśnie w trakcie procesu zmiany płci: fizycznie był mężczyzną, a psychicznie czuł się kobietą. Brał leki hormonalne, przygotowywał się do operacji... W tym samym czasie spotkał ludzi, którzy powiedzieli mu, że Chrystus kocha go bez względu na to, jaką podejmie decyzję. Wtedy otworzył się na Boga i zawierzył mu swój problem. Jakież było jego zdziwienie, kiedy niemal w przededniu zaplanowanej operacji lekarz, który prowadził specjalistyczną klinikę zmian płci, zamknął ją, ponieważ jak sam stwierdził, jego operacje nie przywracały ludziom szczęścia. Dziś mój znajomy jest pa-



storem, ma żonę i córkę. Jego życie jest świadectwem tego, że dla Jezusa nie ma żadnych barier i przeszkód, których nie mógłby pokonać. Chrystus jest jedynym lekarstwem na przywrócenie każdej tożsamości: mężczyzny, kobiety, ojca, matki, kapłana...

Czeka nas zatem starcie – jak to nazywa Papież – „cywilizacji miłości" z „cywilizacją śmierci". Czy młodzi ludzie wybiorą drogę wskazywaną im przez Jana Pawła II?

Trzykrotnie uczestniczyłem w spotkaniach młodzieży z Ojcem Świętym – w Paryżu, Rzymie i Toronto. I co Papież mówił milionom młodych ludzi? Że w nich wierzy – mimo ich słabości, grzechów, zdrad, niewierności, cudzołóstw, egoizmowi. On im nie moralizuje – mówi im tylko, że mogą być „solą i światłem" tej ziemi. I to jest coś, co i mnie pociąga. Do niedawna nikt niczego mi nie dał, bo sądził, że to zepsuję. A Bóg mi zaufał i powierzył najcenniejszy skarb – żonę i szóstkę dzieci.

Dlaczego wielu młodym ludziom Kościół kojarzy się nie z wolnością, ale ze zniewoleniem?

Ponieważ postrzegają oni religię jako zbiór martwych zakazów i nakazów, a nie żywą więź z Bogiem. Tymczasem II Sobór Watykański otworzył Kościół na nowe sposoby przeżywania wiary: na całym świecie powstają różne wspólnoty, w których można poszukiwać własnej drogi do Boga. Są w tych wspólnotach tacy, którzy kiedyś buntowali się wobec Kościoła, a teraz dostrzegli w Bogu jedyną nadzieję dla siebie, swojej rodziny i swojego życia. Jestem w takiej wspólnocie od dziewięciu lat. Kiedy mówię „kościół" mam na myśli nie jakąś abstrakcyjną grupę wiernych, ale moją małą wspólnotę, w której wszyscy bardzo dobrze się znamy. Nie łączą nas wspólne interesy, zainteresowania czy wiek – tylko Jezus. To dzięki Niemu, mimo że wiele nas dzieli, jesteśmy braćmi.

Niektórych ludzi odpychają od Kościoła grzechy jego pasterzy – coraz głośniej mówi się w mediach o molestowaniu seksualnym dzieci przez księży czy różnych aferach finansowych, w które zaangażowani są duchowni...

Grzech w Kościele jest czymś normalnym – przecież Kościół tworzą zwykli ludzie: słabi i ułomni. Osobną kwestią jest nagłaśnianie tych afer przez media. Są osoby, które niszczą w sposób bezpośredni, ale są też takie, które robią to w sposób zawoalowany. Niby czynią dobro i głoszą prawdę, a w rzeczywistości zabierają innym ludziom sens życia. Wszystkie ataki na Kościół ze strony mediów uznaję za coś naturalnego – kiedy nie ma sprzeciwu wobec nauki Chrystusa, oznacza to, że nie można mówić o znaku wiary. Przecież ktoś, kto żyje wedle ewangelicznych zasad, jest w dzisiejszym świecie kimś, kto wywołuje skandal.

Dla wielu młodych ludzi jesteś kimś w rodzaju idola – młodzież uznaje Cię za przykład do naśladowania. Czujesz na sobie ciężar odpowiedzialności za ich wybory życiowe?

Przede wszystkim czuję się odpowiedzialny za moją rodzinę – jako mąż i ojciec, później za wspólnotę – jako brat i wreszcie za zespół – jako muzyk.

Na płytach Twojego dorosłego zespołu – 2TM2,3 – śpiewasz wyłącznie teksty zaczerpnięte z Biblii – czy to wynika z obawy, że używając własnych słów możesz coś źle zinterpretować?

Ewangelia nie jest dla mnie pustym tekstem sprzed dwóch tysięcy lat. Wszystkie fragmenty Biblii, które śpiewam, przeżyłem głęboko we własnym życiu.

Kiedyś powiedziałeś, że zespół 2TM2,3 to narzędzie w ręku Boga...

Wszystko może być takim narzędziem. Jeśli nie wymyka się ono z bożej dłoni – zawsze będzie świadczyć o Jego miłości.

Kazik Staszewski w jednym z wywiadów, wspominając współpracę z Tobą w zespole KNŻ, powiedział że jesteś trudnym człowiekiem i lubisz rządzić – jak radzisz sobie z tym w 2TM2,3, który składa się z samych silnych indywidualności – liderów innych popularnych zespołów rockowych?

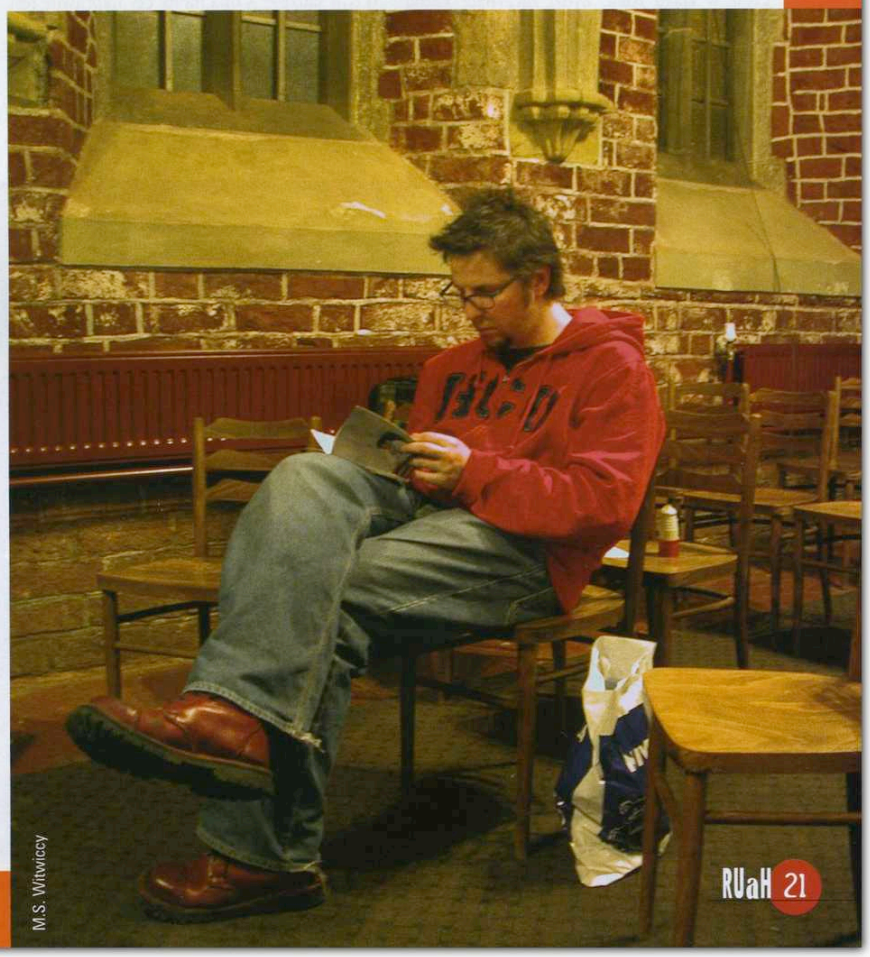
Ten zespół jest dla każdego z nas szkołą walki z własnym egoizmem – praca w nim to jeden z elementów naszego nawracania się.

We wspomnianym wywiadzie Kazik powiedział również, że odszedłeś z jego zespołu, ponieważ chciałeś się poświęcić pracy z Arką Noego...

Odszedłem z KNŻ, ponieważ chciałem poświęcić więcej czasu mojej rodzinie i wspólnocie. Dla Kazika było to nie do pojęcia – rozumiał, że mógłbym odejść do Arki dla pieniędzy, ale że dla żony i dzieci? To nie mieściło mu się w głowie. Mimo to, muszę przyznać, zaakceptował i uszanował moją decyzję.

Czy zdarzają Ci się chwile zwątpienia w to, że Bóg istnieje?

Kilka lat temu zachorowałem poważnie na serce. W czasie jazdy samochodem zasłabłem, sparaliżowało mi obie ręce, po prostu myślałem, że umieram... I wtedy poczułem, że jestem zupełnie pusty: nie mam w sobie żadnej wiary, w ogóle nie znam Boga. To był przełomowy moment w moim życiu. Miałem dwie ciężkie operacje, ale wbrew temu, co myślałem – nie umarłem. I to był fakt. Później wydarzyło się w moim życiu wiele takich rzeczy, które potwierdzały, że Bóg jest, prowadzi mnie i czuwa nade mną.



M.S. Witwicky

Czy w chwilach cierpienia nie buntowałeś się nigdy? Nie pytałeś Boga: dlaczego?

Kiedy leżałem na intensywnej terapii i leki przeciwbólowe przestawały działać, myślałem: „niech to się wreszcie skończy, nie mam już sił". A tu nic... Wypisali mnie do domu i przez 3 miesiące musiałem spać na siedząco, żeby zrósł się mostek. I bolało nadal... Wtedy zrozumiałem, że w ten sposób Bóg pokazuje mi, jak bezsensowne było życie, które prowadziłem przed chorobą. To, co w przeszłości stanowiło dla mnie wartość – w chwili najcięższej próby okazało się zupełnie bezwartościowe.

Jakie to były wartości?

Przede wszystkim realizowanie swoich ambicji i zdobywanie coraz większej popularności. Grałem wtedy z metalowym zespołem Acid Drinkers. W obliczu cierpienia i śmierci nie miało to najmniejszego znaczenia. Zostałem po prostu brutalnie sprowadzony na ziemię. Wtedy pojawiły się pytania o Boga i Kościół. Pojąłem w końcu, że chodzenie do Kościoła tylko po to, aby prosić Boga o zdrowie i powodzenie, jest bez sensu: zrozumiałem, że muszę poznać Jego zamiary wobec mnie – nie to, co ja chcę, tylko to, co On chce. Modlimy się przecież: *Bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi*.

A co w sytuacji, kiedy modlisz się do Boga, a On nie wysłuchuje Twoich próśb?

Nie można od Boga czegokolwiek żądać – to jest pogaństwo. Wystarczy zobaczyć ,co się dzieje w akademickich kościołach podczas sesji – prawdziwe tłumy, których nie uświadczysz w ciągu roku. Żydzi zaczynają każdą swoją modlitwę od uwielbienia Boga za to, co otrzymali. Oczywiście mnie też zdarza się prosić Boga o pomoc – ale nigdy nie precyzuję, w jaki sposób mogłaby ona przyjść.

A w sytuacji choroby dziecka – też potrafisz przyjąć jego cierpienie z pokorą?

Myślę, że tak. Miałem kilka takich sytuacji. W tym kontekście najlepszym świadectwem wiary jest dla mnie postawa Eleni: mimo że straciła dziecko, jako pierwsza przebaczyła zabójcy. Mimo że jest znaną artystką, kiedy nagrywaliśmy w jej studiu, zachowywała się jak normalna kobieta: robiła nam herbatę, sprzątała po nas... To wspaniały przykład pokory.

W Twoich wypowiedziach i innych osób należących do różnych wspólnot charyzmatycznych, zadziwia pewność, z jaką mówicie: „Bóg mi powiedział..." czy „Bóg mi pokazał...".

Bóg przemawia do nas na różne sposoby. Ja zobaczyłem Jego obecność w życiu innych ludzi. Różnica między tymi, którzy wierzą i którzy nie wierzą, okazała się oczywista: ci pierwsi żyją w strachu, że mogą wszystko, co mają, stracić, a ci drudzy – nie boją się niczego, są w stanie w każdej chwili porzucić to, co posiadają, lub oddać to innym. To był dla mnie oczywisty znak: musi istnieć coś więcej niż jakiekolwiek dobra, które możemy zgromadzić podczas swego życia na ziemi.

Jak rozpoznajesz wolę Boga w swym życiu?

W naszej wspólnocie neokatechumenalnej mówimy, że jeśli chcesz się dowiedzieć, czego chce od ciebie Bóg – zapytaj swojej żony. I to jest prawda! Weźmy przykład: mam studio nagraniowe i żeby je jeszcze lepiej wyposażyć i sprawić sobie przyjemność, chcę kupić do niego nowy mikrofon. I wtedy pytam żony: co o tym sądzisz? A ona na to: czy naprawdę jest ci on potrzebny? Czy bez niego nie możesz sobie poradzić? I odpowiedź jest jedna: nie. Mam żonę i szóstkę dzieci – więc jakie może być moje powołanie? Oczywiście – męża i ojca. Aby pełnić wolę bożą w mym życiu, muszę postępować tak, aby żona była ze mnie zadowolona, a dzieci się mnie nie wstydziły.

Jak wychowujesz dzieci?

Jestem bardzo niekonsekwentnym ojcem. Zdaję sobie sprawę, że kiedy dzieci wkroczą w wiek dojrzewania – mój autorytet padnie. Dlatego jedyną nadzieję widzę w ciągłym nawracaniu się. Kiedy dzieci zobaczą, że mimo moich słabości Bóg jest w mym życiu obecny – będą wiedziały, gdzie udać się po pomoc. Nie zdecydują się szukać odpowiedzi na swe najważniejsze pytania na koncertach rockowych, w subkulturach młodzieżowych czy w używkach.

Większość dzieci w okresie dojrzewania odrzuca wartości swych rodziców – nie obawiasz się tego?

Zdaję sobie sprawę, że dzieci są doskonałymi obserwatorami rzeczywistości i szybko zauważą moje hipokryzje. I wtedy przestaną ze mną rozmawiać lub odrzucą to, co będę starał się im przekazać. Widzę jednak ratunek w Kościele – kiedy dziecko kończy 13 lat, idzie do swojej wspólnoty neokatechumenalnej i żyje tym samym rytmem, co jego rodzice. Tam może szukać na własną rękę relacji ze Stwórcą.

Boisz się śmierci?

Fizycznej – nie. Boję się czegoś gorszego – śmierci duchowej czy psychicznej. Jeśli teraz powiedziałbym ci, że jesteś egoistą i durniem, zaczniesz umierać. Nie będziesz tego chciał, będziesz się bronił, ale to nic nie pomoże. A doświadczamy tego każdego dnia: w małżeństwie, w rodzinie, w pracy... Większość ludzi żyje w takiej niewoli i nie ma nadziei na jutro. To jest prawdziwe piekło. I ono jest najstraszniejsze. ■

rozmawiał Paweł Gzyl



M.S. Witwiccy



K. Raczyński



1

BONI
NA CZARNYM LĄDZIE
Malawi – Lilongwe – Mbununu



Pomiędzy Zambią a Mozambikiem leży niewielkie państwo, którego ¾ obszaru zajmuje jezioro. To państwo to MALAWI, nazywane gorącym sercem Afryki. Dzień i noc trwają tutaj równo po 12 godzin, zmierzch zapada w ciągu 15 minut, około godziny 18.00. Robi się wtedy zupełnie ciemno i tylko gwiazdy pokazują, gdzie jesteś – krzyż południa jest przepiękny! Rano o 5.45 następuje wschód słońca, który rozświetla niebo, przeważnie błękitne. Oprócz safari, czyli spotkania oko w oko z hipopotamem, krokodylem i innymi dzikimi stworami, które trzeba obowiązkowo przeżyć, jest też cudne jezioro Malawi, wyglądające jak morze. Temperatura wody wynosi 30 stopni, przejrzystość do 25 metrów – można wejść po szyję i wciąż widzieć własne stopy.

Nikogo tu nie dziwi, że przy drodze można kupić suszone myszy na kijach – Mouse Kebab. W niektórych misjach, w których mieszkaliśmy, szczury biegają w nocy po podłodze, jaszczurki po suficie, a pająki wielkości pięści siedzą niewzruszone na drzwiach szafy. Widok Afrykańczyka jadącego na rowerze z kozą posadzoną na bagażniku (tylne racice związane, górne przewieszone przez kierowcę) – to też zwyczajny malawijski obrazek. Widok 3-latka niosącego na plecach młodszą siostrę – codzienność.

W ciągu dnia słońce przygrzewało tak mocno, że grzaliśmy się na nim jak jaszczurki. Temperatura – około 30 stopni – nie była uciążliwa. Dzięki dużej wilgotności powietrza miało się wrażenie, że to takie nasze 20 stopni. Całości dopełniał niesamowity zapach, który panoszył się wszędzie, mieszanka palonego ogniska i orzeszków ziemnych.

Przygotowania do wyjazdu trwały ponad 8 miesięcy, każdy z uczestników tej wyprawy, oprócz obowiązkowych szczepień na żółtą gorączkę czy dur brzuszny, musiał być przygotowany na spotkanie z sytuacjami ekstremalnymi. I tu, jak się później okazało, bardzo przydał się kurs opieki medycznej w tropiku prowadzony w Poznaniu przez doktora Roberta Rehlisa.

Po 36 godzinach podróży lądujemy wreszcie w Lilongwe, stolicy Malawi. Lotnisko swymi rozmiarami nie przypomina nawet toru wyścigowego dla koni, a z budynków przypominających lotnisko jest tylko hala, w której odprawiani są pasażerowie. Jesteśmy bardzo zmęczeni, ale i podekscytowani. Ustawiamy się jak wszyscy w kolejce, by odebrać swe bagaże. Suprise! Niestety żaden z naszych 12 bagaży nie ukazał się na taśmie bagażowej. Przed oczyma staje nam wizja pobytu przez miesiąc w tym, w czym stoimy. Nie chcę martwić moich współtowarzyszy podróży, ale brak bagaży to brak podstawowych środków do przeżycia! Nie mając nic do oclenia, dość szybko przechodzimy przez odprawę celną i naszym oczom ukazuje się duży biały orzeł na koszulce jedynego białego mężczyzny otoczonego przez grupę Afrykańczyków. To ks. Wojtek wraz z młodzieżą szkolną, do której jedziemy, wyszli nam na powitanie. Skądś, niewiadomo skąd, tu w Afryce wręczają nam najprawdziwsze czerwone róże. Wychodzimy z lotniska i od razu uderza w nas gorące powietrze. Jest pora sucha, właściwie zima, wokoło dziwna roślinność, a temperatura ponad 25 stopni. Podróż do misji odbywamy na pace ciężarówki, co okazuje się niezapomnianym przeżyciem, bo oprócz cudownych widoków i pierwszego spojrzenia na okolicę, mamy też pierwszą lekcję pt. „Jak nie wypaść z pędzącej ciężarówki". Pędząc więc na tej ciężarówce,



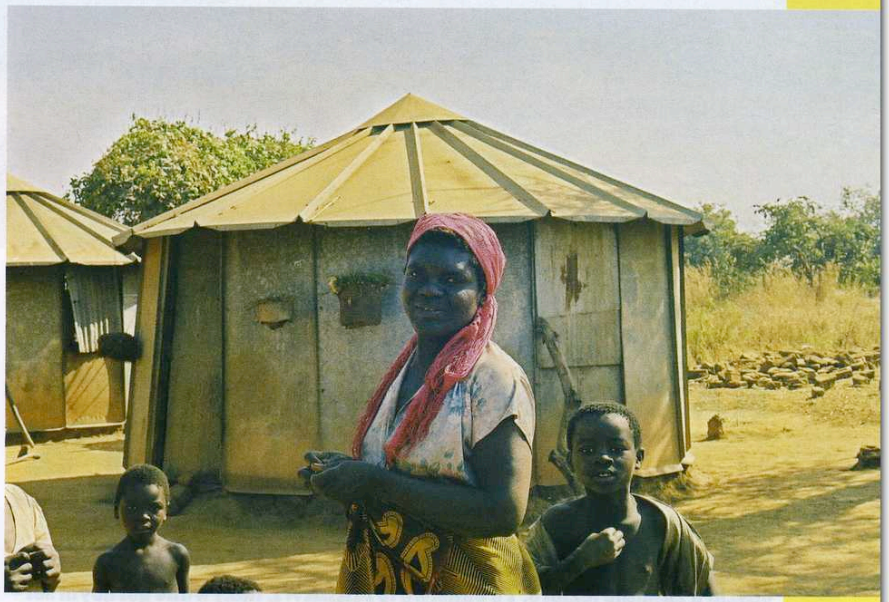


słuchamy szumu wiatru, wdychamy zapach ziemi pomieszanej z palonymi orzechami i słuchamy pieśni śpiewanych przez uczniów na naszą cześć. Od tej chwili na każdym kroku towarzyszyć będą nam śpiewy Afrykańczyków. Okazji do śpiewania nie brakuje nigdy, czy to poranna modlitwa, czy też pożegnanie przyjaciela, który odchodzi w daleką podróż, każda okazja jest dobra na wspólne śpiewy.

Po około 25 km dojeżdżamy do naszej misji. Misja, jak i szkoła, położone są na obrzeżach Lilongwe, w biednej dzielnicy. W pewnym momencie kończy się droga asfaltowa i wjeżdża się właściwie już tylko w busz. Rozlokowujemy się w pokojach, w których mamy mieszkać przez miesiąc. Oprócz standardowego łóżka, szafy i stolika, w oknach zamontowane są moskitiery, mające uchronić nas przed komarami, a w konsekwencji przed malarią. Do tego służy też moskitiera zawieszona nad łóżkiem. Cienka siateczka zawieszona centralnie nad łóżkiem powoduje drobne problemy z oddychaniem podczas snu. Niestety, twardo wytrzymujemy zaledwie parę nocy pod moskitierą. Na szczęście są też środki antymalaryczne, którymi spryskujemy co wieczór i rano nasze ubrania i pokój. Od pierwszych chwil pobytu jest to nasz stały punkt dnia – pryskanie pokoju i ubrań.



Pierwsze dni to przygotowania do realizacji naszego projektu pomocy szkole salezjańskiej. Marta z Olą przygotowują warsztaty grafiki komputerowej wraz z kursami metodycznymi, Krzysztof zajmuje się sprawami technicznymi, a ja składam małe studio nagrań, by wraz zespołem Don Bosco Band, działającym przy szkole, rozpocząć warsztaty muzyczne. W tym czasie dostajemy wiadomość, że nasze bagaże dotarły wreszcie na miejsce. Jedziemy na lotnisko. Bagaże są, tylko nieco szczuplejsze, gdyż parę rodzin w Johanesburgu potrzebowało jednego buta Krzyśka, kilku par skarpet, czy też naszych latarek. No cóż, godzimy się z rzeczywistością – i tak mieliśmy szczęście, że cokolwiek dotarło z naszych bagaży. Wreszcie będzie można zmienić koszulki.

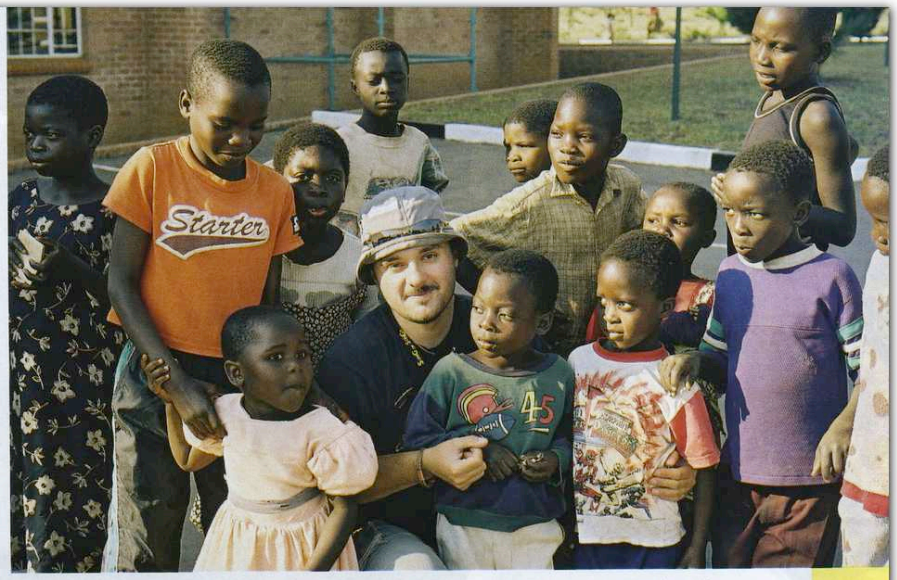


Drugiego dnia rano bierzemy udział w szkolnej mszy świętej. Odbywa się ona w sali gimnastycznej, która zostaje specjalnie do tego zaadaptowana i upiększona. Pierwsze, co nas zaskoczyło, to wspaniała oprawa liturgii: sam śpiew a cappella, ale o wspaniałej i rozbudowanej harmonii. Piękno tego śpiewu dostarcza nam niezapomnianych wzruszeń – ten chór szkolny nie spotyka się na próby i nie przygotowuje specjalnie pieśni na msze, oni po prostu czują sercem pieśni i harmonie, które przekazywane są im z pokolenia na pokolenie. Kazanie jest głoszone w miejscowym narzeczu chichewa (czyt. cicieła). Rozumiemy niewiele, oczywiście poza „Jesu Christu".

Nadchodzi nasza pierwsza niedziela w Malawi. Każdej niedzieli nasi gospodarze, księża Salezjanie, odprawiają kilka mszy w parafii, w której kościoły odległe są od siebie wiele kilometrów. Postanawiamy pojechać z księdzem Janem Bosco, Zambijczykiem, do wioski Mbununu na coniedzielną mszę. Po kilku kilometrach kończy się droga asfaltowa i zaczyna piaszczysta droga, którą naprawdę może pokonać tylko jeep i to w dodatku z napędem na cztery koła. Zamykamy okna, bo kurz z drogi nie pozwala oddychać. Brązowa ziemia spalona słońcem, wokoło spalone trawy, po horyzont widać niewielkie wzniesienia, które pokrywają łyse krzewy – wszystko przypomina trochę naszą jesień. Po około godzinie jazdy docieramy do małej wioski położonej w buszu. Widok, który zastajemy, to kilka chat zrobionych z cegieł a pośrodku placu mały kościółek. Na schodkach przed kościółkiem wystawione na słońcu suszą się bębny. Wokół przechadzają się kozy, pobekując od czasu do czasu. Poza tym nic nie wskazuje na to, że za chwilę ma się tu odbyć msza. Chaty mieszkańców, podobnie jak i kościół, zbudowane są z cegły, którą Malawijczycy sami wypalają na słońcu – cegła zrobiona z gliny nadaje się do budowy chaty, którą klei się z pomocą wody i gliny. Pokrycie to przeważnie strzechy zrobione z wysuszonej trawy, rzadziej z blachy falistej, bo to już luksus, na który nie stać wielu. Czas zacząć mszę, lider tej wiejskiej wspólnoty zaczyna energicznie walić w „dzwon",



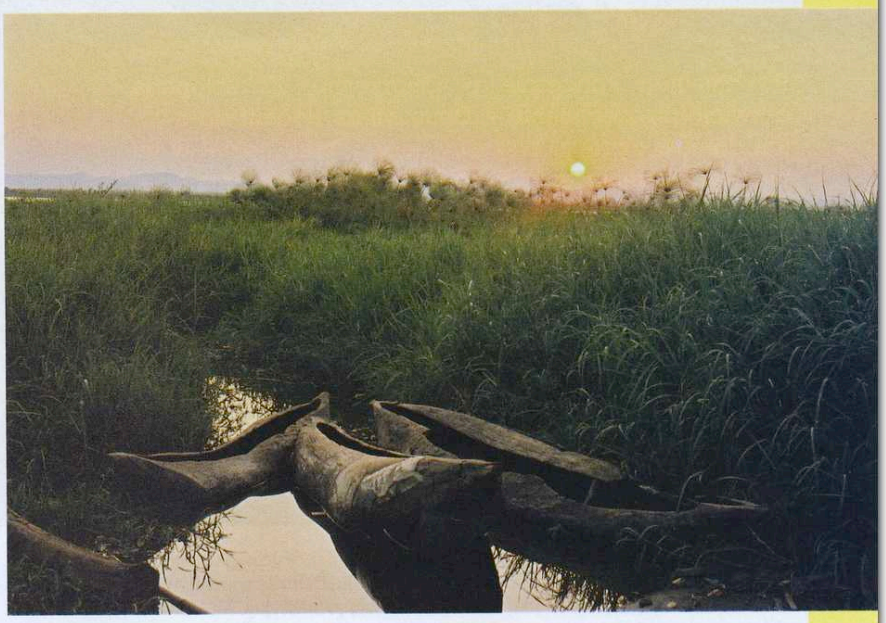
czyli felgę samochodu zawieszoną na drzewie nieopodal kościółka. Senna dotychczas wieś zaczyna się pomału budzić, niespiesznie, z charakterystycznym dla Afrykańczyków *pangono* (czyli „powoli') zaczynają się schodzić ludzie. To nic, że msza św. powinna się zacząć godzinę temu. Dla Afrykańczyka czas jest czymś, dla czego nie warto pędzić. Nawet w czasie liturgii do kościoła cały czas wchodzą spóźnialscy. Wśród nich wiele dzieci niosących na plecach w chitengach (kolorowych chustach) swoje młodsze rodzeństwo. Jakie jest nasze zdziwienie, gdy widzimy, że niektóre z dzieci, pomimo 27 stopni Celsjusza, noszą na głowach wełniane czapki. W trakcie mszy niektóre z nich kaszlą. Rozpoczyna się msza. Cała w narzeczu chichewa – tylko dzięki ks. Janowi, który daje nam dyskretnie znaki, wiemy, w który momencie mszy jesteśmy. W kazaniu oczywiście w chichewa, też o dziwo ks. Jan w pewnym momencie używa słowa *bambaryła*, po chwili słyszymy *głupi*, więc jednak się nie przesłyszeliśmy. Ksiądz Jan Bosco zna parę słów po polsku i stara się przekazać nam treść Ewangelii posługując się skrótami z użyciem znanych mu polskich słów. Cała liturgia upiększona jest śpiewem w wykonaniu wioskowego chóru, któremu towarzyszą chłopcy grający na bębnach. Bębny te, zrobione z kawałka pnia i obciągnięte kozią skórą, spokojnie zastąpić mogą każdą orkiestrę. Rytmy wyłaniające się spod rąk tych dzieci stają się podstawą, na której starsi budują swe harmonie i melodie. W tym małym wiejskim kościółku słyszę śpiew, który dorównuje niejednemu zawodowemu chórowi. Jest w tym śpiewie wiele radości a zarazem tęsknoty. Jest bieda i niemoc, ale też nadzieja i radość ze spotkania z Jezusem... A za oknem od czasu do czasu beczy koza, której widocznie udziela się nastrój panujący w kościółku.

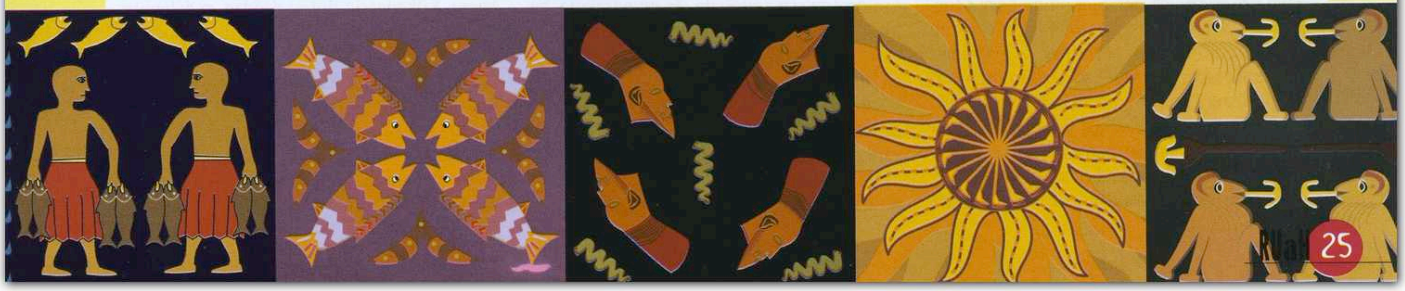




W wielu krajach Afryki zwyczaj nakazuje ugościć księdza, który często pokonuje wiele kilometrów, by spotkać się ze swymi parafianami i odprawić mszę. Posiłek po mszy często nie różni się od tego, co ludzie ci jadają na co dzień i niejednokrotnie jest jedynym posiłkiem, jaki mają oni i ich najbliżsi. Dzielą się tym, co mają najlepszego. Tak jest i tym razem – po skończonej mszy bierzemy udział w posiłku przygotowanym specjalnie na naszą cześć. Po obmyciu rąk w misce, jak nakazuje tradycja, zasiadamy do nsimy (czyt. szimy), czyli mączki kukurydzianej z jajkiem. Po posiłku czas już się zbierać, więc szybko pakujemy nasze rzeczy i ruszamy w drogę powrotną. W drodze na misję odwiedzamy jeszcze kilka wiejskich kościołów, by choć przez chwilę porozmawiać z parafianami, którzy nie mogli dotrzeć do Mbununu. Ta jedna msza dla ks. Jana Bosco zaczęła się o 9.00 rano, gdy wyjeżdżał z misji a skończyła o 16.00, czyli trwała 7 godzin. Czasem tych godzin pracy jest znacznie więcej, jeśli akurat jest pora deszczowa i nie można jechać normalnym tempem. Jedzie się więc o wiele dłużej i nie zawsze droga okazuje się przejezdna a most, który wczoraj był, nie zawsze jest tam i dziś. CDN...

tekst i zdjęcia:
Rafał Boniśniak







A. Bujnowski

Po ostatnim koncercie w Chorzowie, 22 listopada o świcie, szczecinianie z Deus Meus wrócili do swoich domów i pracy. Wszyscy, którzy brali udział w tej niezwykłej trasie, a było ich około 40 osób, mają teraz czas na wyciąganie wniosków i zbieranie owoców. 10 dni podróży przez Polskę, 10 lat Deus Meus!

BYŁAM NA TRASIE Z

Barabara Pycel

Każdy dzień tourneé przynosił sytuacje zwyczajne, ale i nieprzewidziane. Z „Deusami" było ich dziesiątki, od najbardziej prozaicznych, jak nieczynne bary i toalety na stacjach benzynowych, po wieczorne telefoniczne trudne rozmowy z babciami i mężami, którzy w czasie wyjazdu zajmowali się pozostałymi w domu dziećmi wykonawców. To była pierwsza tak długa trasa zespołu i większość jej uczestników ze zdziwieniem obserwowała, jak szybko nasz autokar zmieniał swoje przeznaczenie w zależności od okoliczności. W jednej chwili był barem szybkiej obsługi, chwilę potem sypialnią, a za moment salą projekcyjną. Na kilkudziesięciu metrach kwadratowych zmieściło się przedszkole, kaplica, biuro prasowe. I wszystko działało bez zarzutów!

Bilans

Wspólnie spędzone 10 dni, a dla niektórych nawet 2 tygodnie, to czas na bilans. Pokonaliśmy ponad 3,5 tys. kilometrów. Kiedy wyjeżdżaliśmy ze Szczecina, nic nie zapowiadało, że ostatni koncert w Chorzowie zagramy w towarzystwie prawdziwie zimowej aury. W internetowych relacjach z trasy można przeczytać, jak zespół wykorzystywał czas w autokarze. Kilkanaście dni w drodze, codziennie w innej części Polski, stało się dla młodych artystów dużą przygodą i prawdziwą szkołą życia. Zespół koncertował w 8 miastach, rozpoczynając trasę od rodzinnego Szczecina. Potem był Kalisz i Bolesławiec. Zaskoczyły nas ponad tysięczne tłumy, które przychodziły, by razem z nami się modlić. Bo to nie były zwykłe koncerty, ale prawdziwe

Spotkania ludzi ze sobą!

Na długo przed rozpoczęciem trasy pojawił się pomysł, żeby rejestrować koncerty. Czuwali nad tym akustycy zespołu, ze znakomitym Andrzejem Zielińskim na czele. Szkoda, że na planowanej płycie nie uda się zobaczyć wypełnionych po brzegi kościołów i ludzi ze świecami w rękach, śpiewających „Ogrody", czy „Święte Imię Jezus". Nawet nie pamiętam, w którym momencie w Kaliszu kościół wypełnił się setkami płomyczków, ale ten obraz i uczucie, kiedy coś ściska w gardle, zapamiętam na długo. Takie spotkania można przeżywać tylko z przyjaciółmi, a my tę atmosferę chcieliśmy zachować jak najdłużej, także w czasie wspólnych posiłków, tych przygotowywanych dla grupy w restauracjach, jak i tych zaimprowizowanych na przykład w sali do fitnes'u w warszawskim domu michaelitów na Bemowie. To ogromna łaska, że w czasie trasy ominęły nas wielkie konflikty. Nauczyliśmy się słuchać siebie nawzajem, bo każdy znalazł swoje miejsce w zespole. Rozmawialiśmy o tym w jednej z zaprzyjaźnionych częstochowskich parafii, gdzie znaleźliśmy czas na podsumowanie kończącej się trasy.

Deus Meus to wspólnota

która w ciągu 10 lat bardzo dojrzała i nauczyła się modlić na scenie. Sam Bóg był reżyserem spotkań, od Szczecina do Chorzowa, i dlatego każde wyglądało inaczej. W Kaliszu organizatorzy przeznaczyli dochód z koncertu na budowę domu dla bezdomnych mężczyzn, a w Lublinie razem z jego władzami i przedstawicielami lokalnych firm modliliśmy się za miasto. Muzycy, bez względu na to, gdzie występowali, na nowo odkrywali znane sobie utwory. Niektóre z nich Deus Meus zaśpiewał w nowych wersjach. Zawsze modliliśmy się, żeby być jedynie narzędziami w rękach Boga i tak odczytaliśmy tę trasę. To była służba. Atmosfera na wszystkich 8 koncertach, bo tyle udało się zrealizować, gościnność rodzin, które nas przyjmowały, ale przede wszystkim modlitwa, stawiały nas na nogi. Wiele osób podjęło trud wyjazdu w konkretnej intencji. Msza św., jutrznia, nieszpory, spontaniczne modlitwy, odwiedzane gdzieś na trasie kościoły i najmniejsze westchnienia słyszał Bóg. Nauczyliśmy się radzić sobie z przeziębieniami. Zwalczaliśmy je na różne sposoby, ostatecznie stosując najskuteczniejszą metodę babci, z czosnkiem w roli głównej. Jak w prawdziwej restauracji, zawsze w różnych odsłonach: z mlekiem, na kanapce, w barszczu z torebki albo jako składnik tajemniczej mikstury z dodatkiem miodu i soku z cytryn. Ci, których ominęło przeziębienie, zawdzięczają to Agnieszce Dubiel – żonie Andrzeja, menadżera zespołu i pochłanianym w ilościach hurtowych najnowszym lekom przeciwgrypowym, przeciwzapalnym i wykrztuśnym.

Podziękowania

– za te dwa tygodnie trasy i 10 lat zespołu należą się wszystkim, którzy kiedykolwiek byli związani z Deus Meus. Bez względu na to, ile czasu dane było im spędzić w chórze czy ekipie organizacyjnej. Wszystkim, którzy okazali nam dobro na trasie, chóralne „100 lat" odśpiewywane na większości koncertów, tort w Gdyni lekarzom, którzy wyleczyli ząb Tamary, kręgosłup Marcina, alergię Lidki i gardła całego chóru, rodzinom, które przyjmowały nas w swoich domach w Poznaniu i Warszawie, najlepszym akustykom w Polsce (wierzymy, że już niedługo będziemy mogli usłyszeć efekty ich pracy), o. Andrzejowi, kierowcy autokaru, menadżerom, naszym rodzinom i tym, którzy się za nas modlili – niech odpłaci sam Bóg. A my możemy tylko zaśpiewać: *Łubu dubu, łubu dubu, niech nam żyją...* ■

Barbara Pycel


A. Bujnowski

Thomas Celis Sanchez


G. Gielert


A. Bujnowski


J. Koniarski


G. Gielert


A. Bujnowski



K. Raczyński

Na spotkaniach był obecny Jezus Chrystus

z Tomkiem Kamińskim

o planach na najbliższą przyszłość, rozmawia Tomasz Strużanowski.

Przed niespełna rokiem wydałeś płytę pt. „Pieśni wielkopostne". Teraz przyszła pora na przygotowanie specjalnego koncertu kolęd.

Przed rokiem miałem okazję występować w Niemczech z Grażyną Łobaszewską. Współpraca układała się tak znakomicie, że zrodził się pomysł wspólnego projektu – koncertu, w którym wspólnie śpiewalibyśmy kolędy, a ponadto każde z nas wykonywałoby swoje najbardziej znane utwory. Dla mnie ta współpraca to prawdziwy zaszczyt. Uważam Grażynę za jedną z gwiazd – prawdziwych, a nie tylko lansowanych przez media – polskiej wokalistyki jazzowej, która nie tylko śpiewa, ale też – p o t r a f i to robić.

Jak ten projekt zabrzmi od strony muzycznej?

Główny nacisk położymy na wokal. Planujemy bardzo delikatny akompaniament: gitarę, kontrabas i skrzypce, natomiast z uwagi na to, że będziemy głównie występowali w świątyniach, zrezygnujemy z perkusji. Chcemy, aby nasze występy sprzyjały refleksji, wyciszeniu.

A jak zabrzmią śpiewane przez Was kolędy – tradycyjnie czy awangardowo?

Tradycyjnie. Polskie kolędy są tak piękne, że nie potrzebują „poprawiania", a poza tym chodzi o to, by uczestnicy koncertów śpiewali je z nami. Podobnie postąpiłem w przypadku pieśni wielkopostnych, które przed rokiem nagrałem na płytę, zachowując ich tradycyjne brzmienie. Po co poprawiać to, co jest piękne i wpisało się w naszą wrażliwość?

Czy owocem tych koncertów będzie nowa płyta?

To zależy od wielu czynników, ale chciałbym, żeby tak było.

Planujecie trasę koncertową, czy – jak to zwykle bywa w Twoim przypadku – odpowiadacie na konkretne zaproszenia?

Ja tylko tak działam. Jestem zapraszany na koncerty przez krąg przyjaciół, najczęściej duchownych, którzy podejmują jakieś dzieła dla ludzi, zwłaszcza dla młodzieży. Wiemy, że trwa walka o młodzież. Ci kapłani próbują zapewnić jej godziwą rozrywkę, ale przy okazji zaproponować „coś więcej". Uważam zresztą, że ich działania są wielkim darem dla Kościoła, trafną odpowiedzią na wyzwania tych czasów. Trzeba szukać nowych dróg dotarcia do młodego człowieka z Dobrą Nowiną. Jedną z nich mogą być właśnie koncerty i spotkania z artystami, którzy głośno przyznają się do Chrystusa i nie tylko śpiewają o Nim, lecz podczas koncertów dzielą się również świadectwem swego życia chrześcijańskiego.

Czy podczas spotkań z młodymi ludźmi udaje Ci się wchodzić w indywidualne relacje, czy też pozostają oni dla Ciebie dużą, anonimową grupą?

Nigdy nie unikam indywidualnych kontaktów. Ich owocem – już po koncertach – jest wiele rozmów, listów, SMS-ów. Dowiaduję się z nich, jak bardzo ważne dla wielu młodych ludzi są te spotkania, ile spraw pod ich wpływem przewartościowują, układają na nowo w swoim życiu. I to jest dla mnie dowód na to, że na tych spotkaniach jest obecny Jezus Chrystus, który działa, dotyka, przemienia, wzywa do nawrócenia...

„Po owocach ich poznacie"?

Tak. Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że to nie Tomek Kamiński tak działa. Gdybym myślał inaczej, musiałbym chyba być chory psychicznie. Kiedy zatem słyszę: „Tomek Kamiński pomógł mi w odkryciu życiowego powołania" to dla mnie jest to namacalny dowód, że gdzieś pośród nas, podczas mojego koncertu, przeszedł sam Jezus... To są te znaki – trzeba je tylko umieć czytać.

Jeśli te dzieła podejmowane przez Twoich przyjaciół-kapłanów owocują tak wspaniale, to czy nie jest to przestroga dla wszystkich, którzy mogliby zrobić coś dla młodzieży, a grzeszą zaniechaniem albo tym, że mówią i świadczą o Chrystusie w nieprzekonujący sposób?

Coś w tym jest...

Dlaczego tak duża część młodzieży „przechodzi między palcami" rodziców, nauczycieli, kapłanów i wybiera świat antywartości? Przecież są inicjatywy – jak choćby Twoje koncerty ewangelizacyjne – które dowodzą, że tak być nie musi...

Gdy zaczynamy działać „dla królestwa Bożego", Chrystus przełamuje wszelkie bariery. Dla mnie fascynujące jest choćby to, że facet taki jak ja, w średnim wieku, wcale nie typ idola, przystojnego blondyna, jest w stanie przy-

ciągnąć tylu młodych. Powtarzam – widzę tu przede wszystkim łaskę Chrystusa, sam czuję się jedynie narzędziem. To jest pewien znak dla dorosłych – szczególnie dla tych, którzy z racji zawodu, powołania są predystynowani do tego, by młodzi znajdowali w nich przewodników życiowych. Przecież to ci młodzi już niedługo będą nami rządzili, to oni będą wypracowywali dobrobyt tego kraju, to oni poniosą dalej – albo i nie – te wartości, które dla nas są ważne. To jest prawdziwa walka – bo nie zapominajmy, że młodzież z drugiej strony jest „bombardowana" propozycjami, które prowadzą na manowce...

Czy w starciu z tymi propozycjami jesteśmy bez szans?

Ależ skąd! Trzeba tylko nazywać rzeczy po imieniu: przekraczanie przykazań Bożych nazywać grzechem, pozwalanie sobie na wszystko – zniewoleniem. Trzeba uświadamiać, że wolność nie wyraża się hasłem „róbta, co chceta". Podczas koncertów mówię młodym ludziom, że mają być wolni od: narkotyków, pijaństwa, pornografii, zdrady małżeńskiej i wielu innych rzeczy. To jest prawdziwa wolność. I młodzież – paradoksalnie – wybiera nie łatwiznę, lecz wymagania, o ile tylko są one czytelne i poparte własnym przykładem. Kiedyś ktoś mi sugerował, żebym ograniczał się wyłącznie do śpiewania. Nie zastosowałem się do tej rady i mówię o tych sprawach coraz więcej podczas koncertów.

Mówić to jedno, żyć tym na co dzień to drugie...

Może to i smutne, co powiem, ale świeckich, którzy chcieliby działać w Kościele jest wielu – tyle tylko, że ich motywacje nie zawsze są uczciwe. Niekiedy chodzi po prostu o zbicie interesu. A tymczasem tu w szczególnym stopniu potrzeba świadectwa, przykładu własnego życia. Jak mógłbym mówić o rodzinie, o miłości, gdybym nieustannie, na nowo, nie próbował pogłębiać więzi z żoną, z dziećmi? Oczywiście – na tej drodze mogą się zdarzać potknięcia, wcale nie chcę przez to powiedzieć, że moja rodzina jest już taka modelowa, ale liczy się kierunek, w którym zmierzamy, ciągłe pragnienie wzrastania, praca nad sobą, gotowość do podnoszenia się z upadków. Małżeństwo, jak sam dobrze o tym wiesz, to nie tylko pasmo przyjemności. Czasami jest w nie wpisany krzyż.

Małżonkowie na swój sposób są powołani do tego, by naśladować samego Chrystusa – mają więc swoje Golgoty i góry Tabor...

Tak. I muszą pamiętać, że od tego, czy podejmą życie na wzór Chrystusa, zależy, co zdołają zaszczepić swoim dzieciom. Ich najważniejszym zadaniem jest wychować dzieci do miłości. Do prawdziwej miłości, a nie do namiastek, którymi próbuje nas raczyć świat. Nasze dzieci potrzebują wychowania do miłości, a nie do życia seksualnego.

Co byś powiedział młodym ludziom, którzy są daleko od Kościoła?

Z kontaktów, jakie mam z młodzieżą, rysuje się bardzo niepokojący obraz pokolenia, które nie uczestniczy we Mszy św. niedzielnej, nie korzysta z sakramentów i nie wierzy w ich moc, nie chce iść tą drogą, a jednocześnie na swój sposób jest otwarte na sacrum.

Mimo wszystko doradzałbym skorzystanie z którejś z propozycji składanych przez wspólnoty chrześcijańskie. Jest ich bardzo wiele – pod tym względem te czasy są o wiele bardziej uprzywilejowane niż lata mojej młodości. Myśmy aż tylu propozycji nie mieli.

Wiele tu zależy od tych, którzy próbują tę często niechętną, „najeżoną" młodzież przyciągnąć do Chrystusa – od ich inwencji, cierpliwości, umiejętności przyjęcia człowieka takiego, jakim jest. Często na koncertach sam doświadczam takiej postawy nieufności i rezerwy ze strony słuchaczy.

Jak na to patrzą muzycy, z którymi współpracujesz?

Cieszę się, że mogę pokazać ludziom z branży tę piękną stronę Kościoła. Nie tę, o której trąbią media, przy okazji wyolbrzymiając jej znaczenie, lecz ludzi, którzy całe swoje życie poświęcają na to, by jak najwięcej bliźnich przeciągnąć na stronę Chrystusa. Moi koledzy są zafascynowani tym wymiarem Kościoła, odrzucają narosłe przez lata stereotypy. Rozmawiamy o tym często na naszych „kursokonferencjach", czyli wieczornych spotkaniach po koncertach, kiedy w zaciszu hotelowego pokoju dyskutujemy zawzięcie na różne „duszne" tematy. Każdy z moich kolegów z zespołu jest zafascynowany swoją rodziną. Podczas jednej z ostatnich „kursokonferencji" zrobiliśmy sobie zbiorowy rachunek sumienia, próbując odpowiedzieć na pytanie, co jest dla nas ważniejsze: muzyka czy rodzina. W żadnym z nas nie było nawet cienia wątpliwości, że rodzina. Zawodowi mężowie jednej żony i ojcowie, którzy kochają muzykę i grają – tak bym określił naszą grupę. I cieszę się, że jesteśmy tak dalecy od stereotypu muzyka, wiodącego życie na walizkach, od koncertu do koncertu, od jednej przygodnej znajomości do drugiej...

...od jednej żony do drugiej...

Tak. Oczywiście nie jest tu moją intencją nikogo piętnować, każdy ma prawo tak układać swoje życie, jak to uważa za słuszne, ale...

...źle jest, kiedy się tym chwali, czy wręcz próbuje podnosić swój styl życia do rangi normy, wzorca do naśladowania.

Dokładnie. Jest to klasyczny przypadek grzechu zgorszenia. Młody człowiek szuka autorytetów. „Skoro robią tak ludzie z okładek magazynów, to może to jest i propozycja na życie dla mnie?" – oto tok myślenia i – niestety – działania, w który wchodzi. Kończy się to zawsze jednakowo: zranieniami, poczuciem przegranej, poplątaniem ścieżek życia...

Wróble na dachu ćwierkają, że powstaje pewna książka...

Tak – wywiad-rzeka, który przeprowadza ze mną pani Katarzyna Cegielska. Z założenia nie opowiada on o mnie jako artyście; jego motywem przewodnim nie jest ilość wydanych i sprzedanych przeze mnie płyt, ani odbyte wojaże. Pragnę w tej książce stanąć przed czytelnikami jako świadek rodziny. Chcę opowiedzieć, jak odkrywałem i nadal odkrywam miłość do mojej żony. Jak bardzo wymagająca jest autentyczna miłość małżeńska. Jak wspólnie podejmujemy zadanie wychowania naszych dzieci do miłości. Jak staramy się dbać o naszą miłość, pielęgnować ją, uczyć się jej.

Czy po 17 latach Wasza miłość jest większa niż w dniu ślubu?

Od początku ćwiczymy się w tej miłości, więc nic dziwnego, że jest ona zdecydowanie większa, niż wtedy, kiedy byliśmy „piękni i młodzi". Bo przecież prawdziwa miłość nie ma nic wspólnego z zakochaniem...

...o czym najlepiej jest wiedzieć długo przed ślubem, prawda? Bardzo dziękuję Ci za rozmowę.

rozmawiał: Tomasz Strużanowski



K. Raczyński

David Pierce w Krakowie



fot. Marek Krystoń

W dniach 19 – 21 listopada w Krakowie odbyła się konferencja pt. „Ucieczka z klatki na szczury". Gościem specjalnym spotkania był lider zespołu No Longer Music – David Pierce. Wygłosił on cykl wykładów, na których dawał świadectwo swojego życia z Bogiem oraz prowadził uwielbienie. Podczas trzech dni konferencji odbyły się również spotkania na temat aktywnego zaangażowania chrześcijan we współczesną kulturę, warsztaty tańca irlandzkiego i występ Dj. Była też wspólna modlitwa. Konferencję zorganizowało Stowarzyszenie Lokalnych Ośrodków Twórczych (SLOT – www.slot.org.pl). Podczas konferencji udało mi się krótko porozmawiać z Davidem. Oto, co mi powiedział.



fot. Bartek Maziarz

Mazi: **Często przyjeżdżasz do Polski, czy traktujesz nasz kraj w jakiś specjalny sposób, może jest on dla Ciebie krajem „specjalnej misji"?**
David: Polska jest dla mnie naprawdę takim szczególnym krajem i chociaż sam nie mówię po Polsku, czuję jakby była częścią mnie. Naprawdę bardzo się tutaj zaprzyjaźniłem z wieloma osobami. Bóg przyprowadził mnie tu w 1987 roku (Jarocin – przyp. red.) i od tego momentu mam szczególne wręcz zobowiązanie i wielką miłość do Polski.

Mazi: **Mówiłeś podczas konferencji o trasie, jaką planujecie z No Longer Music, możesz coś więcej nam o niej powiedzieć?**
David: Plany są takie, żeby zrobić trasę koncertową na przełomie czerwca i lipca przyszłego roku. W tej chwili nie wiem dokładnie, gdzie zagramy, ale planujemy zagrać w czerwcu w Polsce i w Czechach, a następnie w lipcu w Niemczech. Pod koniec lipca będziemy grali na Slot Art Festiwal i na dużym gotyckim festiwalu.

Mazi: **Wobec tak dużej trasy, czy są plany odnośnie donowej płyty zespołu?**
David: Pracujemy nad nowym materiałem, mam nadzieję, że w przyszłości wydamy nową płytę i że będzie to jak najwcześniej (śmiech). Mam bardzo twórczy zespół, więc mam nadzieję, że coś nowego wymyślimy. Pracujemy również nad różnymi efektami specjalnymi, które wykorzystujemy podczas naszych koncertów, więc myślę, że będziemy mieli coś świeżego, kiedy przyjedziemy tutaj w przyszłym roku.

Mazi: **Dziękuję bardzo.**
David: Proszę bardzo.

rozmawiał: Bartek „Mazi" Maziarz
(tłum: Maciej Wolfart)

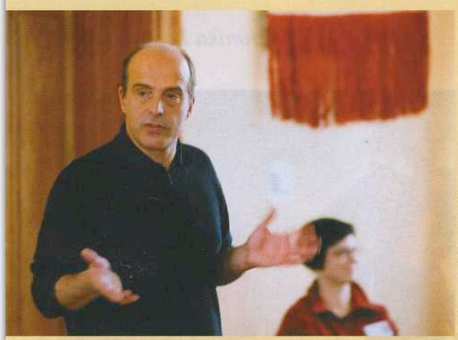


fot. Krzysztof Raczyński

To było!!! Pozdrowienia z Warmii

Spieszę donieść, że Warmia i Mazury dołączają do grona obrońców pięknej liturgii. Oto bowiem w dniach 5–7 listopada, w malowniczym Sanktuarium Maryjnym w Gietrzwałdzie, odbyły się Adwentowe Warsztaty Liturgiczno–Muzyczne, zorganizowane przez olsztyńskie środowisko akademickie. Opiekę muzyczną, zajęcia warsztatowe, dyrygenturę i prowadzenie chóru powierzono Pawłowi Bębenkowi, który zdobył serca 180 osobowego chóru. Uczestnicy warsztatów prowadzili także ożywione dyskusje z Janem Pospieszalskim, natomiast o. Tomasz Kwiecień OP i ks. prof. Ireneusz Pawlak wyposażyli nas dodatkowo w wiedzę na temat teologii adwentu i prawidłowej oprawy muzycznej w czasie Eucharystii. Olsztyńscy muzycy wsparli nas doświadczeniem, licznie zgromadzona młodzież entuzjastycznym udziałem, klerycy i organiści mocnymi głosami. Młodzi, starzy, z odległych miast (gościliśmy nawet przedstawicieli Wrocławia!) i tych mniejszych miasteczek połączyli się na chwilę, by wspólnie spotkać się z Bogiem i Maryją. Był czas na śpiewną modlitwę różańcową, wzniosłe pieśni Eucharystyczne, wzruszające utwory Maryjne, ale także rozbrzmiewające nocami piosenki, nie zawsze chrześcijańskie.
Dominikański duch tradycji liturgicznych na tyle poruszył serca Warmiaków i Mazurów, że zapragnęliśmy spotkać się raz jeszcze, tym razem przygotowując się do przeżywania Wielkiego Postu i Świąt Paschalnych. Już dziś serdecznie zapraszamy w dniach **17–20 lutego 2005 roku** na wspaniałą przygodę z „muzyką, która jest radością liturgii" (cyt. ks. prof. Ireneusz Pawlak). Zobaczcie sami, że już dawno nie jesteśmy Kresami Wschodnimi.
Szczegółowe informacje niebawem na stronie www.ruah.pl oraz pod adresem: magdera@interia.pl

Magda Cichocka



fot. Krzysztof Raczyński



zapal płomień miłości...

10 grudnia 2004 roku
Międzynarodowy Dzień Obrony Praw Człowieka

Projekt „Zapal Płomień Miłości" ma charakter interdyscyplinarny na rzecz dzieci, które doświadczają skutków różnego rodzaju dysfunkcji społecznych, m.in. głodu i tzw. problematyki „dzieci ulicy". Nad projektem honorowy patronat objął: UNICEF, Polska Akcja Humanitarna orazLaureat Pokojowej Nagrody Nobla, Prezydent Lech Wałęsa. Grudniowa edycja projektu, już czwarta z kolei, była akcją na rzecz dzieci – ofiar wojny i terroryzmu. Poprzednie edycje projektu odbywały się z myślą o wychowankach z Domu na Skraju, w Gdańsku, a także dla sierocińców w Afryce (Rwanda). W ubiegłym roku akcja dotyczyła pomocy dzieciom Iraku. Wszelkie wpływy finansowe z imprezy przekazaliśmy UNICEF – Polska, na specjalne konto na rzecz irackich dzieci (na szczepionki).

Tegoroczny projekt „Zapal Płomień Miłości" składał się z trzech części; plastycznej, muzycznej i literacko – teatralnej:

- wernisażu wystawy „Świat bliżej znany" w Akademii Sztuk Pięknych, w Gdańsku.
- wystawy prac plastycznych dzieci z różnych stron świata.

- czytania przez znanych i lubianych aktorów listów napisanych przez dzieci z różnych stron świata, w tej edycji z Iranu (listy z sierocińca w Bam ,które w ubiegłym roku przeżyło trzęsienie ziemi) oraz z Iraku (z sierocińców, z Al Hillah oraz Karabali i Bagdadu).

- koncertu finałowego zamykającego projekt „Zapal Płomień Miłości"oraz warsztatów muzycznych i plastycznych. W trakcie koncertu odbyła się aukcja na rzecz dzieci – ofiar wojny i terroryzmu. Wszelkie wpływy z projektu i aukcji przekazane zostały na konto Polskiej Akcji Humanitarnej. ■

Iwona Flisikowska
Autor i koordynator projektu



KIEDYŚ WINO I KREW

sł. i muz. Adam Szewczyk



Ciągle czekasz na cud, /**e C / D** /
Niespokojny Twój Duch, / **e C / D** /
A ja przypomnę, że: / **e C / D** /
W ciszy i przy blasku świec, / **C** /
Cud największy dzieje się. / **c** /

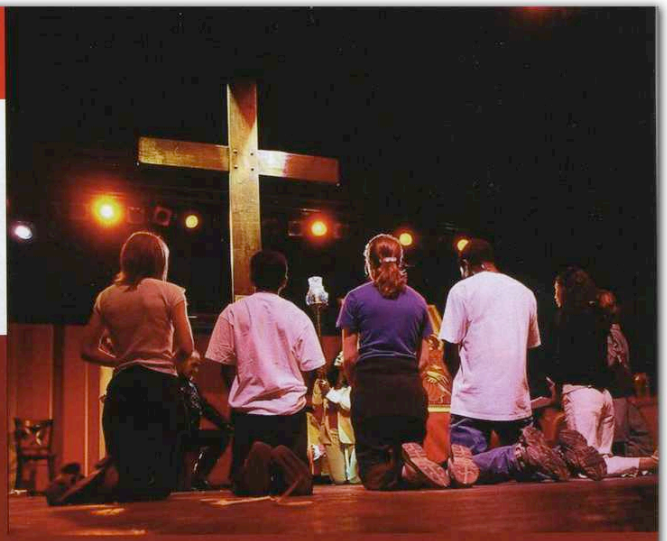
Ref.:
Kiedyś Wino i Chleb, /**G C / D** /
Teraz Ciało i Krew, / **G C / D**/
Możesz wierzyć lub nie, /**e C / D** /
To naprawdę dzieje się. /**C c / G D** /

Wypatrujesz co dnia,
Czekasz na jakiś znak,
A ja przypomnę, że:
W ciszy i przy blasku świec,
Cud największy dzieje się.



spotkanie młodych WADOWICE

XX. Weltjugendtag Köln 2005



WADOWICE → KOLONIA

Warto czasem oderwać się od ziemi. Jeśli chcesz spotkać młodych ludzi, którzy radość życia czerpią z wiary, i przeżyć dziesięć dni wypełnionych muzycznymi koncertami – przyjedź na Światowe Dni Młodzieży do Kolonii oraz poprzedzające je bezpośrednio przygotowanie duchowe w Wadowicach.

Najpiękniejsze okazało się czuwanie na placu Tor Vergata. To nic, że trzeba było tam długo iść. To nic, że w ciągu dnia dokuczał mi upał, a w nocy okrutnie zmarzłam. Naprawdę nic nie było w stanie zakłócić tej cudownej atmosfery. Tu rzeczywiście byliśmy JEDNO. Wspaniała wspólnota, skupienie i zasłuchanie w słowa Ojca Świętego – wspomina Kasia Wójcikowska, która uczestniczyła w XV Światowych Dniach Młodzieży w Rzymie w 2000 roku.

Poszukiwanie „czegoś", co nada znaczenie życiu

Spotkania młodych z całego globu zainicjował papież Jan Paweł II w 1985 roku. Światowe Dni Młodzieży obchodzone są każdego roku w diecezjach, zaś co kilka lat wszyscy przyjeżdżają w jedno miejsce, aby poczuć siłę wspólnoty, jaką tworzą oraz słuchać słów Ojca Świętego. Ostatnie takie spotkanie młodych z papieżem odbyło się w 2002 roku w Toronto. Wzięło w nim udział ponad 800 tys. osób.

Pozwólcie mi, droga młodzieży, położyć tę nadzieję w Was: to Wy musicie być tymi „budowniczymi"! To Wy jesteście ludźmi jutra. Przyszłość jest w Waszych sercach i rękach. Bóg powierza Wam to zadanie, trudne i wzniosłe zarazem, budowania wraz z nim cywilizacji miłości (..). Przekażcie wszystkim piękno kontaktu z Bogiem, który nadaje sens Waszemu życiu – wołał papież w Toronto.

Poruszające słowa Ojca Świętego zapadają w pamięci na długo. W 2005 roku młodzi z całego świata przyjadą do Kolonii. Będą uczestniczyć w konferencjach głoszonych przez biskupów z poszczególnych krajów, a także koncertach i ulicznych przedstawieniach w ramach festiwalu kultury. Kulminacyjnym punktem XX Światowych Dni Młodzieży ma być czuwanie z Ojcem Świętym, które zawsze jest wielkim przeżyciem. *Tak wielu nam współczesnych nie zna jeszcze miłości Bożej lub pragnie wypełnić swoje serce bezwartościowymi namiastkami. Zaproszenie do uczestnictwa w Światowym Dniu Młodzieży dotyczy również Was, drodzy przyjaciele, którzy nie jesteście ochrzczeni lub którzy nie odnajdujecie się w Kościele. Czyż nie jest prawdą, że również Wy macie pragnienie Absolutu i jesteście w poszukiwaniu „czegoś", co nada znaczenie Waszemu życiu?* – napisał w orędziu Jan Paweł II zachęcając do wzięcia udziału w spotkaniu w Kolonii.

Do Kolonii przez Wadowice

Zwieńczeniem spotkania będzie msza św., którą papież odprawi 21 sierpnia. Wyjazd do Kolonii zostanie poprzedzony VI Spotkaniami Młodych w Wadowicach, które organizuje Wspólnota Emmanuel. Potrwają one w przyszłym roku od 11 do 14 sierpnia. Bezpośrednio z Wadowic wszyscy pojadą specjalnymi pociągami do Kolonii. Po spotkaniu z papieżem tymi samymi pociągami młodzi wrócą do Krakowa i Warszawy. Dlaczego droga do Kolonii wiedzie przez Wadowice?

W rodzinnym mieście papieża chcemy duchowo przygotowywać się na spotkanie w Kolonii. Będziemy słuchać świadectw ludzi, którzy całą swoją nadzieję złożyli w Bogu i stali się Jego świadkami w świecie, a także rozmawiać wspólnie o wierze i miłości. Na pewno nie zabraknie też żywiołowej, radosnej muzyki, dzięki której łatwiej się modlić – mówi Marysia Tarasiewicz ze Wspólnoty Emmanuel.

Nabrać energii do realizowania marzeń

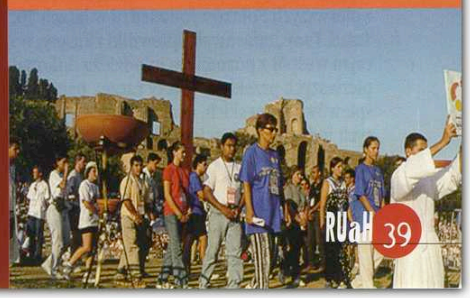
W czasie Spotkań Młodych rodzą się niejednokrotnie trwałe przyjaźnie.

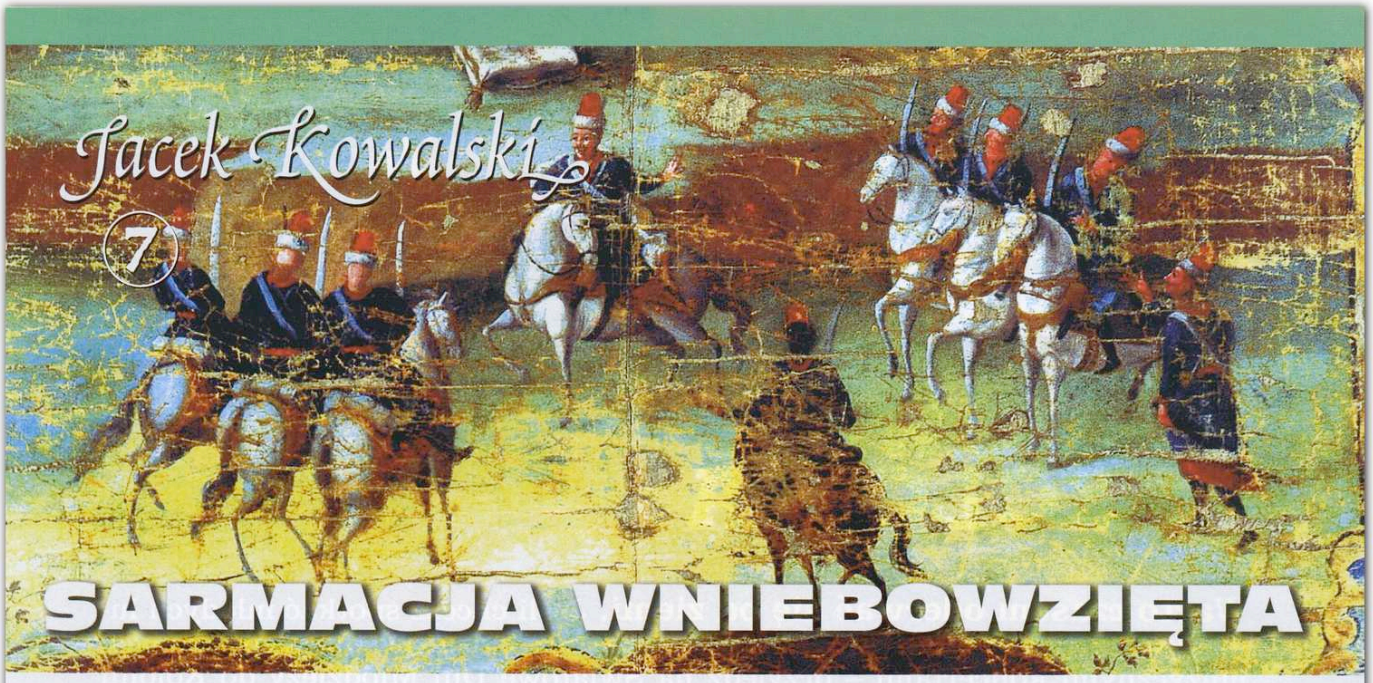
W Wadowicach spotkałem ludzi, którzy podobnie do mnie patrzą na świat. Nie zapominają o rzeczywistości, ale sensu życia szukają w czymś innym niż pieniądze, kariera, czy atakująca nas z każdej strony kultura masowa. Myślę, że każdy potrzebuje takiego oderwania się od codzienności, nabrania duchowej energii potrzebnej do realizowania marzeń – przekonuje Kuba Karasiński, 20-letni student Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie.

Międzynarodowe Spotkania Młodych odbywają się w rodzinnym mieście papieża od kilku lat. Są czasem Eucharystii, modlitwy, adoracji, duchowych warsztatów, ale także muzyki. Zawsze towarzyszą im liczne koncerty. Podczas przyszłorocznych Spotkań wystąpi Darek Malejonek i jego zespół Maleo Reggae Rockers. Więcej informacji dotyczących wadowickich Spotkań Młodych znajdziecie w kolejnym numerze.

Krzysztof Świątek

Zapisy na Światowe Dni Młodzieży w Kolonii i poprzedzające je Spotkanie Młodych w Wadowicach przyjmuje **Wspólnota Emmanuel**. Koszt całego wyjazdu, w który wliczony jest zarówno pobyt w Wadowicach i Kolonii, jak również transport do Niemiec i z powrotem, wynosi 350 zł + 132 Euro. Zgłaszać można się do końca marca 2005 roku drogą mailową (wypełniając formularz zgłoszeniowy ze strony www.emmanuel.info.pl/sdm) lub telefonicznie **(22) 668-70-84**. Ci, którzy, z różnych przyczyn, nie mogą pojechać do Kolonii, są i tak zaproszeni na Spotkanie do Wadowic, na które można się zgłaszać w ten sam sposób. Dodatkowe informacje znajdują się na stronie internetowej www.emmanuel.info.pl/sdm





NA POCZĄTKU BYŁ POZNAŃ

MOJE PRZEKŁAMANIE

Moje pisanie o „Sarmacji wniebowziętej" ani nie wyszło z nicości, ani też ku nicości nie jest skierowane. Przypominając o zapomnieniu, jakie dotyka staropolską poezję i pieśni, dokonuję bowiem oczywistego przekłamania. Księża, zakonnicy i świeccy, również i ci, którzy współtworzą redakcję RUaH-a – a wśród nich również propagatorzy „ostrej" muzyki – najczęściej noszą w sobie i umiłowanie, i znajomość dawnych, staropolskich pieśni. Kochają je i – nawet jeśli wolą twórczość współczesną – chętnie śpiewają. Tę miłość, lub chociażby przychylność dla staropolszczyzny wynieśli nie tylko z własnych przemyśleń i z udziału w jarosławskich festiwalach muzyki dawnej, albo z tradycji własnej rodziny czy parafii. Idę o zakład, że prawie każdy, zagadnięty o źródło kontaktu z Psalmami przekładania Kochanowskiego albo Karpińskiego, wskazałby swoje duszpasterstwo akademickie. Pójdę dalej i powiem, że jestem nieomal pewien, że owym dominującym środowiskiem „staropolskim" stały się dla większości z nas duszpasterstwa dominikańskie. I to już grubo ponad dwadzieścia pięć lat temu, czyli przed ćwierćwieczem! Od razu też niektórzy przypomną, że krakowskiej „Beczce" właśnie stuknęła czterdziestka. Z tej okazji wypadałoby może wskazać palcem na Kraków. Ale nie, nie, po stokroć nie! Choć „Beczkę" zakładał nasz (i mój) umiłowany duszpasterz, ojciec Tomasz Pawłowski, nie będę jej staropolsko zachwalał. To nie „Beczka" ani nie Kraków pierwsze połknęły staropolski haczyk:

NA POCZĄTKU BYŁ POZNAŃ

Zaczęło się od ojca Jana Góry OP i od Jasia Gołaskiego (pseudo „January"), czyli dominikańskiego duszpasterstwa szkół średnich w Poznaniu. Ojciec Jan, dziś żubr, niegdyś jelonek polskiego duszpasterstwa, od samego początku szukał ożywczych prądów, którymi można by poruszyć młode pokolenie. Wpierw popularyzował – i to skutecznie – twórczość kościelnych „poetów śpiewających" – Francuzów: jezuity, księdza Duval, dominikanki, siostry Sourire, księdza Cocagnac. Jednak ich miłe, aczkolwiek troszkę ckliwe twory dość szybko mu się przejadły. Wówczas, jako jeden z pierwszych Polaków, odwiedził w latach 70. Taizé. Tam „zafasował" śpiewniki i kasety, po czym wespół z poznańską młodzieżą dokonał pierwszych przekładów (czy raczej: parafraz) śpiewów taizowskich, oraz utworów z niektórych innych francuskich wspólnot, na polski. Tak powstały między innymi: „Idzie mój Pan", „Idą wysłańcy", „Nie bój się, nie lękaj się", czy „Pan jest mocą swojego ludu" – do dziś niezaprzeczalne „hity" liturgiczne drugiej połowy XX wieku... Te śpiewy rozprzestrzeniły się szybko po całej Polsce i dziś mało kto pamięta, że ich swojskie wersje narodziły się w Poznaniu.

JEDNAK NIE TAIZÉ

Zafascynowany Taizé Jan, jak to Jan, zawsze szukał dziury w całym i oto bardzo szybko zaczął patrzeć krzywym okiem na wypromowane przez samego siebie produkty kultury – jak by nie było – współczesnej, choć „historyzujące". Ci, którzy te czasy pamiętają, mówią zgodnie, że sprawa wywoływała zgorszenie: Jakże to? Cóż jest zdrożnego w Taizé? Czego ten Jan znowu chce? Czego wybrzydza? Jan zaś kręcił nosem, bo brakowało mu „rodzimości" (taka przynajmniej jest moja diagnoza) i „dawności" – autentycznej, a nie tylko udawanej. Zatem postanowił sięgnąć „do źródeł". Z pomocą nieodstępnego Januarego odgrzebał Psalmy w przekładach Kochanowskiego, z melodiami autorstwa Mikołaja Gomółki i XVII-wiecznego anonima z Brzegu, następnie tradycyjne pieśni adwentowe i wielkopostne, stare kolędy i wszystko, co tylko Janowi, Januaremu i duszpasterzowiczom zaczęło smakować. I już niedługo nie było w Polsce nikogo, kto wszedłszy do duszpasterstwa nie potrafiłby zanucić „Nieście chwałę, mocarze". Zrobiło się też modne chóralne wycie „Bogurodzicy", nie mówiąc już o tak zwanej „Konfederatce", czyli pieśni konfederatów barskich z dramatu Słowackiego „Ksiądz Marek", którą wykonywało się notorycznie i pompatycznie, zwłaszcza na wyjście, po Mszy Świętej (bo nigdzie indziej w liturgię wpasować się jej

nie dało...). Przy tej okazji staropolszczyzna zyskiwała nagle kontekst polityczny: „Konfederatka" została wypromowana na bodajże najpopularniejszy katolicki protest-song.

Wszystko to, co działo się w poznańskim duszpasterstwie, natychmiast przepływało do nowicjatu, a z nowicjatu – szło na wyższe lata, do krakowskiej pepiniery młodych dominikanów. W ten sposób – dopiero po pewnym czasie, choć zgoda, że dość szybko – staropolski repertuar przechwyciło środowisko krakowskie, a następnie pozostałe duszpasterstwa w całej Polsce. Ponieważ jednak cokolwiek jest „dawne", musi się w naszym kraju kojarzyć raczej z Krakowem, niż z Poznaniem, dlatego też obecnie „beczkowcy" myślą przeważnie, że to oni byli Kolumbami staropolskiego świata śpiewów religijnych. Tymczasem prawdą jest tylko to, że w Krakowie najwcześniej zaczęto drukować i sprzedawać śpiewniki z tym repertuarem. Za Komuny duszpasterstwo krakowskie miało po prostu lepsze środki poligraficzno-ekonomiczne.

ZGRZYT

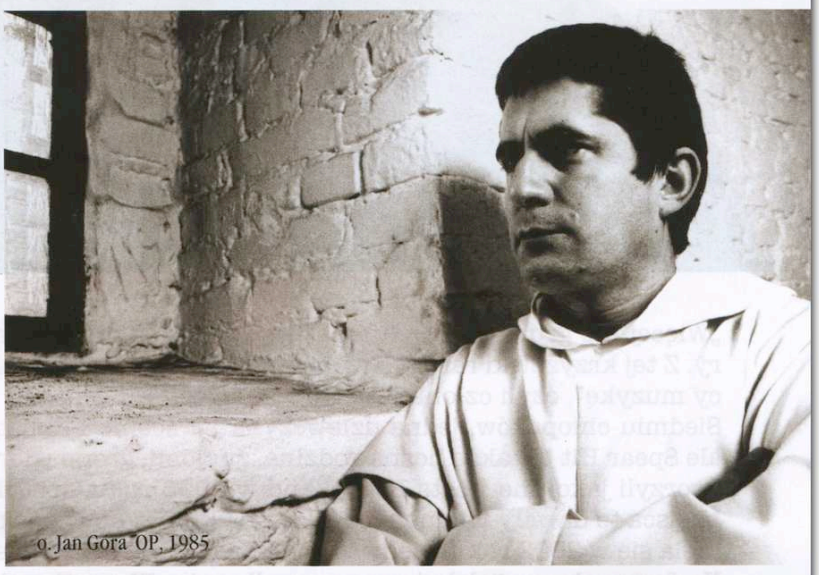
I tutaj, jak „zgrzyt żelaza po szkle", musi zabrzmieć już nie puenta – zbyt byłoby to smutne – lecz uboczny komentarzyk. Otóż w niektórych śpiewnikach wydawanych przez duszpasterskie czy kościelne oficyny, teksty pieśni uległy modernizacji, czyli – nie waham się użyć tego słowa – zeszpeceniu. Problem nie jest nowy, bo sam sławny tzw. śpiewnik Siedleckiego, wielokrotnie wznawiany, jest po części oszustwem – zawiera pieśni nie tylko okrojone, nie tylko modernizowane, ale i wyposażone w zupełnie nowe, na poczekaniu dorobione zwrotki, które zastąpiły stare, o czym użytkownicy tej publikacji nie są w ogóle informowani (odpowiedniej informacji nie zastąpi przecież bardzo ogólna wzmianka we wstępie). Niestety wydawcy niektórych śpiewników duszpasterskich poszli (choć w drobnym tylko stopniu, przyznaję) w ślady redaktorów od Siedleckiego. Usprawiedliwieniem miały być dla tego procederu wymogi „pastoralne". czyli użyteczności duszpasterskiej – tekst powinien być zrozumiały dla wiernych. A przecież wykonujemy śpiewy z Taizé w mało zrozumiałej łacinie i jakoś nikt nie protestuje – nie mówiąc o tym, że psalmy w przekładach Kochanowskiego nie są wcale niezrozumiałe. Jakim więc prawem i po co likwidować w jego wersach przerzutnie, zmieniać słowa? To zbrodnia na polskiej literaturze i tradycji religijnej, zbrodnia niczym nie usprawiedliwiona, zaprzeczająca doświadczeniom i praktyce naszego poznańskiego środowiska. Januarу pozostawał bowiem i pozostaje niezmiernie wrażliwy na autentyczność tekstu i melodii – wywodzi się wszak z rodziny naukowców, pracujących ze źródłami średniowiecznymi. Tak więc w Poznaniu teksty Kochanowskiego śpiewało się i nadal śpiewa bez żadnych zmian, i jakoś są dla wszystkich zrozumiałe, nawet i dziś, za kolejnej duszpasterskiej generacji... Mogłyby więc te autentyczne teksty funkcjonować w pełni i gdzie indziej. Pomyślmy o tym.

Jednak nie chcę nikogo obrażać. Zbrodnia na tekście Kochanowskiego nie jest karalna, nie kwalifikuje się też jako grzech ciężki – jest raczej rodzajem głupoty, a ta – jako zjawisko nieświadome – może ujść wobec Sądu Bożego. Są gorsze rodzaje głupoty i grzechów. Nie ma więc po co bić na alarm. Świętym da się zostać nawet po wielokrotnym oszpeceniu psalmu. Jednakże „gorliwość o Twój dom pożera mnie", mówi Pismo Święte. Ten dom ma być piękny, więc go nie oszpecajmy, bo po co? ■

Jacek Kowalski


M. Kuszela

Duszpasterstwo Jana Góry, jesień 1985


o. Jan Góra OP, 1985

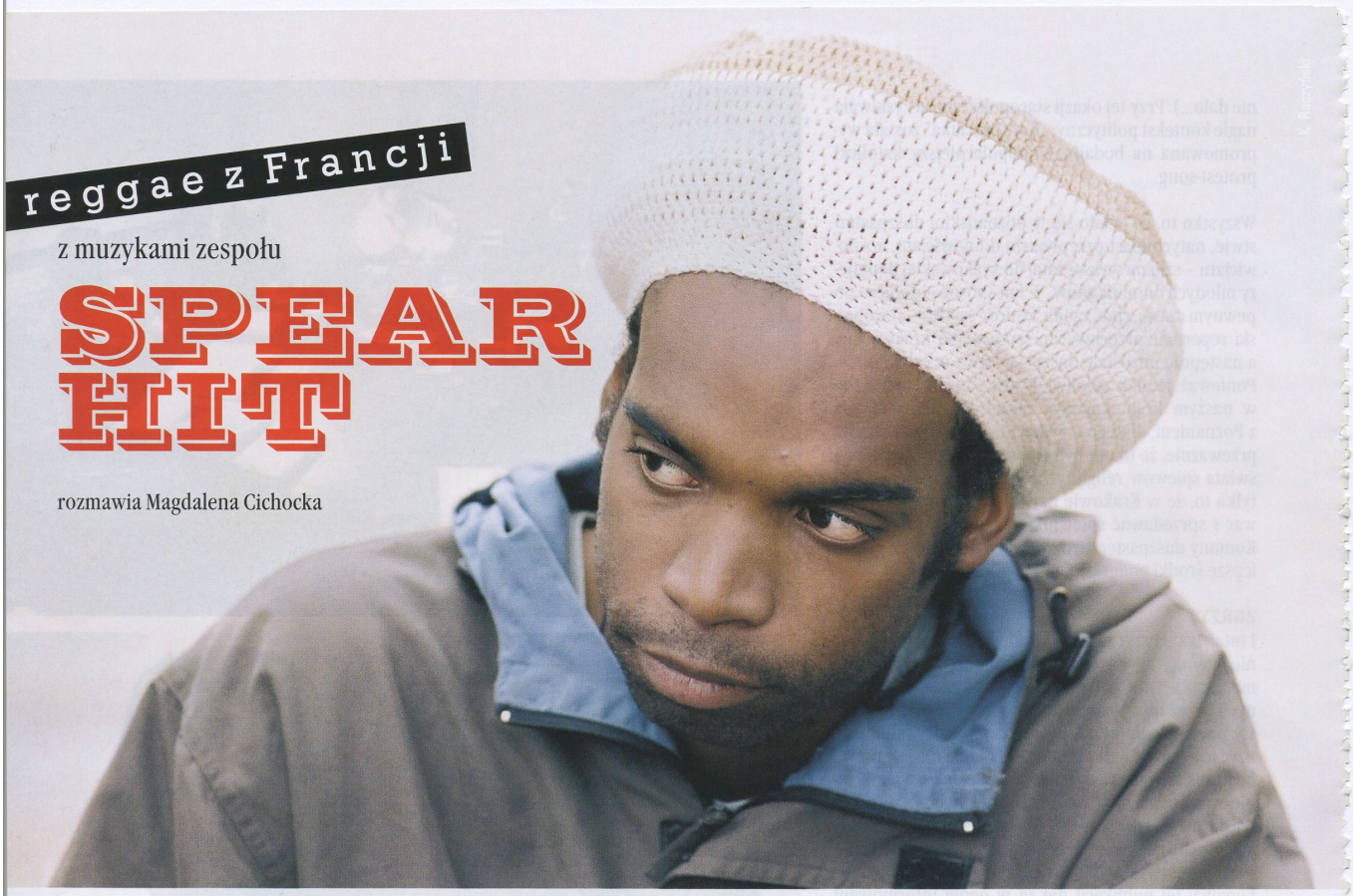

1985, Msza św. w kościele dominikanów w Poznaniu (Jan Góra drugi od lewej)

reggae z Francji

z muzykami zespołu

SPEAR HIT

rozmawia Magdalena Cichocka



„Więcej niż grupa. Spear Hit jest wspólnotą. Wspólnotą muzyków, wspólnotą Ducha i wiary. Z tej krzyżówki ras wychodzi jedność i bogactwo" – tak mówią o sobie „kumple kochający muzykę", czyli członkowie zespołu Spear Hit (spear – włócznia, hit – uderzenie, strzał). Siedmiu chłopaków, jedna dziewczyna na scenie i akustyk za konsoletą – oto cały skład, ale Spear Hit to także liczna rodzina, znajomi, grono wiernych przyjaciół. Pierwsze utwory tworzyli jako The Roots Body Band w 1998 roku, spotykając się w garażach i piwnicach. Miejsca te dawały ich muzyce lekkość i klimat koleżeńskich spotkań. Prawdziwa praca zaczęła się w 2002 roku, kiedy to wytwórnia Rejoyce zainteresowała się wydaniem ich płyty. Na francusko-angielskojęzycznym albumie „Wszystko się może rozjaśnić" znaleźć można tradycyjne reggae, rap, pop i wiele innych nurtów muzycznych.
Francuską grupę spotkałam na tegorocznym festiwalu Song of Songs, gdzie podbijając serca słuchaczy stała się gwiazdą koncertu „Song of Zion".

Tuż przed przyjazdem do Polski występowaliście na koncercie „Esprit Life" w Lionie. Czy jest to impreza podobna do Song of Songs?

S.H.: Esprit Life to jeden wieczór, święto muzyki. Podobne spotkania odbywają się w wielu miastach Francji, np. w Avignonie, Tuluzie (mieście róż), ale w Lionie zorganizowano coś wyjątkowego. Na jego ulicach można było posłuchać za darmo muzyki chrześcijan i nie tylko. Koncert podzielony był na części: gospel, latino, reggae, pop. To spotkanie z muzyką i wiarą, od baroku do rocka, od chorału po gospel. Jego celem nie było jednak granie muzyki religijnej, aby ludzi nawrócić, ale by dzielić się z nimi, być pośród nich. Być wierzącym dla innych i z innymi.

Jak wygląda scena chrześcijańska we Francji?

W Polsce więcej się dzieje, jeśli chodzi o muzykę chrześcijan. Tu jest ona bardziej rozwinięta. We Francji ona się dopiero budzi, niewiele jest zespołów śpiewających o Bogu, niewiele jest koncertów promujących takie treści. Nie znamy polskiej muzyki chrześcijan, ale mamy wielką ochotę ją poznać. Widzimy, że dzieją się tu dobre rzeczy. Chcemy poznać polską publiczność. Wiemy, że już wcześniej na Festiwal przyjeżdżały grupy francuskie, to dzięki nim dostaliśmy adres i zgłosiliśmy chęć udziału w tym wydarzeniu. Wysłaliśmy płytę i zostaliśmy zaproszeni. To, co podoba nam się na Song of Songs, to zaproszenie grup z różnych krajów, różnych ruchów religijnych, spotkanie ludzi na tym Festiwalu jest niepowtarzalne. Pragniemy by w naszej muzyce też była miłość i jedność.

Co w takim razie chcecie przekazać swoim słuchaczom i komu dedykujecie swoją muzykę?

Jesteśmy najpierw muzykami, ale kiedyś spotkaliśmy Pana Boga. Chcemy o Nim mówić, bo On zapala nasze serca. Robimy to przez muzykę, ponieważ ona wychodzi z nas w naturalny sposób. Faktem jest, że tworzymy muzykę religijną, ale nie chcemy być zaszufladkowani. Nie jesteśmy zespołem popularnym. Jesteśmy ziarnkiem na pustyni. Używany niekonwencjonalnych środków przekazywania wiary, jakim jest np. muzyka reggae i to sprawia, że

będziemy się rozwijać. Pragniemy szerzyć ekumeniczne przesłanie. Jesteśmy bardzo otwarci. To, co robimy, dedykujemy przede wszystkim ludziom, jakimi byliśmy wcześniej. Kiedyś paliliśmy różne świństwa, imprezowaliśmy, byliśmy na bakier z Bogiem. W gruncie rzeczy tworzymy muzykę dla wszystkich. Chcemy być przedsionkiem Kościoła.

Występowaliście w wielu miastach Francji i Europy – jaki koncert był dla Was największym przeżyciem?

To było w Medjugorje, w Bośni, na festiwalu młodych w 2001 roku. Zostaliśmy tam zaproszeni przez ojca Slavko Barbarica tuż przed jego śmiercią. Wtedy najbardziej czuliśmy, że Bóg jest na scenie. Na tym koncercie nie istniała już właściwie scena, nie było publiczności, była tylko 20-tysięczna wspólnota modlących się ludzi. Najbardziej zadziwiające było, że tak naprawdę nie zagraliśmy wtedy najlepiej, nawet raczej zagraliśmy źle. Instrumenty średniej klasy, nie było prawdziwej sceny, bo śpiewaliśmy za ołtarzem, słowem, to nie była dobra muzyka. Bóg jednak przyszedł, szczególnie na koniec koncertu. Manu (solista i gitarzysta) włożył już gitarę do pokrowca, a ludzie zgromadzeni na placu nie przestawali się modlić, panowała wielka cisza, która trwała pomimo tego, że my już skończyliśmy. Żadnych braw, zupełna cisza. Czuliśmy, że to nie jest od nas, że ten moment zawieszenia i modlitwy pochodzi od Boga. On sam przybył, by zabrać to, co do Niego należy.

Często mówicie o zespole jako rodzinie, paczce przyjaciół, podobno dzielicie się wszystkimi sukcesami i porażkami?

Jesteśmy bliscy, ale i bardzo różni. Ktoś powiedział, że choć na scenie jest nas sześcioro, to gdy się nas zaprasza, nigdy nie wiadomo, ilu przyjedzie. To prawda. Do Torunia przyjechała dziesiątka.

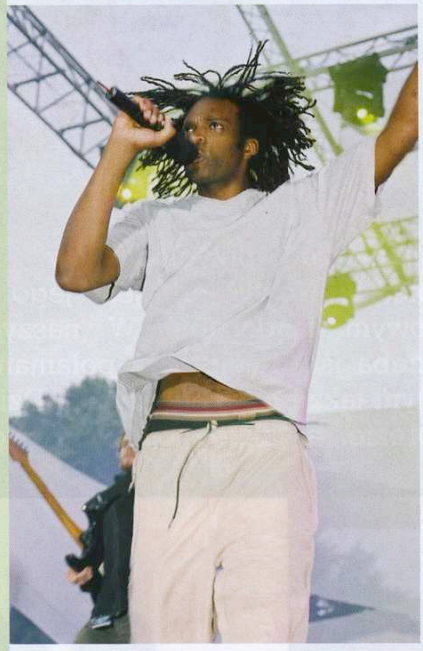
Co powiecie o swojej płycie „Wszystko może się rozjaśnić"?

To dobra reggae muzyka. Połączenie klasycznego reggae, hip hopu, popu, ska. Spodoba ci się! Na tym albumie chcieliśmy powiedzieć o uczuciach widzianych przez pryzmat wiary. Śmierć, miłość, smutek, wszystko razem.

Jak wiele emocji przekazuje grupa, mogliśmy przekonać się podczas koncertu emitowanego w telewizji, kiedy to Spear Hit wykonał z Dorotą Mielcarek utwór zespołu Habari Njema – „W piękny dzień". Oto jak wspomina tę współpracę wokalistka:

To był pomysł Piotra Nazaruka. Bardzo się ucieszyłam, gdy dostałam propozycję zaśpiewania ze Spear Hit, bo chłopaki naprawdę czują się doskonale w klimatach reggae. Już podczas pierwszej próby szybko załapali i polubili utwór. Dołożyli trochę własnej interpretacji i żywiołowości, co wyszło tej kompozycji na lepsze i bardzo ją zmieniło. Słychać w niej takie korzenne reggae, dużo radości i pozytywnych wibracji. ■







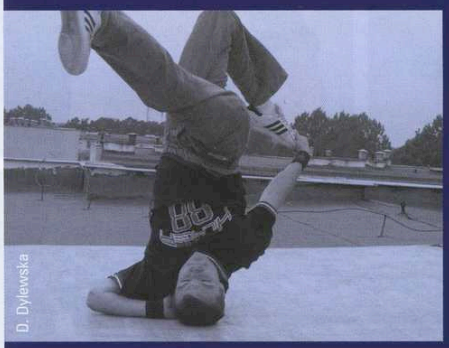


Maciej Syka przedstawia:

battle of the year, a sprawa polska

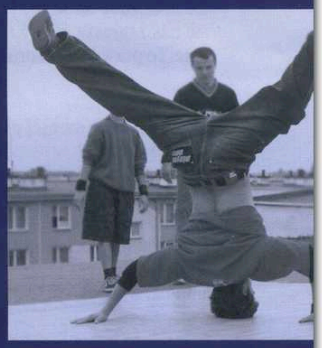
Historia Breakdance (2)

W poprzednim numerze przyglądaliśmy się początkom breakdance. Powiedzieliśmy sobie, iż Nowy Jork jest jego kolebką, a pan James Brown pierwszym freestylowym tancerzem. W naszych rozważaniach dotyczących historii b-boyingu trzeba iść dalej, gdyż połamaniec ogarnął w swojej ekspansji cały nasz glob, a w tym także naszą Ojczyznę. Dzisiaj przyjżymy się naważniejszej dla tego tańca imprezie, a także dokonamy wglądu w polską scenę breaka.



D. Dylewska





Bitwa roku

Bitwa roku, a dokładnie „Battle of the Year" odbywa się nie gdzie indziej, jak tylko u naszych niemieckich sąsiadów. Tu musimy się cofnąć w przeszłość o czternaście lat. Był rok 1990. Wtedy to w Hanowerze z inicjatywy Thomasa Hergenroethera odbyły się zawody pod nazwą International Breakdance Cup. Zawody, które zorganizował wraz ze swoją ekipą „Burnin Moves" miały jeden, jasno określony cel: ukazanie młodzieży, że breakdance to nie przeszłość z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, ale że jest on wciąż żywym elementem kultury hip-hopowej. Thomas i koledzy najzwyczajniej po prostu chcieli „zarazić" młodych ludzi tym tańcem, spowodować aby na ich imprezie „złapali bakcyla", a potem już tylko treningi i wspólny b-boyowy styl życia. Chłopcy mieli naprawdę nosa, gdyż na IBC zgłosiło się dziewięć grup tanecznych, a także czterysta osób mających wybrać najlepszą grupę breakdancerów startujących w zawodach. Zgłoszenia jednak były tylko zgłoszeniami i nikt tak naprawdę się nie spodziewał, że na same zawody przybędzie przeszło 3500 ludzi! To zainteresowanie pierwszymi zawodami wymogło na organizatorach zwiększenie liczby sponsorów i współorganizatorów. To też już rok później podczas przygotowywań do pierwszych prawdziwych już „Battle of the Year" doszło do podziału ról organizacyjnych, gdyż sam Thomas nie był by wstanie wszystkiego ogarnąć. I to od tamtego czasu jest on osobiście odpowiedzialny za zaproszenia grup tanecznych, dj'i sędziów (jury), grup-squadów hip-hopowych biorących udział w BOTY. Jeśli chodzi zaś o sprawy czystej współpracy dotyczącej reklamy i sponsorów to pomaga Thomasowi firma FROM HERE TO FAME (FHTF). Zabiegi organizatorów powodują, iż impreza bardzo się rozwinęła i stała się wydarzeniem o charakterze naprawdę międzynaro-

wowym. Jednakże, co właściwie różni ją od innych konkursów tańca, co nadaje jej taki prestiż..? Mianowicie to, iż BOTY stały się już czymś więcej aniżeli tylko b-boy battle – jest to już spotkanie całej kultury hip-hopowej. Na BOTY przyjeżdżają dj-e, grafficiarze, deskorolkowcy itp. często niebiorący udziału w samych zawodach, ale wtapiający i przy tym doskonale się bawiący w klimat imprezy. Spotykają się, podziwiają najlepszych tancerzy, dyskutują, słuchają dobrego bitu. Najlepszym przykładem progresu „Battle of the Year" była ich edycja w roku 2000. Były to wtedy oficjalne mistrzostwa świata i do Hanoweru przybyło trzynaście tysięcy ludzi z całego świata, z czego biletów starczyło tylko dla dziesięciu tysięcy. Pozostałe trzy musiały oglądać bitwy na ogromnym telebimie ustawionym przed halą Expo2000. Ale jak w ogóle przebiegają same zawody...?

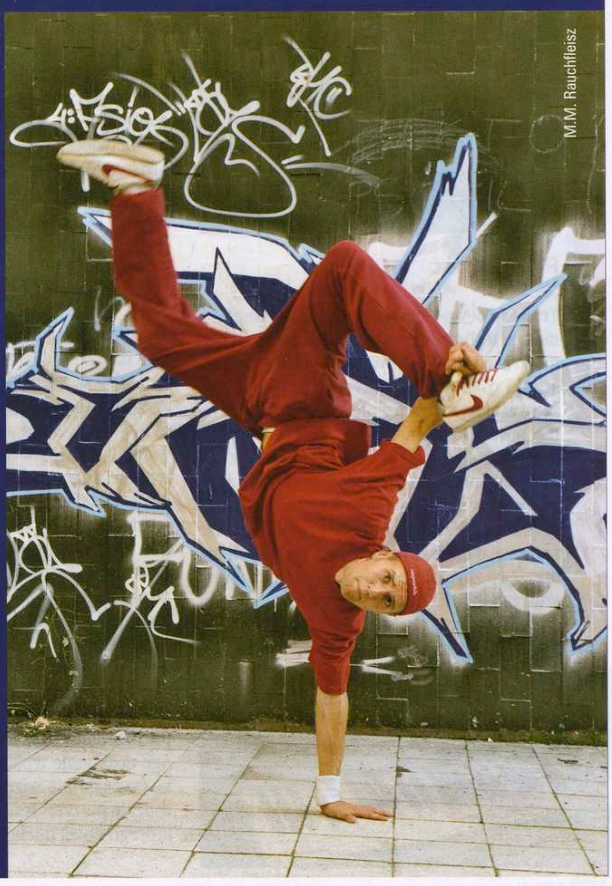
Aby móc w nich wystąpić, trzeba najpierw wziąć udział we wcześniejszych eliminacjach przeprowadzanych w swoim własnym kraju. Dla Europy Wschodniej takie eliminacje odbywają się w Szczecinie. Ci którym uda się zaklasyfikować – występują już na samej „Bitwie Roku" – w Niemczech. Jej przebieg zaś prezentuje się tak: każdy skład występujący w zawodach ma 10 minut na przedstawienie swojego wcześniej już przećwiczonego programu, w którego skład wchodzą zbiorowe układy taneczne, jak i solówki poszczególnych tancerzy danej grupy. Jury, w którym zasiadają legendarni tancerze, ocenia pokazy ze względu na styl, electric boogie, power moves (figury), a także całościowe wrażenie danego squadu b-boys. Te cztery drużyny, które uzyskają największe sędziowskie noty, przystępują do finałow – bitew, podczas trwających 15 minut, dwóch walk o pierwsze i trzecie miejsce.

W tym roku odbyła się już piętnasta edycja Battle of the Year, podczas której to zmagało się ze sobą aż 16 zespołów przy towarzyszącej im prawie dziewięciotysięcznej publiczności. Chciałbym zwrócić tutaj szczególną uwagę właśnie na tegoroczny finał, w czasie to którego doszło po raz trzeci z rzędu do francusko-koreańskiego starcia. Po wspaniałej walce wygrali jednak koreańscy „Gamblersi" zostawiając francuskie „Fantastik Armada" z tyłu. Oto wyniki tegorocznych BOTY: 1) Gambler (Korea), 2) Fantastik Armada (France), 3) Stuttguard (Germany), 4) Break The Funk (Italy). Do tych ostatnich należał także najlepszy trik: Best Show – Break the Funk (Italy).

Made in Poland

Jeśli chodzi o breaka w naszym kraju, to wygląda to tak: Tak jak USA miało swój New York, tak my Polacy mieliśmy nasz Szczecin. To właśnie w tym mieście pod koniec lat osiemdziesiątych zaczęli pojawiać się pierwsi tancerze. Jednakże, ktoś spyta, dlaczego akurat Szczecin? Otóż Szczecin jako miasto przy granicy z naszymi sąsiadami było nawiedzane i odwiedzane zarówno przez Niemców, jak i tancerzy z różnych zakątków świata, m.in. Storma, Kujo, Hermana. Do promocji breaka w Polsce przyczynił się także film Steana Leatana pt. „Beat Street", który zasłynął w całej Europie na festiwalu w Cannes. Przekaz tego filmu był bardzo mocny, toteż już w 1985 roku, rok po jego wielkim sukcesie w Cannes, odbyły się pierwsze Mistrzostwa Polski w Piotrkowie Trybunalskim. Wróćmy jednak do Szczecina. Liczni goście z Zachodu, wyżej wspomniany film, wszystko to sprawiło, że w 1986 powstała szczecińska grupa o nazwie Be-Bop, która już w drugiej edycji mistrzostw w Piotrkowie okazała się bezkonkurencyjna, zajmując pierwsze miejsce. Be-Bop jednakże niedługo potem rozpadło się, zarazem doszło także do powstania słynnej polskiej grupy „Broken Steps", która wzorując się i czerpiąc pełnymi garściami od b-boys z zagranicy, zapoczątkowała już na dobre b-boying w Polsce. Do „Broken Steps" należeli wtedy m.in.: Stogo, Lando, Dobry a także Pasiac. Panowie ci dali niezły pokaz swoich solowych umiejętności w roku 1991 w Warszawie na oficjalnych Mistrzostwach Polski. Trzeba powiedzieć, iż w wyżej wspomnianym Szczecinie na uwagę zasługiwał pewien lokal. Mianowicie był to klub „Miami Nice", w którym to odbywały się turnieje tańca Rap, Electric Boogie no i samego breakdanca. Brali w nich wtedy udział – walcząc ze sobą – nasi najlepsi tancerze: Stogo, Banan, Pasiak, Cygan i Emil. Wyczyny chłopaków w tej dyskotece zafascynowały na dobre niejednego wtedy jeszcze żółtodzioba. Przykładem może być tutaj postać Stanleya z grupy „Ready To Battle". To na tamtych zawodach jako widz postanowił zająć się breakiem na dobre. Dzisiaj po przeszło dziesięciu latach tańca ma już 12 pucharów i 2 medale w Electro solo, a także nie lada osiągnicia z grupą RTB. Dzisiaj kiedy mamy rok 2004, a breakdance jest już na całego zakotwiczony w naszym kraju, należy powiedzieć, iż liczba tańczących ekip jest naprawdę duża, a poziom ich umiejętności naprawdę zróżnicowany. Są ci, którzy tańczą już dobre kilka lat, ale także wciąż przybywa tych, którzy dopiero co zaczynają. Do ekip które wpisały i wpisują się w historię polskiego b-boyingu, dobrym poziomem tańca należą: Nasa, Crazy Squad, Scrap Beat (Włocławek), Top Toys (Koszalin), Broken Steps, Nontoper Mielonka, Strona - B, Twisted Feet, Azizi, Spasiba Breakers a także wyżej już wymienione Ready to Battle. Grup tak naprawdę jest jednak o wiele więcej, ale ich wypisywanie i przedstawianie nie ma tutaj sensu, gdyż co roku na Battle East Europe w Szczecinie kto inny zajmuje pierwsze miejsce. Na sam koniec przyjrzyjmy się naszym polskim imprezom beakdancerowym. W pierwszej kolejności trzeba wyróżnić tutaj właśnie Bitwę roku dla Wschodniej Europy odbywającą się w Szczecinie. Kolejnymi są „Breakdance Session" i „Dzień Prawdy". Odbywa się także wiele imprez i pokazów organizowanych dorywczo, np. w czasie letnich wakacji na wybrzeżu. Ja osobiście jednak polecam wszystkim nowicjuszom, by najpierw zaczęli od wejścia w breakdance na swoich lokalnych podwórkach. Mam tutaj na myśli nawiązanie kontaktu ze squadami, grupami często tańczącymi w naszym sąsiedztwie, a ciężko przygotowującymi się do wyżej wymienionych zawodów – battle. Po prostu, jeśli czujesz że break to coś dla ciebie, to wejdź w niego „nie przez frontowe drzwi", ale „od kuchni". Zobacz jak, b-boys i b-girls ciężko ćwiczą, a dopiero potem jako widz wyjedź na renomowane zawody. Inaczej nie zrozumiesz tego co znaczy to „Made in Poland.."?? ■

Maciej Syka

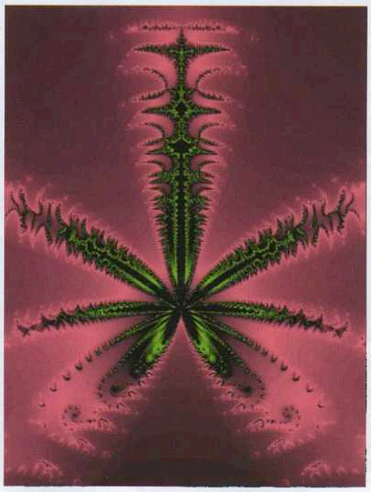

M.M. Rauchfleisz

NEW AGE-OWE PODRYGI

o muzyce TRANCE - Marek Horodniczy #7



Trance jak ulał pasuje do stereotypowego wizerunku techno: plastikowo-komputerowe bity, kosmiczne brzmienia, psychoaktywne echa, monotonia, monotonia, monotonia... Fani tego gatunku ubierają się w kolorowe wdzianka z fluorescencyjnymi emblematami UFO, liśćmi marihuany i innymi post-hippisowskimi symbolami. Problem w tym, że trance to najbardziej „uduchowiona" odmiana popularnej, mechanicznej muzyki do tańca. Uduchowienie jednak jest tutaj uzależnione od narkotycznego wspomagania i new-age'owych, synkretycznych rytuałów. Faktem jest również, że to trance był swojego czasu (połowa lat 90.) najbardziej popularny wśród młodzieży i dokonał wtedy kolejnej młodzieżowej rewolucji w duchu kontestacji 1968 roku.



Przeszłość

Trance z pewnością należy już do przeszłości muzyki techno. Jego formuła jest bowiem hermetyczna i dawno już wykorzystała wszystkie ścieżki rozwoju. Nic w tym dziwnego, jeżeli zauważymy, że trance nie byłby sobą, gdyby nie pewien instrument elektroniczny - syntezator Roland Juno 106. To dzięki dźwiękom, które można było z niego dobywać, narodziły się gwiazdy gatunku - Juno Reactor, Tsuyoshi Suzuki, Eat Static czy Infinity Project. Mówiąc szczerze, o muzyce formacji trance'owych nie ma się co zbyt wiele rozwodzić - muzyka jest sztuczna, nudna i kompletnie niepodatna na wpływy. Mądrzy krytycy muzyczni doszukują się jej źródeł w electro body music i tzw. rocku progresywnym. Od tego pierwszego zapożyczyć sobie miała podejście do schematów rytmicznych (Front 242), od drugiego (takich formacji jak Pink Floyd Rogera Watersa, Pendragon czy Hawkwind) „kosmiczno-atmosferyczne" brzmienia. Gatunków trance'u jest kilka - goa (od nazwy wysp Goa, na których na początku lat 90. odbywały się niebywale popularne imprezy plenerowe), psychodelic (tutaj nacisk położono na dźwięki stymulujące podczas zażywania narkotyków), hard-trance (odmiana ostrzejsza, bliska klasycznemu techno). Najważniejsze wytwórnie, które promują tę niewiele różniącą się od siebie muzykę, to: Transient, TIP, Matsuri, Blue Room czy Dragonfly. Wszystko to jednak przeszłość, bo nic więcej w tej muzyce wydarzyć się po prostu nie może. Oczywiście - wyjątki - Sven Vath czy Patchwork, którzy dzięki talentowi już dawno wybili się z getta - potwierdzają tylko regułę.



Substytut religii

Ważniejsze jest to, co działo się wokół muzyki. A działo się wiele. Trance wpisał się niemal idealnie w tradycję ruchu hippisowskiego, z jego afirmacją New Age'u i różnych odmian okultyzmu. Co ciekawe, wygląda na to, że powstanie trance'owej subkultury stymulowali wprost „starzy hippisi" (wspomniane przeze mnie wcześniej Goa do dzisiaj zamieszkuje grupa hippisów, którzy w latach 70. tworzyli tam swoje komuny). Bliska czasom „flower-power" jest również moda i estetyka towarzysząca imprezom. W porównaniu z innymi gatunkami techno, Nowa Era znalazła tu najwierniejsze grono odbiorców. Dlaczego? Bo ideologia ta, którą cechuje synkretyzm religijny i bogactwo płytkich odniesień, jest podczas trance'owych imprez bezrefleksyjnie pochłaniana przez bywalców. Charakter New Age doskonale wpisuje się również w estetykę (szczególnie wizualną) towarzyszącą tego rodzaju muzyce. Jest jeszcze jeden powód, dla którego nowa duchowość chętnie zadomowiła się w obrębie omawianego gatunku. Otóż od dłuższego czasu brakowało jej „muzycznej tuby", jaką jeszcze do niedawna stanowił rock. Ekstatyczność i trans, jakie towarzyszyły np. różnym odmianom heavy metalu zbyt często zamieniały się w czystą i jawną agresję. Natomiast taneczność wszystkich odmian muzyki trance jest pozornie niezwykle pokojowa i przyjazna. Przyjrzyjmy się temu bliżej.

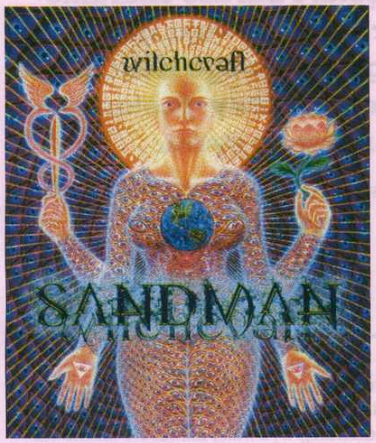


Na początek cytat: „Uzdrawiające kryształy, dotyk rąk, medytacje transcendentalne. Nie ma wątpliwości, że scena trance ma wiele wspólnego z New Age. Jednak z powodu hippisowskich ubiorów i pseudohinduskich okładek płyt, wielu trancerów uważa New Age za kierunek nieco podejrzany". Cytat pochodzi z artykułu zamieszczonego w piśmie Techno Party. Autor zajął się zdefiniowaniem najważniejszych pojęć związanych z trancem. Elementy Nowej Ery są zatem z zasady wpisane w omawiany gatunek techno. Potwierdzają to właściwie wszystkie cechy „sceny trance". Wyliczać można w nieskończoność. Odbywające się regularnie, często w tzw. plenerach, „pogańskie party", np. cykl „Pendragon", na swój sposób celebrują rytuały wierzeń celtyckich. Daty imprez są wyznaczane przez równonoce i przesilenia - wiosenne, letnie, jesienne i zimowe. Mającemu miejsce jakiś czas temu całkowitemu zaćmieniu słońca towarzyszyły

liczne potańcówki trance na wolnym powietrzu. Z kolei imprezy organizowane np. przez Escape From Samsara cechują dekoracje przywodzące na myśl Daleki Wschód, a szczególnie Indie. Na każdej imprezie są obecni m.in. magowie czytający tarota oraz masażyści, nad wszystkim zaś unosi się woń kadzidełek. Osobną kwestię stanowią wspomniane już dekoracje. Ściany opuszczonych hal produkcyjnych lub metalowe konstrukcje stosowane podczas imprez plenerowych, przyozdobione są motywami doskonale odzwierciedlającymi charakter New Age. Pojawiają się tam – często równocześnie – smoki, jednorożce, symbole hinduskie, wizerunki hinduskich bóstw, wyobrażenia związane z UFO, ale także obrazy Buddy i zmodyfikowana symbolika buddyjska. Nierzadko obecne są tam również akcenty jawnie satanistyczne, takie jak głowy kozłów, pentagramy, itp. Wszystko to wykonane jest farbami fluorescencyjnymi, świecącymi w promieniach UV...

Dzisiaj

Dzisiaj o muzyce trance jakby ucichło. W ogóle ucichła wrzawa wokół techno. Ciekawe jest jednak, że rewolucja 1968 roku odnalazła swoich kontynuatorów w zupełnie innej muzyce – prawie 30 lat później. Jeżeli zgodzimy się, że proces odchodzenia od Kościoła, który



za czasów hippisowskich rozpoczął się na masową skalę, ma związek z aktualnym – new-age'owym stanem ducha Cywilizacji Zachodniej, to należy zapytać, z jaką siłą i kiedy nastąpi kolejny renesans kontrkultury. W połowie lat 90. odnalazł on „tubę trance'u", wywołując w słuchaczach następujące refleksje – idealnie oddające kondycję generacji techno (cytat za jedną ze stron internetowych poświęconych techno): „Idea psychedelic trance, podobnie jak wszystkie idee, jest bosko piękna. Muzyka ta ma umożliwić przepływ przez ludzkie ciało, pochodzącej z kosmosu, tajemniczej i wyzwalającej energii. Psychedelic umożliwi odkrycie samego siebie i wydobycie ze swej duszy tego, co najpiękniejsze, co pomóc ma w skontaktowaniu się ze wszechświatem". Nic dodać – nic ująć... ■

Marek Horodniczy
homar242@wp.pl

J. Koniarski

O Festiwalu Stróżów Poranka

Marcin Jakimowicz



Deus Meus

Deus Meus ten sam, ale nie taki sam

„Co się z nimi stało? To nie może być Deus Meus" – przecierałem oczy ze zdziwienia. Byłem w ciągu ostatnich lat na kilku ich koncertach. Mimo tego, że starali się jak mogli, wypadali raczej blado. Grali przyzwoicie, ale nie porywali. A teraz? Teatr zwariował. Nawet stare chopy ze Ślonska (Tradition! Tradition!) powstawały z miejsc, by śpiewać na cześć Jezusa. Takie kolejne powstanie śląskie. Brawurowy koncert szczecinian porwał publiczność. A podobno (jak opowiadały mi dziewczyny z zespołu) przez kilka dni na jubileuszowej trasie udało się im porywać również tysiące ludzi w różnych miastach Polski. „To jakieś nowe wylanie Ducha. Coś jak kilkanaście lat temu. Jakiś nowy zapał, nowa energia" – nie mógł się nadziwić Robert Cudzich. Rozmawiałem z nim pod sceną, a w tym czasie zespół śpiewał, skakał, tańczył i ewangelizował. Gdy Tamara podczas swej piosenki zaczęła tańczyć, w moich oczach zakręciły się łzy. O. Andrzej głosił ze sceny ewangelię, otwierał Biblię, muzycy dzielili się świadectwami. Zupełnie nowy duch. A przecież powinni być wykończeni: koncert kończył kilkunastodniową wyczerpującą trasę koncertową. Jeździli autobusem przez zasypane śniegiem polskie drogi. Jazzman Michał Kulenty jest pełen podziwu: „Dziewczyny i chłopcy wstają w środku nocy, by dotrzeć ze Szczecina, czyli z końca świata, na koncert. A poza tym są naprawę skromni, woda sodowa nie uderza im do głowy... To, co robią, robią dla Boga...". A by zaśpiewać, coraz częściej nie zostawiają już kolokwiów i klasówek, ale wypisują karty urlopowe. I zostawiają na kilka dni rodziny.

Festiwal ruszył z kopyta

Stróże Poranka to chyba największa chrześcijańska impreza w Polsce. Przez tydzień kilkanaście koncertów: od hip-hopu (FPS, Vienio Pele), przez reggae, po ostre hardcorowe riffy Anastasis, a na deser koncert finałowy. Kiedy organizator imprezy, Ryszard Sadło, poszedł kilka lat temu do dyrektora chorzowskiego Teatru Rozrywki z propozycją organizowania koncertów, ten postawił jeden warunek: „musi być profesjonalnie, żadnej amatorszczyzny!". Było. Zagrali: Marcin Pospieszalski, Robert Cudzich, Joachim Mencel, Mietek Szcześniak, New Life'M, Viola i New Day i wielu, wielu innych. Się podobało.
Skąd wziął się pomysł takiej imprezy? Przed kilku laty Rysiek zorganizował w Teatrze Rozrywki koncert Magdy Anioł. Ku jego zaskoczeniu przyszedł komplet widzów, sala była wypełniona po brzegi. Magda zagrała znakomity set: ludzie nie chcieli jej wypuścić, więc bisowała każdą piosenkę. Bisy trwały ok. 40 minut. „Wtedy wpadłem na pomysł, by takie koncerty organizować cyklicznie" – opowiada. Ubiegłoroczny koncert finałowy I Festiwalu Stróżów Poranka zgromadził w chorzowskim Teatrze Rozrywki takie tłumy, że ludzie musieli siedzieć na schodach. Usłyszeli prawdziwy tygiel muzycznych stylów. Tym razem było jeszcze lepiej: bilety zniknęły z kas już kilka dni przed koncertem.

Na pierwszej linii ognia

Mnie najbardziej ucieszył debiut kapeli Katolika Front. Choć projekt urodził się całkiem niedawno (kapela zagrała raptem trzy próby), grający w nim muzycy to starzy wyjadacze. Lider grupy Grzegorz Bociański ma za sobą występy w kapeli Wolna Europa i metalowej grupie Indian Woman. Po odkryciu swych chrześcijańskich korzeni, zajął się pracą radiowca. Teraz powraca jako muzyk z nowym materiałem. To muza ciężka, ale pełna melodii. Zapełnia fajnie niszę na rynku. To nie rzeźnia, ściana dźwięku, ale raczej angielskie granie okraszone riffami ukochanego przez muzyków grunge'u. A zresztą nie powinienem o nich pisać: Grzesiu to mój przyjaciel, ojciec chrzestny mojej Marty. Kocham też dziewczyny z Deus Meus (żona wie).
Nie mogę być obiektywny. Ale tym razem nawet się nie staram. ■

jakimowicz

Taizé



Romański kościółek w Taizé. To w nim modlili się Bracia nim zbudowano kościół Pojednania. Często można spotkać w jego wnętrzu małe grupki pielgrzymów śpiewających kanony. W romańskich murach brzmią one naprawdę niezwykle.

Brata Marka znają wszyscy, którzy choć raz byli w Taizé. W jednej z wypowiedzi dla Radia Watykańskiego stwierdził on, że wspólna modlitwa jest podstawą pojednania Chrześcijan. Modlitwa w Taizé jest piękna i częsta. I bardzo charakterystyczna – słynne kanony, które narodziły się w Taizé, rozbrzmiewają nie tylko w Burgundii, ale i na wszystkich kontynentach. Pewnego lipcowego dnia, gdy w kościele Pojednania umilkł ostatni śpiew popołudniowej modlitwy, postanowiłam porozmawiać z Bratem Markiem o jej znaczeniu dla naszego życia.

tekst i zdjęcia: Aleksandra Polewska

Magnificat anima mea Dominum



Brat Marek

Aleksandra – Mówi się, że w Taizé wielu ludzi odkrywa, iż potrafi się modlić, wielu modli się po raz pierwszy. Dlaczego człowiek powinien się modlić? Czy Pan Bóg naszych modlitw potrzebuje?

Brat Marek – Pan Bóg nie potrzebuje naszych modlitw, jednak Jego tajemnicą jest to, że do modlitwy wzywa, zaprasza. Jemu pewnie na niczym bardziej nie zależy niż na tym by człowiek trwał z Nim w komunii i dla nas, ludzi biednych, nie ma innej możliwości jak właśnie pokorna, nieustanna modlitwa. By fizycznie żyć, trzeba oddychać, a żeby mieć tę komunię z Bogiem, z której czerpiemy nieustannie, trzeba modlitwy. Można powiedzieć, że modlitwa jest jak tlen dla naszego życia duchowego. W Taizé wielu ludzi, zwłaszcza młodych, odkrywa, że modlitwa nie jest wyłącznie obowiązkiem, czy jakimś narzuconym przymusem, ale potrzebą wewnętrzną. Gdy to się odkryje, ona nie tylko nie nudzi i nie męczy, ale ukaja serce człowieka, przywraca mu wewnętrzny pokój. Młodzi ludzie często podkreślają, że po dwóch, trzech dniach spędzonych tu z nami pojawia się w nich wyciszenie. Wszyscy potrzebujemy takiego wyciszenia. Już prorok Izajasz mówił, że w ciszy, spokoju i w zaufaniu jest nasza siła. I nie chodzi tu o takie wyciszenie czy spokój, które człowieka wprawia w jakiś błogi bezruch. Dzięki takiej prostej, pokornej, codziennej, wytrwałej modlitwie można też zbierać siły do zaangażowana, pracy, walki, do przetrwania czasem jakichś trudnych sytuacji.

Modlitwa w Taizé zdominowana jest przez śpiewanie kanonów, bardzo pięknych zresztą. Skąd wzięła się idea modlitwy w takiej właśnie formie? Czy ze słynnego powiedzenia, że kto śpiewa, ten modli się dwa razy?

Uściślijmy na początek, że to nie są tylko kanony, bo w czasie modlitwy czytamy też Ewangelię albo inny fragment Pisma Świętego, czy modlimy się w ciszy, prawda? W Taizé była po prostu taka potrzeba chwili i miejsca. Kiedy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych młodzi zaczęli się tu zjeżdżać, Brat Roger bardzo szybko zrozumiał, że aby ta przygoda z nimi miała sens, by to było jakieś wspólne poszukiwanie Królestwa Bożego, trzeba ich jakoś włączyć do modlitwy. Początkowo nasza liturgia była bardzo rozbudowana, oparta na tradycji monastycznej: śpiewanie psalmów, responsorów, czytanie Pisma Świętego. Ponieważ mieszkaliśmy we Francji, to modliliśmy się po francusku (bracia do dziś tego języka się uczą), ale gdy zaczęli przyjeżdżać młodzi z różnych krajów,

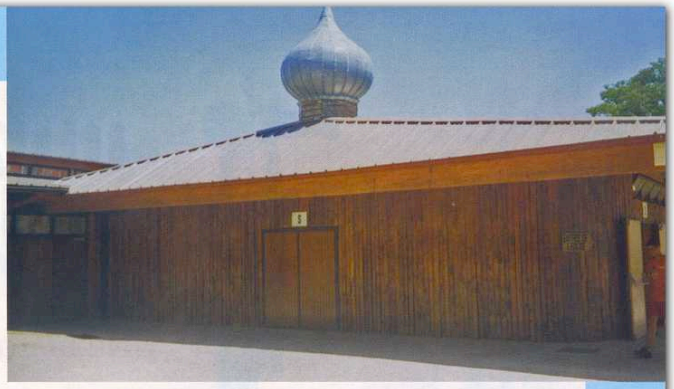
stało się to niemożliwe. Nasi goście byliby wprawdzie uczestnikami pięknej modlitwy, ale jednak bardzo biernymi. Możliwe, że i z niej by coś wynieśli, ale Brat Roger bardzo wyraźnie i zdecydowanie dążył do tego, by młodzi mogli w tej modlitwie także czynnie uczestniczyć. Więc trzeba było ją przebudować. Kiedy na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zjechało tu naprawdę mnóstwo osób, jeden z braci, uzdolniony muzycznie, wyszukał krótkie śpiewy repetytywne. Pierwszym takim śpiewem było „Jubilate Deo". Którejś Wielkanocy spróbowano ideę tych kanonów wprowadzić w życie i fantastycznie się to udało. Zauważyliśmy, że nie było to tylko rozwiązanie techniczne – bo parę słów po łacinie każdy może powtórzyć – ale że taka powtarzana modlitwa, gdzie słów jest bardzo mało, pomaga się modlić, że wprowadza w modlitwę kontemplacyjną. Bracia zaczęli więc komponować. Był wtedy wśród nas Brat Robert i to on zaczął szukać kolejnych tekstów. Najczęściej były to teksty biblijne. Bardzo wiele wersetów zaczerpnął z psalmów, ale skorzystał też z sentencji świętych. Kanon „Nada te turbe" na przykład to słowa św. Teresy z Avila. Brat Robert miał przyjaciela – pana Jacquesa Berthier, który był kompozytorem muzyki sakralnej i poprosił go, by skomponował melodie do tych wynalezionych wersetów. W ten sposób powstał „Magnificat", „Ubi caritas", „Misericordias Dominus". No, ale potem nasz Brat Robert i Jaques Berhtier odeszli do Pana, prawie w tym samym czasie w dodatku (teraz pewnie komponują razem w niebie), więc bracia – a jest tu kilku braci bardzo muzykalnych – sami wzięli się do komponowania. Teraz wszyscy szukamy tekstów w różnych językach, a ci



najbardziej utalentowani tworzą muzykę. Także ksiądz Joseph Joulino, jezuita francuski, liturgista, ale także i muzyk, skomponował dla nas niektóre śpiewy. W Polsce jego psalmy są powszechnie znane .

Chciałabym zapytać o owoce modlitwy tych osób, które przyjeżdżają do Taizé? Na polskim spotkaniu opowiadał ksiądz fantastyczne historie...

To bardzo trudno uogólnić. Każdy przyjeżdża tu ze swoją własną, niepowtarzalną historią, swoimi oczekiwaniami, pytaniami, problemami. I owoce są związane z tymi konkretnymi ludźmi i sprawami. Sporo osób tutaj w Taizé odnajduje swoje powołanie i to zarówno do życia zakonnego, kapłańskiego, jak również do życia w małżeństwie. Tu przyjeżdżają wypraszać dobrą żonę i dobrego męża, wielu przyjeżdża,



Kościół Pojednania pełen jest ikon, delikatnie podświetlonych światłem lampionów. Tworzą one niepowtarzalny nastrój. Ulubioną ikoną pielgrzymów jest „Chrystus i jego przyjaciel". Kościół Pojednania jest ogromny i niemożliwym jest zmieścić go na jednej fotografii.

by cały tydzień spędzić w milczeniu na modlitwie i znaleźć odwagę, by odpowiedzieć Panu Bogu „tak" na całe życie w życiu zakonnym czy kapłańskim. Mamy tutaj taką skrzynkę z intencjami, także skrzynkę internetową, i właśnie w tych intencjach bardzo często się zdarzają prośby o odkrycie powołania, odkrycie właściwej drogi w życiu. Prośby te wybieramy ze skrzynki i tej tradycyjnej i tej wirtualnej, rozdzielamy między braci i modlimy się w tych intencjach. Czasem zapraszamy też do pomocy w tej modlitwie siostry.

A czy może ksiądz polecić ludziom poszukującym światła Bożego w swoim życiu jakąś szczególną modlitwę?

Każda modlitwa jest pewna. Do modlitwy nie można podchodzić jak do jakiegoś magicznego środka. My wierzymy, że Pan Bóg wysłuchuje modlitwy człowieka i najlepiej wie, czego nam potrzeba. Wieczorami w kościele bracia stają pod ścianami świątyni i wtedy wielu młodych może do nas podejść, porozmawiać, skonfrontować swoje wewnętrzne intencje, swoje intuicje, jakieś wewnętrzne rozterki. Ja często mówię tym ludziom – również takim, którzy szukają pojednania, że modlitwa jest niezwykle istotna, że to wręcz sprawa pierwszorzędna. Mówię, by była to modlitwa prosta, pokorna, w ciszy. Żeby nie było w niej dużo słów, ale jak najwięcej zasłuchania w to, co Bóg mówi do każdego z nich w ich sercu. A mówi także przez Słowo, którym można wesprzeć każdą modlitwę. Tak więc nie ma jakiejś konkretnej modlitwy. Każda jest dobra, jeżeli włożymy w nią serce. Nawet gdy jesteśmy tak poranieni, że nie ma na nią siły. Bo Pan Bóg ją uzdrawia i oczyszcza. Brat Roger powtarza, że nawet westchnienie skierowane do Boga jest już modlitwą.

Czy mogę na koniec zapytać o to, jak ksiądz trafił do Taizé? Jak odkrył swoje powołanie do tego by żyć właśnie tutaj?

W Taizé jestem już prawie 27 lat. Pochodzę z Poznania. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych studiowałem w moim mieście ekonomię i byłem zaangażowany w Duszpasterstwie Akademickim prowadzonym przez księży Zmartwychwstańców. Mieliśmy tam takie małe grupki zainteresowań, ja byłem członkiem tej, która zajmowała się ekumenizmem. To wszystko działo się krótko po II Soborze Watykańskim i wtedy wszystkim nam się wydawało, że pojednanie chrześcijan nastąpi lada moment. Czas pokazał, że jednak trochę się to wydłużyło. Poprzez działalność w tej grupce trafiłem na ślad Taizé. Były to czasy, kiedy z Polski było bardzo trudno wyjechać, ale niektórym na szczęście się to udawało i potem, gdy wracali, przywozili mnóstwo różnych ciekawych informacji, w tym m.in. o tej wspólnocie. W 1968 roku ukazała się też książka opisująca życie braci z Taizé pt. „Taizé i Kościół jutra". Ta książka bardzo mnie poruszyła, zwłaszcza reguła wspólnoty napisana przez Brata Rogera. Potem brałem udział w różnych spotkaniach ekumenicznych, takich jak np. rekolekcje w Laskach pod Warszawą prowadzonych przez siostrę Joannę Losow, pionierkę polskiego ekumenizmu. Na tych rekolekcjach po raz pierwszy spotkałem wysłanników z Taizé. Najpierw przyjechali do Polski młodzi ludzie ze wspólnotą związani, a w 1971 roku przyjechał do nas pierwszy brat – Brat Clermont. Dzięki niemu dotarłem do Taizé i zacząłem odkrywać, że Pan Bóg ma jakieś plany związane ze mną i z tym miejscem. W październiku 1977 roku wstąpiłem do Wspólnoty. ■

rozmawiała Aleksandra Polewska

muzyka liturgiczna w globalnej wiosce

Na marginesie Kongresu Muzyki Liturgicznej

Cezary Sękalski



A. Bujnowski

Pismo RUaH od swych początków przez kolejne numery żywo i poważnie interesowało się muzyką liturgiczną w Kościele. Dzieje się tak, bo muzyka ta, jak sama liturgia, jest bardzo ważną rzeczą dla jego twórców. Pisaliśmy i piszemy o różnych jej aspektach, a także problemach, jakie napotyka w naszych czasach. Zawsze staraliśmy się podkreślać wagę tej muzyki w duchowym życiu chrześcijanina, odwołując się nieustannie do jej korzeni – chorału gregoriańskiego. Rozmów i refleksji na ten temat nigdy naszym zdaniem nie za dużo, jakkolwiek objętość kwartalnika i jego profil nie pozwala nam na szersze jego traktowanie. Przedstawiamy kolejny, naszym zdaniem ważny głos w dyskusji o muzyce liturgicznej, która, jak widać, zaczyna przybierać ostatnio na sile i i intensywności. Mamy nadzieję, że nie jest to głos ostatni…

W dn. 17-19 września 2004 w Krakowie odbył się I Ogólnopolski Kongres Muzyki Liturgicznej *Musicam Sacram Promovere*. Jego głównym organizatorem było Stowarzyszenie Polskich Muzyków Kościelnych.

Jak zauważył w słowie wstępnym prezes stowarzyszenia, ks. Ireneusz Pawlak, kongres ten jest pierwszym po kilkudziesięcioletniej przerwie (ostatni Kongres Muzyki Kościelnej w Polsce odbył się w Częstochowie w 1959 roku). Nic więc dziwnego, że przez lata brakowało *„całościowego spojrzenia na posoborową muzykę liturgiczną i podjęcia rzeczowych działań, aby od samego początku poprowadzić ten istotny element liturgii na właściwą drogę”*.

Ks. Pawlak główne zagrożenie dla dzisiejszej muzyki liturgicznej upatruje w religijnej twórczości popularnej. Pisze: *„Dominantą stała się tzw. kościelna muzyka rozrywkowa mająca swoje ujście w twórczości piosenkarskiej, a jej zewnętrznym wyrazem były festiwale piosenki religijnej. Te szeroko i z rozmachem organizowane nawet do dziś, imprezy wysunęły się na pierwsze miejsce i wzbudziły zainteresowanie tak przedstawicieli hierarchii kościelnej, jak i szerokich rzesz wiernych, zwłaszcza młodzieży. Zapewne wbrew intencjom organizatorów stały się one wielkim zagrożeniem dla muzyki liturgicznej. Jakże łatwo bowiem było w sposób mechaniczny repertuar piosenkarski, skądinąd potrzebny i niekiedy wartościowy, przenieść do obrzędów liturgicznych. Uroczystości kościelne, a nawet coniedzielne msze, celebrowane dotąd z udziałem chórów parafialnych czy innego rodzaju zespołów wykonujących bardziej lub mniej poprawnie utwory wokalne i wokalno-instrumentalne różnych kompozytorów, zawsze jednak z dbałością o powagę i świętość liturgii, zostały zalane powodzią niekontrolowanego piosenkarstwa i innych gatunków muzyki najczęściej płytkiej, chwytliwej i taniej. Chóry kościelne zaczęto rozwiązywać, a wiernych karmiono mało wartościową muzyką lub czymś, co tylko muzykę przypominało”*. Podobnie widzi zagrożenie muzyki liturgicznej ks. Robert Tyrała, przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Kongresu. W wywiadzie opublikowanym w „Wiadomościach KAI” z 19 września 2004 mówił: *„Sobór zwrócił uwagę na to, że muzyka jest integralną częścią liturgii, ale równocześnie otworzył możliwość, żeby w świątyniach były używane instrumenty inne niż np. organy. Nierzadko instrumenty, które dopuszczono do liturgii i śpiew, który powstał na kanwie odnowy liturgicznej, były bardzo dobre. Niestety, w całym bagażu, który niesiemy od tamtych czasów, zna-*

lały się także instrumenty, które nie mogą być uznane za liturgiczne oraz śpiew, który nie jest liturgicznym, ale po prostu popularystycznym. Tu rozpoczął się cały problem".
W wywiadzie opublikowanym w „Tygodniku Powszechnym" (nr 38) ks. Tyrała precyzuje, że jego oburzenie dotyczy głównie użycia w muzyce liturgicznej gitary.
Już te pierwsze wypowiedzi ukazują, że dobrze się stało, iż wspomniany Kongres miał miejsce, bo dzięki niemu można było usłyszeć wiele ciekawych opinii środowiska muzyków i muzykologów na temat współczesnej muzyki liturgicznej. Dla mnie jednak stanowi to raczej otwarcie wielkiej dyskusji niż jej zamknięcie. Przytoczone opinie inspirują i mnie do zabrania głosu na powyższy temat – nie z pozycji znawcy muzyki, bo nim nie jestem, ale z punktu widzenia teologa duchowości i dziennikarza, który od lat obserwuje różne procesy dokonujące się w Kościele polskim.
W przytoczonej wypowiedzi ks. I. Pawlaka uderzyła mnie taka oto opinia, że z muzyką liturgiczną w naszym Kościele kiedyś było dobrze. Wprawdzie chóry i organiści wykonywali *„bardziej lub mniej poprawnie utwory wokalne i wokalno-instrumentalne różnych kompozytorów, zawsze jednak z dbałością o powagę i świętość liturgii"*. Trudno mi powiedzieć, jak było przed soborem, jednak czas od końca lat siedemdziesiątych, kiedy to zacząłem stykać się z rzeczywistością parafialną, nie jawi mi się różowo. Odkąd pamiętam, wśród tzw. tradycyjnych pieśni wykonywanych na mszach spotykałem takie, które dziś oceniłbym jako co najmniej wątpliwej jakości teologicznej. Sztandarowym przykładem są słowa pieśni, że „kiedy ojciec zagniewany siecze, szczęśliwy kto się do matki uciecze...", ale są i inne przykłady. W poprzednim numerze RUaH o. Tomasz Kwiecień OP krytykował pieśń wielkopostną, w której lud śpiewa: *„A nasze serca zimne jak lód i próżny dla nich Twej męki trud..."*. Wreszcie w ostatnim numerze „Życia Duchowego" ks. prof. Józef Kudasiewicz przytacza słowa: *„Wygnańcy Ewy do Ciebie wołamy: zlituj się, zlituj, niech się nie tułamy"* i opatrzył je pytaniem: *„Gdzie wobec tego jest Ojciec?"*. Dla mnie to właśnie jest punkt wyjścia do refleksji nad przeszłością polskiej pieśni liturgicznej, w której niestety aż roiło się od „rzewnych szansonetek" (T. Kwiecień OP), bardziej koncentrujących się na cierpieniu wiernych niż na zbawczych prawdach teologicznych. Przyznaję, że istniały i inne pieśni, piękne, wzniosłe, głębokie, niemniej codzienność polskiej pieśni liturgicznej wydaje mi się dość zgrzebna. Główną przyczyną tego stanu rzeczy prawdopodobnie były utrudnienia w kształceniu organistów. Brak wolności w systemie totalitarnym musiał w jakiś sposób rzutować także na sferę muzyki kościelnej. W tę dosyć szarą rzeczywistość parafialną w latach 70. XX wieku weszły grupy oazowe ze swoimi gitarami i nową propozycją śpiewu. Oczywiście w wielu wypadkach, zwłaszcza z początku, śpiew ten mógł pozostawiać wiele do życzenia. Brak profesjonalizmu, śpiewanie podczas mszy piosenek religijnych nielicujących z powagą liturgii, to dwa główne problemy, które pojawiły się w Kościele wraz z upowszechnieniem Ruchu Światło-Życie. Niemniej, z czasem formacja muzyczna została w ten ruch wpisana (KAMUZO) i zaczynała rozwiązywać zaistniałe trudności. Powstawały nowe pieśni modlitewne, które znacznie przełamywały zastaną stylistykę. Dotąd bowiem powaga i wzniosłość wykonawcom muzyki liturgicznej najczęściej kojarzyła się ze smutkiem. Pewne zasługi na polu śpiewu liturgicznego przyznaje Ruchowi Światło-Życie również ks. Tyrała w cytowanym wywiadzie udzielonym dla KAI-u.
Kolejną inspiracją przemian w dotychczasowym śpiewie liturgicznym był rozwój Odnowy w Duchu Świętym. Przy wielu wspólnotach powstawały grupy muzyczne, które animowały śpiew na spotkaniach modlitewnych, na wspólnotowych mszach, a czasem także na mszach niedzielnych, zwłaszcza młodzieżowych. Śpiew ten często był inspirowany anglosaskimi pieśniami chwały, które tłumaczono na język polski. Z czasem też zaczęto tworzyć własne pieśni modlitewne, a chyba najdojrzalszym tej twórczości przejawem są pieśni Wspólnoty Miłości Ukrzyżowanej, z własną oryginalną stylistyką i mistycyzującymi tekstami. U początków Odnowy oczywiście również mogły się zdarzać problemy analogiczne do tych z początków oaz. Z czasem jednak i tu następowała formacja, w dużej mierze dzięki wydawanym różnym śpiewnikom, organizowanym tu i ówdzie warsztatom muzycznym oraz coraz liczniejszym wydawnictwom audio, które zawierały niejako wzorcowe wykonania poszczególnych pieśni.
Równolegle z rozwojem Odnowy, coraz większy zasięg miał również Neokatechumenat, który zaproponował własny śpiew liturgiczny, najczęściej tłumaczony z hiszpańskiego, od strony muzycznej również nawiązujący do tamtego kręgu kulturowego. W każdej grupie bardzo ważna jest funkcja kantora. Niemniej ten rodzaj śpiewu zwykle nie wychodzi poza wspólnoty, stąd trudno mówić o jakichś problemach adaptacji pieśni do rzeczywistości ogólnoparafialnej.
Pewien wpływ na muzykę liturgiczną w Polsce miała również francuska wspólnota z Taizé. Spotkania Młodych, zainicjowane w końcu lat 70. które od dawna gromadzą kilkadziesiąt tysięcy Polaków, sprawiały, że kanony z Taizé, łatwo przeszczepiane były na grunt różnych wspólnot, a stąd niekiedy trafiały do parafii. Pomagały w tym rozprowadzane w wielkiej liczbie śpiewniki, jak również wydawnictwa audio.
Odnowę pieśni liturgicznej i w ogóle podejścia do liturgii podjęli także z dużym sukcesem dominikanie. Śpiewnik „Niepojęta Trójco" wydany przez Dominikański Ośrodek Liturgiczny, jak również liczne nagrania z nocy czuwań i z Triduum Paschalnego, stanowią piękną propozycję śpiewu liturgicznego i zarazem świadectwo tej wielkiej aktywności.
Całe to bogactwo dla mnie jest świadectwem żywotności Kościoła. Minął już czas, gdy Kościół był monolitem z powszechnie panującą łaciną i z jednorodną muzyką liturgiczną i choć z bólem serca, to jednak trzeba przyjąć, że jesteśmy jakoś skazani w Kościele na swoiste muzyczne pomieszanie języków. Nie znaczy to oczywiście, że dawną tradycję należy w całości odesłać do lamusa. Pielęgnowanie jej jest naszym obowiązkiem. Trzeba jednak wyraźnie widzieć różnorakie potrzeby współczesnych wspólnot i nurtów duchowych.
Jasne jest, że muzyka liturgiczna – jak stwierdzają kościelne dokumenty – winna być święta (czyli nie powinna zawierać elementu profanum charakterystycznego dla muzyki rozrywkowej) oraz doskonała (tak od strony repertuaru, jak i wykonania), winna być jednak także powszechna (a więc na tyle prosta, by mógł się w nią włączyć cały lud). Tu oczywiście rodzi się napięcie. Z jednej strony święta i doskonała msza Mozarta w dzisiejszej liturgii może okazać się niestety nieprzydatna, bo kto poza wyspecjalizowanym chórem ją zaśpiewa? Z drugiej jednak strony postulowana prostota nie musi i nie powinna od razu oznaczać zniżania się do kiczu i banału. Kryterium świętości muzyki nastręcza dziś dodatkowe problemy ze względu na globalizację kulturalną, która ujawnia się m.in. poprzez amerykanizację naszej kultury. Październikowe Warsztaty Gospel zgromadziły w Krakowie ok. 850 uczestników, jak sądzę w dużej części katolików z różnych przykościelnych schól i chórów. Gdzie mieliby ponieść to, czego się nauczyli, jeśli nie do swoich parafii? Trudno zresztą muzyce gospel odmówić świętości, skoro wypływa ona wprawdzie z protestanckiego, ale jednak religijnego źródła.
Dokumenty kościelne wymieniają cztery funkcje muzyki liturgicznej, wśród których na pierwszym miejscu jest funkcja wspólnototwórcza, na drugim funkcja medytacyjna, a dopiero na trzecim funkcja ozdobna. Wreszcie jest i czwarta funkcja: kerygmatyczna. Tu znowu widać, że porządkowanie muzyki liturgicznej winno rozpoczynać się od analizy potrzeb konkretnych wspólnot i ich specyfiki. Dopiero po ich rozeznaniu należałoby określać, co w ich dorobku muzycznym jest zgodne z kanonami liturgicznymi, a z czego w kontekście liturgicznym należałoby zrezygnować. Wydaje się, że w Kościele polskim bardzo potrzebna jest tego rodzaju dyskusja. Nie powinni prowadzić jej jednak tylko muzycy i muzykologowie, ale również i teologowie, liturgiści, przedstawiciele różnych ruchów, a nade wszystko przedstawiciele Episkopatu ustalający normy obowiązujące w liturgii.
To tylko kilka refleksji, które zrodziły się we mnie na kanwie Kongresu Muzyki Liturgicznej. Mam nadzieję, że łamy pisma RUaH mogą stać się dobrym miejscem namysłu różnych kościelnych środowisk nad muzyką liturgiczną.■

Cezary Sękalski


A. Bujnowski



A. Bujnowski

Jako w niebie, tak i na ziemi!

misterium uwielbienia (6)

Piotr Płecha

Każdy z nas modli się Modlitwą Pańską: „Ojcze nasz, niech się święci Twoje Imię, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi...” Trudno wypowiedzieć lepszą modlitwę od tej, którą nauczył nas sam Pan Jezus. W tej modlitwie zawiera się każda inna modlitwa. Czy mówi ona coś o uwielbieniu?

„Niech się święci Twoje Imię”– to jest pierwsze wezwanie Modlitwy Pańskiej. Tak jest dlatego, że naszym pierwszym zadaniem i powołaniem jest właśnie uwielbianie, wychwalanie Boga. Po to właśnie zostaliśmy stworzeni! Jesteśmy „własnością Boga, ku chwale Jego majestatu” (Ef 5-6; 12;14). Tak naprawdę wszystko to, co istnieje na ziemi, kiedyś się skończy. Skończą się uzdrowienia i proroctwa, nawet ewangelizacja i głoszenie Bożego Słowa. Skończą się też ... artykuły w chrześcijańskich magazynach. Jedynie uwielbienie Boga będzie trwało nadal! Przez całą wieczność będziemy robić to, co powinniśmy rozpocząć już tutaj na ziemi! Ziemia jest miejscem gdzie uczymy się, nabieramy wprawy w uwielbieniu. Chodzi o to, abyśmy pewnego dnia znaleźli się w domu Ojca, w niebie i czuli się tam naprawdę swojsko, u siebie, abyśmy już teraz Go poznali i uwielbiali. To jest życie wieczne, abyśmy znali Boga i Tego, którego On do nas posłał – Jezusa (J 17,3). Kiedy Jezus wyjaśnia nam tę tajemnicę, od razu mówi o tym, na czym polega prawdziwe uwielbienie: „Ja Ciebie Ojcze otoczyłem chwałą na ziemi (tzn. uwielbiłem) przez to, że WYPEŁNIŁEM dzieło, które mi dałeś (TY) do wykonania”. I to nie jest jedynie krzyż. Jezus mówi te słowa przed Swoją męką. Mówi je odnośnie CAŁEGO Swojego ŻYCIA w bezwzględnym posłuszeństwie Ojcu. I to jest prawdziwe uwielbienie jakiego Bóg poszukuje W NAS również. To ma znacznie szerszy wymiar i jest dużo bardziej wymagające niż zaśpiewanie nawet najbardziej pobożnej piosenki...

„Przyjdź Królestwo Twoje” – to drugie wezwanie Modlitwy Pańskiej. Jezus wyjaśnia nam też na czym polega przyjście Bożego Królestwa: „Bądź wola Twoja JAKO W NIEBIE, TAK I NA ZIEMI”. Kiedy Boża wola zaczyna spełniać się na Ziemi, tzn. kiedy ludzie zaczynają żyć w posłuszeństwie Królowi – przychodzi Jego Królestwo. Zupełnie tak samo jak jest w niebie! Nieprawdopodobne, ale gdyby to nie było możliwe, to czy Jezus nakazałby nam modlić się w ten sposób?!

„Bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi” – znaczy również: niech uwielbienie Boga takie, jakie jest w niebie, będzie również tu na ziemi! Kiedy tu, na ziemi, zaczynamy uwielbiać Boga W TEN SAM SPOSÓB, w jaki to robią mieszkańcy nieba – zstępuje na ziemię Boże Królestwo. Tam zaś, gdzie przychodzi Boże Królestwo, tzn. Boża chwała i Boże panowanie, tam nie ma już miejsca na inne „królestwo” czy „księstwo”. Nie ma miejsca na diabła i jego dzieła. Prawdziwe uwielbienie na ziemi NA WZÓR tego, które jest ciągle w niebie, naprawdę przemienia atmosferę na ziemi. Osobiście widziałem cudowne uzdrowienia podczas uwielbienia. W Holandii widziałem kobietę, która wstała z wózka inwalidzkiego i w dowód wdzięczności biegała (nie chodziła jedynie) po scenie, na której graliśmy z zespołem uwielbiając Boga. Widziałem... złoty ząb, który urósł pewnemu mężczyźnie w Namibii podczas uwielbienia. Widziałem wiele osób, które otrzymały od Boga światło na swoje życie, nadzieję w „beznadziejnej” sytuacji, uwolnienie z duchowych

zniewoleń, doświadczenie żywego, osobistego spotkania z Bogiem. To wszystko działo się podczas uwielbienia, bez żadnej „specjalnej" modlitwy. Wszystkie te fakty są znakami Bożego Królestwa, które jest pośród nas.

Spójrzmy więc na to, jakie uwielbienie jest w niebie, po to, abyśmy na ziemi mogli wielbić Boga TAK SAMO. Pierwszą, zdumiewającą charakterystyką niebiańskiego uwielbienia są... DECYBELE! Jeśli ktoś wybiera się do nieba po to, aby w końcu mieć trochę „świętego spokoju" – będzie bardzo zdziwiony i rozczarowany, gdy się tam znajdzie! W niebie bowiem jest cisza jedynie na... „pół godziny" (Ap 8,1). Poza tym jest ciągły hałas! Aniołowie i święci uwielbiają Boga „DONOŚNYM GŁOSEM" (Ap 5,12 ; 7,10 ; 19,1). Nowa pieśń, którą śpiewają, jest jakby „głosem MNOGICH WÓD" (jeśli ktoś miał okazję słyszeć np. huk wodospadu, to może zrozumie to stwierdzenie) i „głosem WIELKIEGO GROMU" (Ap 14,1 ; 19,16). Z samego tronu Boga „wychodzą BŁYSKAWICE, GŁOSY i GROMY" (Ap 4,5) „TRZĘSIENIA ZIEMI i WIELKI GRAD" (Ap 11,19). Najbardziej szokujące jest to, że głos samego Jezusa jest opisany przez św. Jana jako „GŁOS WIELU WÓD" (Ap 1,5). Kiedyś miałem okazję słyszeć szum wzburzonego oceanu. Hałas był tak ogromny, że prawie nie byłem w stanie usłyszeć mojego własnego krzyku. Prorok Ezechiel, który widział Bożą chwałę i słyszał Boży głos, opisuje to jako: „szum wielu wód, jak głos Wszechmogącego" (Ez 1,24). Prorok Izajasz również widział Bożą Chwałę i słyszał niebiańskie uwielbienie. To, co słyszał z ust serafinów, zapisał w formie: „ŚWIĘTY, ŚWIĘTY, ŚWIĘTY" (Iz 6,3). Powtórzenia w języku biblijnym oznaczają podkreślenie, wykrzyknik, jako że nie istnieją w języku hebrajskim znaki interpunkcji. O dziwo, jest to chyba jedyne miejsce w całej Biblii, gdzie jedno słowo jest napisane aż 3 razy! To oznacza wiele, bardzo wiele wykrzykników: ŚWIĘTY!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!

Na dowód tego, że aniołowie naprawdę głośno uwielbiają Boga, Izajasz zaświadcza: „Od głosu tego, który wołał, ZADRGAŁY FUTRYNY DRZWI" (Iz 6,4). Jakże inne jest to uwielbienie od tego, do którego przyzwyczailiśmy się... Człowiek ze swojej ludzkiej natury nie jest w stanie wykrzesać z siebie takiego uwielbienia. „Nikt tej pieśni nie mógł się nauczyć" (Ap 14,2), oprócz zbawionych. Nie tylko jej słów, ale również jej intensywności. Potrzebujemy mocy Ducha Świętego, aby tak uwielbiać. Słowo „nauczyć" oznacza, że mamy się jej uczyć pod Jego kierownictwem. Dodam też, że nie mam absolutnie nic przeciwko cichej modlitwie. Nikogo też nie trzeba przekonywać do jej walorów. Sam modliłem się niemal wyłącznie w ciszy przez 5 lat. Czasem istnieje cisza, która może wyrazić dużo więcej niż słowa. Istnieje pełne ciszy oczekiwanie na Bożą obecność. Istnieje zachwyt Nim, którego słowa nie są w stanie wyrazić. Myślę jednak, że zbyt często oszukujemy siebie samych nazywając „modlitwą kontemplacyjną" nasze lenistwo lub strach przed otwarciem ust na chwałę Boga. Gdybyśmy jednak zdecydowali się dołączyć do chóru aniołów – doświadczylibyśmy tego, co oni: Bożej Chwały. Na biblijne modlitwy są bowiem biblijne odpowiedzi!

Druga, jeszcze ważniejsza cecha niebiańskiego uwielbienia to: LICZY SIĘ TYLKO ON – BÓG. Całe niebiańskie uwielbienie, które jest opisane w Biblii, skierowane jest WYŁĄCZNIE na BOGA (Iz 6,3-4; Ap 4,8-11; 5,9-14; 7,10--11; 12,16-17; 15,3-4; 16,5). Nie ma tam ani jednego słowa o tych, którzy uwielbiają! Nie ma o tym, jak czują się wspaniale, nawet o tym, że.... kochają Boga! Wierzę, że wspaniałą rzeczą jest śpiewać Bogu pieśń miłości. Jestem przekonany też, że Bóg pragnie, abyśmy przychodzili przed Jego oblicze i w szczerości otwierali nasze serca i wylewali je przed Nim, w modlitwie dziękczynienia, prośby, pokuty, radości. Wspaniale jest śpiewać takie pieśni. Wspaniale jest też zachęcać się wspólnie przez pieśni pełne Ducha do szukania Boga, budować wiarę i napominać się wzajemnie (Ef 5,19; Kol 3,16), ale to wszystko należy do tej ziemskiej rzeczywistości, która pewnego dnia przeminie. Pozostanie TYLKO ON – BÓG, i będzie wszystkim we wszystkich (1 Kor 15,28). Czas więc już teraz uczyć się takiego uwielbienia, jakie jest w niebie. Wzorem dla nas niech będą biblijni „Starcy", którzy doszli już do celu. Oni uwielbiając Boga nie tylko upadają, oddając Mu pokłon (Ap 7,11; 12,16) ale też rzucają przed tronem Bożym swoje wieńce – korony (Ap 4,10). Problem w tym, że tak trudno nam zdjąć nasze „korony" dumy, egoizmu, pychy i narcyzmu. Wolimy ciągle patrzeć na samych siebie i wyśpiewywać ciągle piosenki o nas samych. Przekonaj się sam – zaśpiewaj „pierwszą lepszą" popularną piosenkę „uwielbienia" i przekonaj się, ile tam jest naprawdę o Bogu, a ile o nas, ludziach! Sprawdziłem, z.... przerażeniem i smutkiem! Jeszcze wiele musimy się uczyć, zanim zrozumiemy, jakiego uwielbienia poszukuje Bóg.

Uczmy się więc od najlepszego nauczyciela – Ducha Świętego (J 16, 13-14). Wtedy będziemy się czuć naprawdę swojsko w domu naszego Ojca. Już teraz będziemy doświadczać Jego Chwały pośród nas i będziemy widzieć, jak Jego Królestwo rozprzestrzenia się na ziemi. Niech uwielbienie jako w niebie, będzie też na ziemi. Amen! ■

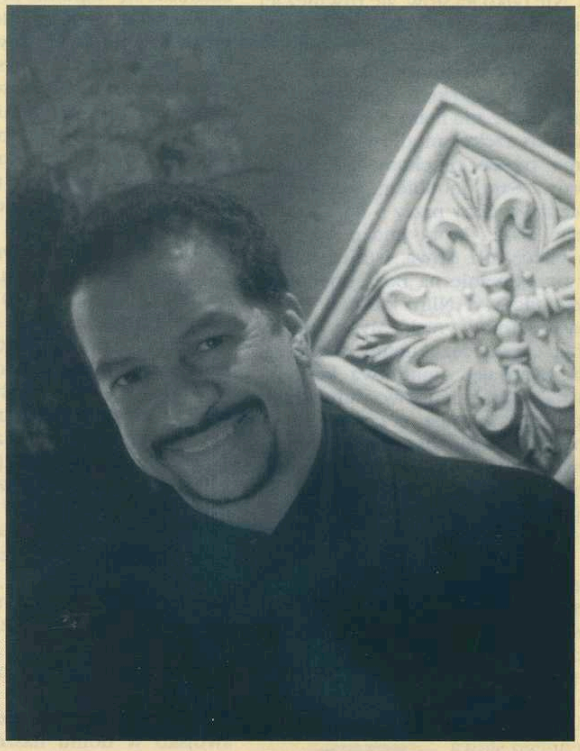
Piotr Płecha



GOSPEL na warsztacie



RICHARD SMALLWOOD



fot. Chris Harlove

Osobę i dokonania Richarda Smallwooda można śmiało określić mianem żywej legendy gospel. Ten wszechstronny amerykański artysta, kompozytor, pianista i aranżer wyraźnie przemienił oblicze pieśni czarnych kościołów, łącząc w sposób doskonały elementy muzyki klasycznej z tradycyjnym gospel i jednocześnie podążając na bieżąco za współczesnymi trendami kierującymi tym gatunkiem muzycznym. W ten sposób wypracował własny, indywidualny i rozpoznawalny styl.

Richard Smallwood ukończył z wyróżnieniem Uniwersytet Howarda, gdzie uzyskał dyplom z wokalistyki i gry na fortepianie oraz obronił pracę z dziedziny etnomuzykologii. Jego nieprzeciętny talent muzyczny ujawnił się już we wczesnym dzieciństwie. W wieku pięciu lat odtwarzał na fortepianie zasłyszane melodie, jako siedmiolatek akompaniował chórowi w kościele, gdzie pastorem był jego ojciec, a dwa lata później utworzył swój pierwszy zespół gospel. Mniej więcej w tym czasie zaczął pobierać lekcje muzyki (wśród swoich nauczycieli wymienia m.in. słynną wokalistkę i pianistkę – Robertę Flack). Na studiach związał się z grupą The Celestials – był to pierwszy zespół gospel w miasteczku uniwersyteckim, a zarazem pierwszy zespół gospel, który wystąpił na prestiżowym szwajcarskim Festiwalu Jazzowym w Montreux (na marginesie wspomnę, że w lipcu br. zwycięzczynią jazzowego konkursu wokalnego w Montreux została Polka, Anna Serafińska).

Od ponad dwudziestu lat Richard Smallwood zajmuje się niemal wyłącznie tworzeniem i wykonywaniem muzyki gospel, a jego umiejętności kompozytorskie i wokalne były wielokrotnie potwierdzane nagrodami i wyróżnieniami. Karierę fonograficzną zapoczątkował wydanym w 1982 roku albumem zatytułowanym po prostu „The Richard Smallwood Singers". Debiutancka płyta przez 87 tygodni gościła na gospelowej liście przebojów Billboardu! Następne projekty – „Psalms", „Textures", czy napisany wspólnie z Billem i Glorią Gaither „The Center of My Joy" – przyniosły za sobą liczne nominacje do Grammy Awards. Ogromnym wyróżnieniem były dla Smallwooda nagrody Grammy i Dove za produkcję gospelowego projektu Quincy Jonesa – „Handel's Soulful Messiah".

Jego działalność muzyczna nie ogranicza się do któregokolwiek z gatunków artystycznych, lecz obejmuje wiele dziedzin sztuki, czego przykładem jest musical „Sing Mahalia Sing" z Jennifer Holiday w roli głównej, z którym Smallwood i jego zespół odbyli wielkie tournée, goszcząc m.in. w programie „Ryan's Hope" amerykańskiej stacji telewizyjnej ABC. Innym razem artysta akompaniował legendarnej divie operowej Leontynie Price podczas obchodów Świąt Bożego Narodzenia w Białym Domu (było to za czasów administracji prezydenta Reagana).

dyskografia

- ***Praise and Worship Songs Of Richard Smallwood***, R. Smallwood & Vision, Verity Records, 2003
- ***Persuaded, Live in DC***, R. Smallwood & Vision, Verity Records, 2001
- ***Memorable Moments***, R. Smallwood, EMI Gospel Music, 1999
- ***Healing, Live in Detroit***, R. Smallwood & Vision, Verity Records, 1999
- ***Rejoice***, R. Smallwood & Vision, Verity Records, 1997
- ***Adoration, Live in Atlanta***, R. Smallwood & Vision, Verity Records, 1996
- ***Live, At Howard University***, The Richard Smallwood Singers, Sparrow Records, 1993
- ***Testimony***, The Richard Smallwood Singers, Sparrow Records, 1992
- ***Portrait***, The Richard Smallwood Singers, Word Records, 1990
- ***Vision***, The Richard Smallwood Singers, Word Records, 1988
- ***Textures***, The Richard Smallwood Singers, Word Records, 1986
- ***Psalms***, The Richard Smallwood Singers, Onyx International Records (Benson), 1984
- ***The Richard Smallwood Singers***, The Richard Smallwood Singers, Onyx International Records (Benson), 1982

Obecnie Richard Smallwood współpracuje z zespołem Vision, z którym nagrał pięć albumów dla wytwórni Verity Records: „Adoration", „Rejoice", „Healing, Live in Detroit", „Persuaded – Live in D.C." oraz najnowszy – „Praise and Worship Songs of Richard Smallwood", który ukazał się w 2003 roku.
Dzięki uprzejmości Norrisa Garnera, który gościł niedawno w Krakowie przy okazji VI Warsztatów Gospel, miałam przyjemność porozmawiać z Richardem o jego inspiracjach i najbliższych planach. Zapytałam, co właściwie skłoniło muzyka z tak dobrym wykształceniem klasycznym, aby zajął się akurat tworzeniem muzyki gospel? W odpowiedzi otrzymałam następujące słowa: *Posługuję poprzez muzykę gospel, ponieważ zostałem powołany przez Boga, aby to właśnie czynić. Od dziecka wiedziałem, że to jest jeden z powodów, dla których Bóg postawił mnie w tym miejscu. Wierzę, że Bóg przewidział życie każdego z nas, zanim jeszcze się narodziliśmy, nawet przed tym, jak zostały utworzone fundamenty ziemi. Wszyscy mamy powołanie, wszyscy mamy swój cel. Posługa poprzez moją muzykę jest częścią mojego celu. Moje natchnienie rodzi się z doświadczeń życiowych – zarówno z dobrych, jak i z trudnych chwil. Pochodzi z tego, co dzieje się wokół mnie, w mojej rodzinie, w życiu moich przyjaciół i w świecie, który mnie otacza. Ostatecznie jednak, moja inspiracja pochodzi od Boga. On jest jedynym, który daje mi muzykę.*
Aktualnie Richard Smallwood przygotowuje muzykę do swojego najnowszego projektu zatytułowanego „Journey" (Podróż). Do udziału w tym wydarzeniu zaprosił wielu znakomitych artystów, którzy od lat byli jego muzycznym natchnieniem: Arethę Franklin, Robertę Flack, divę operową Kathleen Battle, Waltera Hawkinsa & The Hawkins Family, Yolandę Adams, Siostry Clark oraz zespoły Vision i oryginalny skład The Smallwood Singers. Premiera „Journey" odbędzie się najprawdopodobniej na początku przyszłego roku w Nowym Jorku. Kilka miesięcy później planowane jest wydanie zarejestrowanego materiału w formie płyty CD i DVD.

Magda Florek
Współpraca: Adam Rymarz

Richard Smallwood wystąpił gościnnie na płytach wielu innych artystów, jak: Kirk Franklin (*Rebirth of Kirk Franklin*, 2002), Yolanda Adams (*Mountain High... Valley Low*, 1999), Karen Clark Sheard (2nd *Chance*, 2002), Vanessa Williams (*Vanessa*, 2002), Edwin Hawkins Singers (*Kings & Kingdoms*, 1994), Candi Staton (*Stand Up and Be a Wittness*, 1990), Boyz II Men (*Evolution*, 2000). Jego utwory są także nieodłączną częścią popularnych składanek z muzyką gospel: *WOW Gospel*, *Gospel Greats*, *Men of Gospel* czy *Glory of Gospel*.
Wybranych utworów Richarda Smallwooda można posłuchać również na płytach wydanych w Polsce:

- *I Love the Lord* - Koncert Finałowy II Warsztatów Gospel w Krakowie, 2000; Warsaw Gospel Days, 2003
- *Total Praise* - Koncert Finałowy III Warsztatów Gospel w Krakowie, 2001; Koncert Finałowy IV Warsztatów Gospel w Krakowie, 2002
- *My everything (Praise Waiteth)* - Koncert Finałowy V Warsztatów Gospel w Krakowie, 2003

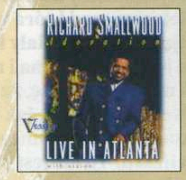
(oprac. Magdalena Florek)



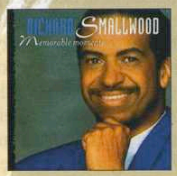




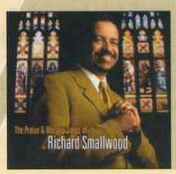












„Będę śpiewał duchem, bedę też rozumem"

(1 Kor 14:15b BW)

I love the Lord
Richard Smallwood

W tym numerze bierzemy na warsztat piękną, bardzo znaną dzięki znakomitej interpretacji Whitney Houston piosenkę z filmu „Żona pastora". Śpiewana była też na II warsztatach w Krakowie (2000), ma ją w repertuarze wiele chórów gospel.

Kocham Pana, On usłyszał moje wołanie
I użalił się nad słowami mego błagania
Póki życia mego
Ilekroć nieszczęście się wzmaga
Pośpieszę do Jego tronu
Pośpieszę do Jego tronu

Przy okazji różnych pieśni gospel, które śpiewamy w chórze, dla samej siebie próbuję je określić jedną frazą, która pokieruje moją interpretacją i stanie się moim wyznaniem. W tym wypadku najprościej i bez namysłu narzuca się, że jest to pieśń miłości. (przesłuchajmy tę piosenkę z CD)

I love the Lord, He heard my cry and pitied every groan
Sam początek to bezpośredni cytat z psalmu 116, 1-2
(Przeczytajmy cały **psalm 116**)

Czasem trudno jest w chórze śpiewać tę piosenkę, i to nie tylko ze względu na oryginał. Śpiewając potrzebuję szczerze tak wyznać – Pan wysłuchał mojego wołania, Pan się troszczy. Jednak są chwile, gdy raczej pytam: Gdzie jesteś? Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił (Ps 22,1-5)? Czy zakryta jest przed Tobą moja droga? (Iz 40, 27) Jak długo nie będziesz o mnie pamiętał (Ps 13, 2)? To są całkiem inne psalmy.
Cała Biblia, ba, cała ludzkość pełna jest błagalnego wołania – Boże, czy widzisz? Boże, ulituj się, Boże, zrób coś.
Tak naprawdę to chcemy czuć, że KTOŚ rozumie, jest po mojej stronie, słucha; Ktoś wie, dokąd to wszystko się toczy.
Czy ta pieśń jest wyznaniem, że Bóg zadziałał, wyratował? Psalm tak mówi, a pieśń?

Long as I live, when trouble rise
Wiem, że niedola, smutek nastąpią w tym życiu, nastąpią z pewnością. Mówi o tym doświadczenie, obiecuje nam to Pismo
(przeczytajmy **Jn 16, 33**, **Iz 43, 2**)

I'll hasten to His throne
Zdarza się, że trudno bez namysłu i w dziecięcym zaufaniu biec do tronu łaski.
Lękam się, że Mu nie zależy
Bo myślę, że mam cierpieć w milczeniu
Bo czuję mój grzech i nie zasługuję na pomoc od wielkiego Boga
Bo nie rozwiązał mojej sytuacji wtedy, gdy Go prosiłam, i boję się, że już tego nie zrobi.
(Przeczytajmy **Łk 18, 7-8**; **Hebr 4, 14-16**)

Zaufanie nas uczy:
On nie zawsze działa od razu, ale zawsze słucha i mówi:„Kto ciebie rani – mnie rani. Znam to wszystko. Byłem tam". Potrzebuję zaufać, że jest dobry i wtedy milknie zgiełk w mojej duszy i mogę wyznać – I love the Lord.
Tak więc dla mnie to jest przede wszystkim PIEŚŃ ZAUFANIA.
(przesłuchajmy jeszcze raz tę piosenkę)

Alina Krajewska

MX 50

tu dzieje się coś dobrego!

z ojcem Krzysztofem Kurzokiem

kapucynem z Sofii, organizatorem Festiwalu w Belozem w Bułgarii, rozmawia Darek Malejonek

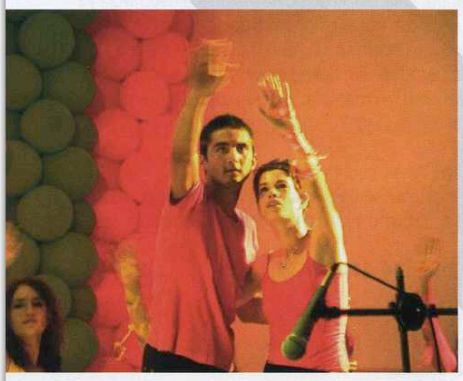


Tutejsza młodzież nazywa Cię Kizu. Jak długo jesteś w Bułgarii?

Ponad 11 lat, od roku moich święceń.

Jesteś pomysłodawcą jedynego na Bałkanach chrześcijańskiego festiwalu. W sierpniu tego roku miałem zaszczyt brać w nim udział.

Pomysł stworzenia go nosiłem w sobie wiele lat. Na początku miał to być festiwal o zasięgu lokalnym, nie międzynarodowym. Chciałem stworzyć taką formę prezentacji muzyki, która byłaby współczesna i odpowiadałaby potrzebom młodzieży. W tym kraju jest 80 tysięcy katolików, czyli mniej niż 1% całej ludności. Kościół katolicki był tu cały czas w cieniu Kościoła prawosławnego, najpopularniejszego na Bałkanach. W tutejszych wspólnotach katolickich dominował śpiew chóralny, a więc forma muzyki bardziej klasycznej. Zdominował on dialogową formę śpiewów na mszach świętych i zamiast być mową ludu zebranego w czasie liturgii, stał się prezentacją chórów, które wykonywały pieśni w imieniu ludu, jak to jest w Kościele prawosławnym. Postanowiliśmy jakoś pomóc tej młodzieży. Stworzyć najpierw nowe pieśni liturgiczne, a później powoli, powoli zaproponować coś bardziej współczesnego...



Gdy zjechaliśmy z autostrady z Sofii do Burgas, dojechaliśmy do małej miejscowości – Belozem, nad którą widać Wasz wyróżniający się duży, biały kościół. Na Festiwalu jest wielka scena i mnóstwo, mnóstwo młodych. Widzę, że są oni pod dużym Twoim wpływem. Jak udało Ci się przekonać ich do czynnego udziału w ewangelizacji? To nie jest przecież takie proste, są przecież z trochę innego kręgu kulturowego. Ten Festiwal to nie jest też tylko muzyka, to rekolekcje, to warsztaty! Jak udało Ci się wykrzesać z tych młodych ludzi, często prawosławnych, tyle energii?

No na pewno jest w tym coś dziwnego w skali Bułgarii, że ta młodzież jest tak otwarta i chętna, ale myślę, że to duża zasługa naszych poprzedników, nieżyjących już w tej chwili braci kapucynów, którzy dali w Bułgarii bardzo piękne świadectwo wiary, a nawet męczeństwa. My z kolei wnieśliśmy swą młodością coś nowego w tutejsze życie. Dla młodych Bułgarów stało się ważne, że my uczestniczymy w ich życiu, że razem z nimi sprzątamy, jeździmy, chodzimy na wycieczki w góry, kąpiemy się w morzu. W ten sposób udało się zbudować zaufanie w ich sercach. Oni nas znają, widzą, że jesteśmy blisko ich rzeczywistości, że nie jesteśmy fantastami czy moralistami. I może dlatego łatwiej trafić do ich serc, przekonać do tego, co robimy, zwłaszcza jeżeli taki brat jak ja, 180 kilogramów żywej wagi, na scenie jest trochę showmanem, skacze i tańczy w habicie, równocześnie później odprawia mszę świętą, mówi poważne, głębokie kazania...

Rzeczywiście, widzę, że gdy wychodzisz na scenę i masz przygotowane kilka piosenek, naprawdę trafiasz do tych młodych ludzi, bo nagle gęstnieje przed nią tłum, wszyscy tańczą, śpiewają, widać radosne twarze, to jest dla mnie niesamowite!

Aplauz, zwłaszcza wśród dzieci i dorastającej młodzieży, wywołują „krokodyle i orangutany...", bo tego typu piosenki, z ruchem i gestami, angażują całego człowieka. Oni są nie tylko słuchaczami, ale biorą czynny udział! Poza tym, co najważniejsze, słyszą piosenki religijne w swoim języku! Nie tylko po włosku czy polsku! Tu dodać trzeba, że goście Festiwalu to głównie Włosi i Polacy.

Jak zorganizowany jest Wasz Festiwal?

Nasz Festiwal jest jedną taką akcją w ty kraju, która zbiera w jednym miejscu dużo młodzieży, przede wszystkim katolickiej. Trzeba dawać jej formację chrześcijańską i taką... ogólnoludzką. Ważne są spotkania w podgrupach, to, że po usłyszeniu konferencji młodzi mogą się spotkać i wymienić swoje poglądy, podzielić się tym, co robią, co przeżywają.





E. Malejonek

Później przychodzi czas na zrozumienie, że by tworzyć muzykę religijną, nie wystarczy tylko śpiewać i zapraszać gości, ale trzeba też samemu jakoś do tego podejść. Warsztaty muzyczne, które prowadzimy, dotykają tak tworzenia muzyki, jak i pisania tekstów, animacji na scenie czy, jak od tego roku, również i tańca – breakdance, który zachwyca szczególnie młodszą młodzież. A więc – pierwsza część Festiwalu to właściwie rekolekcje. Później następuje część robocza – warsztaty, i w końcu – część artystyczna, gdzie na scenie trwają prezentacje. Zależy nam, by nie tylko zapraszać gości, którzy się pokażą i przedstawią, ale by tutejsza młodzież miała możliwość zagrania na prawdziwym sprzęcie, przed mikrofonami, na zawodowych instrumentach. Bo oni nie mają takich okazji! Więc nawet, jeżeli im tam coś nie wychodzi, fałszują czy nierówno grają, to nieistotne. Ważne jest, że oni próbują coś robić, że podczas tego Festiwalu zaczynają łapać bakcyla: oni zagrali, wyszli na scenę, ludzie ich słuchali, ludzie klaskali, ludzie na nich patrzyli. I to jest coś, co ich mobilizuje.

Festiwal ma charakter ekumeniczny, to prawda?

Tak, chociaż my tego tak nie nazywamy, to wychodzi bardzo naturalnie, spontanicznie. Ta jedność, czy słowo „ekumenizm", dla prawosławnych jest zakazana. Oni uważają to za herezję, więc my specjalnie nie mówimy o „ekumenizmie". Mówimy o jedności, o tym że jesteśmy razem, że razem pracujemy dla wspólnego dobra. I to działa! Tym bardziej że plakaty, transparenty czy billboard robią ludzie, którzy do kościoła nie chodzą, którzy są z pochodzenia – prawosławnymi. Ale oni to robią bezpłatnie, oni uważają, że to trzeba zrobić, to jest ich obowiązek jako mieszkańców Belozem. I tak to się wszystko dzieje. Ludzie przynoszą jedzenie, przyjmują młodych, są dla nich bardzo przychylni, i mimo że trwa to od 5 lat – w wymiarze bułgarskim, gdzie zapał jest bardzo słomiany, to rzeczywiście już dość długi czas i im to się nie znudziło, a coraz bardziej się rozwija, więc to jest coś bardzo pozytywnego.

Przez te 5 lat wystąpiło tu już wielu artystów. Może wymienisz kilku Twoim zdaniem najważniejszych?

Najważniejszym gościem, który w tym roku pojawił się na scenie, jest Darek Malejonek z Polski **(Maleo**: ha, ha, ha!). Z zagranicy zapraszamy głównie Włochów, bo oni, o dziwo, znajdują bardzo łatwo wspólny język z Bułgarami. I są im bliżsi emocjonalnie i mentalnościowo, chociaż twierdzą, że to nieprawda. Bardzo znanym we Włoszech artystą chrześcijaninem jest Roberto Bignoli, który gościł na Festiwalu Song of Songs w Toruniu w 2002 i 2003 roku. Gra muzykę rockową, przekazując głębokie treści. Jest człowiekiem upośledzonym fizycznie, chodzi o kulach, człowiekiem, który przeszedł też pewną historię – narkotyki, więzienie, trudne doświadczenia życiowe. Śpiewając o Bogu, daje świadectwo. Napisałem kiedyś do niego i on odpisał przez Internet, że bardzo chętnie przyjedzie, i zrobi to bezpłatnie, pokryjemy mu tylko koszta podróży. I przyjechał, zobaczył, że tutaj dzieje się coś dobrego. Pozostali goście przyjechali właściwie dzięki niemu. Jest więc u nas Aurelio Pittino, autorytet w dziedzinie



Roberto Bignoli i jego fani

muzyki gospel we Włoszech, znany również w kręgach protestanckich. Jest Marco Bonini, specjalista od pracy z młodzieżą w oratoriach parafialnych, u nas świetnie prowadzi warsztaty. W tym roku przyjechała jeszcze Ines De Viaud z San Salvadoru.

Gratuluję... ■

rozmawiał Darek Malejonek

zdjęcia z Archiwum Festiwalu

BUDZY i TRUPIA CZASZKA
Uwagi Józefa Baki

FRONDA 2004

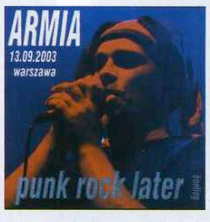


Pierwsze, co rzuca się w uszy po odpaleniu tej płyty, to pozbawiony jakichkolwiek sentymentów czad. Porażający i bezkompromisowy, jak poezyje imć księdza Baki. Nie bez kozery Grzegorz Górny (Fronda) zwrócił się do Budzego z propozycją umuzykalnienia tekstów patrona Frondowego konkursu poetyckiego. Moje ulubione „trzy akordy darcie mordy", w połączeniu z jego lirykami, dają mieszankę wprost piorunującą (*nic nie miło, gdy się zgniło*). Ręczę, iż jego wysuszone truchło zacznie przytupuje nóżką – w takt Trupiej Czaszki – rzecz jasna. Muzycznie, płyta sięga źródeł: zero waltorni, zero bajkowości (*nic nie miło, gdy się zgniło*). Tylko śmierć i zniszczenie. Aaaarrrghh! Myślę, że nie każdemu ta płyta się spodoba. Ja sam musiałem się z nią zmierzyć kilkakrotnie, zanim wciągnąłem się w jej rytm i brzmienie. Ale nie o podobanie się tu chodzi. X. Baka pisał swe „Uwagi" nie po to, by się tłuszczy podobało, ale by przywalić, a przywaliwszy wytrącić z fałszywego samozadowolenia. Jednako dostaje się klechom (*mości księże pieścidełko*), damulkom, fircykom, patriotom, bogaczom. A wszystko po to, by pokazać marność (vanitas) tego świata (*świat bałamut i fiut, fiut – nic po nim nie gut*), tego życia (*dzisiaj rozkosz i bogactwo, jutro ropa i robactwo*). Napomina, przypomina, nawołuje do nawrócenia. Przesłuchanie tej płyty jest jak rekolekcje. Dlatego, jeśli nawet najostrzejszą rzeczą, jakiej do tej pory słuchałeś, był Cat Stevens, to i tak powinieneś zmierzyć się z ta płytą. Mój typ nad typy – na długie zimowe wieczory przy kominku, he he he.

dzicz

ARMIA
Punk Rock Later

BOOTLEG - WARSZAWA 2003



Myślę, że to był zdecydowanie dobry rok w życiu Budzyńskiego. Kolejny dobry rok. I ta płyta, mimo że odbiega standardem wydawniczym daleko od ideału, jest potwierdzeniem tej tezy. W którymś z poprzednich numerów RUaH recenzowałem książkę Plater. Ten zapis koncertu pochodzi właśnie z wrześniowego występu Armii na festiwalu pod tym samym, Punk Rock Later, tytułem. Jak na „późniejszych" punkowców przystało, zaczyna się trzema kawałkami legendarnej Siekiery. Potem set złożony z przebojów nie starszych niż Legenda. W sumie nic nowego, więc o co chodzi? Ano o samą ideę. Jak mówi tytuł (Bootleg), jest to coś nielegalnego. Od takich nielegalnych zapisów roi się w dyskografiach zespołów starszych, popularniejszych, czy przez niektórych uznawanych za większe niż Armia. Często jednak nagrania te mają nieocenioną wartość historyczną (szczególnie dla fanów). O tu, w trzeciej zwrotce Robert Fripp się pomylił, a podczas tego koncertu napruty Miles Davis fałszował. Bootleg to także niezbyt dobra jakość. Tutaj aż usiadłem z wrażenia, kiedy usłyszałem to brzmienie. Jakby z Grundinga, nagrane na żywca w Jarocinie albo na Róbrege – miałem setki takich taśm – aż mnie dreszcz przeszedł, jakbym przeniósł się w czasie. Ech – to se ne vrati! No i dzięki temu słychać jak reaguje publika, jak ryczy z Budzym poszczególne kawałki. Coś niesamowitego! Właśnie dlatego warto mieć tę płytę (może być to trudne, podobno tylko 500 egzemplarzy zostało wydanych), aby mieć świadectwo formy zespołu bez jakiejkolwiek korekty, poprawy brzmienia, sposobu grania, no i by poczuć tę niesamowitą atmosferę. Także po to, by mieć nagraną wersję „Jeżeli" na dwie stopy! Forumowiczom Armii (pozdrowienia!) i tym, którzy byli na tym koncercie, nie muszę tego mówić, oni i tak kupią tę płytę. A pozostali? Nie zna życia, kto nie służył w marynarce!

Grzegorz Wacław a.k.a. dziki

DZIECI Z BRODĄ
Czuwaj Wiaro!

MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO 2004

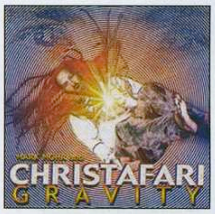


Niepowtarzalne wydawnictwo. Muzeum Powstania Warszawskiego poprosiło Joszko Brodę o nagranie płyty z piosenkami z okresu wojny i okupacji, masowo wykonywanymi podczas Powstania. Zapis historyczny Najstarszy – werbalny – znany sposób przekazywania historii wzbogacony został dzięki temu o niebanalną warstwę muzyczną. Ale czemu się dziwić, skoro w sesji, oprócz Brody, brały udział takie nazwiska jak Waglewski, Żyżelewicz czy Marcin Pospieszalski. Gwarancja najwyższej jakości! No i te dzieci. Kiedy patrzę na okładkę ze zdjęciem małej sanitariuszki i uświadamiam sobie, że przecież te, które śpiewają dziś, są w wieku tych, które brały mniej lub bardziej czynny udział w Powstaniu – ciarki chodzą mi po plecach. To, co fajne w tej płycie to to, że załoga podeszła do tego zadania w sposób absolutnie nie bałwochwalczy i pokazała, że można nagrywać patriotyczne materiały bez akademijnego zadęcia, bez werbli, kroku paradnego i zapachu zniczy, bez ciążącego nad nią koszmarnego cienia martyrologii, który nieopatrznie dawkowany, w zbyt dużych porcjach, może przykryć wszystko żałobnym kirem, redukując wydawnictwo do poziomu kolejnej cegły w murze naszej rozpaczy. Radość i czystość dziecięcych głosów, całkowity brak zadęcia artystów, daje efekt po prostu – piękny. Werble przeplatają się tu z motywami żydowskimi, smyki rodem z country, harmonia rumba, cha-cha z tradycyjnymi melodiami – nadają tym piosenkom nowy charakter, a jednocześnie nie ma wątpliwości, że są to te same, co kiedyś, piosenki. Płytę można dostać niestety tylko w Muzeum Powstania, ale niech to będzie dodatkowym impuls do jego zwiedzenia.

dzicz

CHRISTAFARI
Gravity

DR STUDIO 2003



Dostępna jest już na Polskim rynku (dystrybucja: DE-Orecordings), wydana na początku 2003 roku płyta zespołu Mike'a Mohre'a. Szósty premierowy materiał (nie licząc płyt z dubami i hiszpańskojęzycznej wersji „Word sound & power") misjonarza w dreadlokach jest najlepszą płytą, jaka ukazała się pod szyldem Christafari. Charakterystyczny głos Mohre'a wreszcie występuje w otoczeniu pełnego żywego instrumentarium, okraszonego jedynie elektrycznymi efektami, a nie jak bywało poprzednio – jedynie w towarzystwie elektroniki. Tradycyjnie już, piosenki stanowią tylko część materiału liczącego 23 traki, wiele z nich to wprowadzenia i wyprowadzenia (intra i outra) – co, z jednej strony jest denerwujące, z drugiej natomiast, spaja je w coś więcej niż album – tworzy pewną opowieść. Wracając jednak do muzyki, zaserwowano nam łącznie 15 kawałków oscylujących między modern roots'em a ragga jungle'm. Moimi osobistymi faworytami są: *Hiding place* – piękny transowy roots, opowiadający o jedynym schronieniu, jakie może znaleźć wędrowiec – klimatem porównywalny z *Oh, what a joy!* Sister Carol, z wydanej w tym samym czasie płyty *Empressive*; oraz w kontrze, ostre ragga na bliskowschodnim podkładzie *Collosians 3,16"*– swoją drogą ciekawe, czemu nie została wydana na winylu? W roku popularności gęstych i „wschodnich" rytmów (Clapas, Divali) mogła stać się autentycznym hitem hal tanecznych (dancehall hit). Pozostaje jedynie mieć nadzieję, że ta ekipa odwiedzi nasz kraj (SLOT Art Festiwal 2005???) oraz że powstanie kiedyś w Polsce płyta tak umiejętnie łącząca to, co stare i nowe w muzyce z Jamajki – jak na dziś bowiem najlepsza płyta roots, drugi materiał Jafii Namuel, leży zakurzona w nieokreślonym miejscu trójkąta: Wisła – Piła – Londyn, najlepszy materiał dancehallowy – *Mówisz i masz* – poznańskiego Bass Medium Trinity jest wydany „na nielegalu", raggamuffinowa petarda w postaci pierwszego materiału Vavamuffin wciąż w produkcji, a jak się wydaje, najbliższy mentalnie Christafari – roots raggowy Ave Lion, boryka się z nieustannymi problemami wydawniczo-realizacyjno-finansowymi...

Adrianna Zas.

Różni wykonawcy
Strefa Chwały

MIGHTY GOD 2004



Strefa Chwały... to miejsce, gdzie Bóg otoczony jest chwałą przez swój Kościół, to miejsce, gdzie święci w Obecności Bożej trwają w miłości, to wreszcie dążenie i marzenie, które spełnia się już teraz – to też droga dla tych, którzy co roku od 13 lat przyjeżdżają na rekolekcje dla muzyków. Czytelnicy RUaH wiedzą o tym wydarzeniu, co roku piszemy o nim na łamach naszego pisma. Strefa Chwały to inicjatywa corocznych Spotkań Muzyków Chrześcijan zapoczątkowana w 1992 r. w Dursztynie i kontynuowana w Ludźmierzu, Rzepedzi, Rytychbłotach i Gródku n/Dunajcem. Staramy się przybliżyć klimat tych rekolekcji o tyle, o ile na papier można przelać to, co dzieje się w świecie dźwięków skierowanych w stronę Boga. Z pewnością tym, którzy jeszcze nie mieli okazji by na spotkaniach poprzez nagrania, które ukazały się w tym roku łatwiej będzie wejś. Na płycie „Strefa Chwały" zapisano fragmenty spotkań w Rytychbłotach (2002) i Gródku (2003). (Płyta dostępna pod adresem: strefachwaly@wp.pl) To rejestracja modlitw uwielbienia, w których brało udział kilkaset osób. Prowadziło je grono różnych muzyków, i mimo tak dużego zróżnicowania środków wyrazu i form wypowiedzi, wspólny jest duch, chociaż wypływający osobno z serca każdego uczestnika spotkań. Piotr Płecha, muzyk, który wielokrotnie nauczał na „Strefie Chwały" i przygotowywał do wydania ten materiał, opisuje go tak: *„Znajdziesz tu różnorodność sposobów wyrazu, od piosenek znanych, jednak w spontanicznie improwizowanych aranżacjach, przez średniowieczny hymn «Veni Creator Spiritus» w nowoczesnej formie, do «szalonych» jazzowych improwizacji. Usłyszysz modlitwę i prorokowanie dźwiękami, przemawiającymi mocniej niż słowa. Znajdziesz też całkowicie spontaniczne modlitwy, śpiewane wprost z serca i prorocze pieśni, improwizowane pod wpływem Ducha Świętego, bez żadnego przygotowania w jakiejkolwiek warstwie, kompozycyjnej, aranżacyjnej czy tekstowej, często zagrane w zaimprowizowanych składach zespołów"*. Niewątpliwie jest to poruszająca muzyka. Spokojna, ale też często bardzo energetyczna i żywiołowa; pełna pokoju (zwłaszcza wtedy, gdy piosenka przeradza się w śpiew w językach, gdzie różnorodne melodie spajają się w piękną harmonię dźwięków, pełną dynamicznych uniesień i wyciszeń), ale też odwagi w obnażeniu prawdy i prośbie o nawrócenie. O jednym z utworów Piotr pisze: *„«Zerwij zasłonę», to szczególny moment niewysłowionego błagania, modlitwy, której nie sposób wyrazić słowami (Rzym 8, 26-27). Muzyka, która woła, burzy duchowe mury i rozdziera duchowe zasłony, wstawienniczy płacz i krzyk z głębi serca Boga żyjącego w nas"*. Nie wypada mi tu oceniać gry bądź śpiewu poszczególnych muzyków, nie o to tutaj chodzi. Ta płyta wprowadza nas w strefę Chwały. Ważne, że przez to muzyczne uwielbienie Królestwo Boże staje się tu i teraz...

Beata Mencel

SILENCE
Jesteś blisko, jesteś wszystko

DR STUDIO 2004

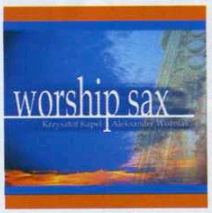


Zachęcam do zwrócenia uwagi na trzecią, w pełni autorską propozycję muzyczną ks. Andrzeja Daniewicza SAC i jego zespołu. Album *„Jesteś blisko, jesteś wszystko"* przynosi 11 dobrze skrojonych, przebojowych piosenek, które dotąd można było usłyszeć wyłącznie na koncertach grupy. *„Cisza, to akustyczny wymiar Prawdy"* – czytamy we wkładce płyty. *„Im ciszej, tym prawdziwiej – bliżej Boga, bliżej drugiego człowieka i bliżej siebie. Cisza nie jest pustką, przeciwnie – jest słuchaniem Pełni"*. Zespół Silence, chociaż nie zawsze gra cicho, z pewnością tę wewnętrzną ciszę w sobie pielęgnuje. Płytę otwiera tytułowa kompozycja – spokojna, intymna, jednak podskórnie tętniąca życiem dzięki pracy sekcji rytmicznej. Utwór *„To nie sen"* wnosi wiele oddechu i dźwiękowej przestrzeni. Nie powstydziłby się go sam Robert Janson. Znakomity saksofon i nastrojowe chórki dodają nowych kolorów w *„Aż tak mało"* i *„Ojcu Świętych Marzeń"*. To zresztą jedne z moich ulubionych piosenek na płycie, których refreny nieustannie krążą w mej pamięci. W *„Przesuń się, góro!"* cieszą pulsujące radością trójkowe podziały i chwytliwość refrenu. Nieco więcej funkowego groove'u dostarcza *„Alleluja o poranku"*, a rockowo-countrową zadziorność wprowadza na moment *„It's O.K."*. Potem następuje *„Pieśń nad Pieśniami"* zaśpiewana przez Gosię Bieńkowską z iście młodzieńczą ekscytacją i rozedrganiem, jakie towarzyszą zwykle pierwszemu zakochaniu. Płytę zamykają poświęcona Matce Bożej piosenka *„Idę do Ciebie"* oraz utwór finałowy *„Święty, Święty"*. Oszczędnie i ze smakiem zaaranżowany materiał muzyczny, sprawnie zagrane i zaśpiewane piosenki mają szansę trafić zarówno do szerszego, jak i bardziej wymagającego grona odbiorców. Przy odrobinie szczęścia i dobrej promocji – o którą na scenie chrześcijańskiej coraz trudniej – będzie to jeden z najbardziej liczących się tegorocznych debiutów.

(ar)

KRZYSZTOF KAPEL i ALEKSANDER WOŹNIAK
Worship Sax

FUNDACJA CLC 2004



„Chwalcie Pana dźwiękiem rogu, chwalcie Go na harfie i cytrze! Chwalcie Go bębnem i tańcem, chwalcie Go na strunach i flecie". Trudno stwierdzić, czy gdyby tekst Psalmu 150 powstawał w XXI wieku, autor uwzględniłby także saksofon wśród instrumentów chwalących Boga. W każdym razie na taki pomysł wpadł muzyczny tandem ze Śląska – Krzysztof Kapel i Aleksander Woźniak – nagrywając album „Worship sax". Już od pierwszych dźwięków wiadomo, że mamy do czynienia z profesjonalną i starannie przemyślaną produkcją. Dobrze wyeksponowany słodki ton saksofonu sopranowego, nowoczesny beat, gitarowe riffy, improwizacje, wokalizy i chórki nie pozostawiają wątpliwości co do zawodowstwa zaangażowanych w projekt muzyków. Natomiast materia muzyczna potwierdza, że wybrane na płytę utwory to dobrze skrojone i przebojowe kompozycje, mogące funkcjonować samodzielnie bez warstwy słownej. Tyle tylko, że brak słów, w moim odczuciu, spowodował pewne zatarcia w stosunku do pierwotnego przekazu, gdyż w sferze „uduchowienia" dźwięku Kapelowi bliżej raczej do Kenny'ego G. niż np. Garbarka. Album z pewnością nie zaskakuje oryginalnością wizji, jak to miało miejsce w przypadku płyty Hani. Flecistka TGD odświeżyła bowiem dawne, nieco zapomniane hymny, czyniąc z nich nową jakość. Na płycie „Worship sax" mamy do czynienia z instrumentalnymi wersjami „hitów" Praise & Worship, które z pewnością mogą się podobać, jednak nie odkrywają przed nami całkiem nowego świata. Co ciekawe – na tle popularnych amerykańskich melodii najjaśniej lśni kompozycja „Twoja Miłość" polskiego jazzmana Joachima Mencla, którą zaprezentowano tu w oryginalnej aranżacji. Wewnętrznie skupiona, niczym modlitwa, wręcz nie domaga się słownego dopełnienia – Duch płynie przez nią samoistnie. Nie mogło być chyba trafniejszego zwieńczenia tej płyty.

(ar)



G.Gałęziowski

z archiwum Y:

KGC

KRAKÓW GOSPEL CHOIR

This is the first Cracow Gospel Choir!" – wykrzyknął Duńczyk Peter Steinvig podczas koncertu finałowego I Warsztatów Gospel w Krakowie, myśląc o 40-osobowym chórze warsztatów, które w październiku 1999 roku poprowadził wraz z Ruth Lynch. Wydarzenie to okazało się historycznym przełomem w popularyzacji muzyki gospel w Polsce, a słowa Petera proroczymi. Wkrótce grupa entuzjastów – zarówno uczestnicy, jak i ci, którzy warsztaty zorganizowali – stała się zalążkiem rozwijającego się od tej pory Kraków Gospel Choir. Kierownikiem i prawdziwą spiritus movens chóru została Lea Kjeldsen – pomysłodawczyni i inicjatorka samych warsztatów, obywatelka Królestwa Danii mieszkająca od wielu lat w Polsce. W październiku 2001 r. jako druga dyrygentka dołączyła do niej Aleksandra Slawik (obecnie prowadząca chór Joyful Voice), po niej funkcję tę objął Adam Rymarz (aktualnie w Saruel i TGD). Początkowo chór spotykał się przy Staromiejskim Centrum Kultury Młodzieży, okazjonalnie uświetniając swymi występami rozmaite wydarzenia, jak wieczór poświęcony pamięci Martina Luthera Kinga, otwarcie międzynarodowego sympozjum w ramach V Europejskiego Tygodnia Autyzmu, obchody Tygodnia Ekumenizmu, czy jubileusz 50-lecia Oddziału Neuroinfekcji Szpitala Specjalistycznego im. Jana Pawła II. Od stycznia 2003 r. próby zespołu odbywają się w gościnnym wnętrzu Nordic House przy ulicy św. Anny 5.

KGC wykonuje zarówno tradycyjne jak i bardziej współczesne odmiany muzyki gospel, wywodzącej się z tradycji czarnych kościołów amerykańskich. W skład chóru wchodzą osoby w różnym wieku, o różnym stopniu znajomości języka angielskiego i różnym podejściu do spraw religii. Sami prowadzący nie ukrywają, iż pierwiastek duchowy pełni w śpiewie podstawową rolę. Chór występuje i daje koncerty w wielu kościołach w Krakowie, bierze udział w akcjach charytatywnych (m.in. koncert „Budować cywilizację miłości" w Filharmonii Krakowskiej w czerwcu 2002, wspólny występ z amerykańskim chórem Bisbee Community Chorus na rzecz dzieci autystycznych – „Z nadzieją w przyszłość" w czerwcu 2003), angażuje się w działania kulturalne i społeczne (obchody Święta Miasta Krakowa, warsztaty dla młodzieży szkolnej i gimnazjalnej, koncert wielkanocny dla więźniów). KGC dwukrotnie odbył trasę koncertową po Danii (w maju 2002 i 2004), dał też niezapomniane koncerty w Berlinie i dwóch czeskich miastach: Pradze i Pilźnie. 7 listopada 2004 roku zespół świętował 5-lecie istnienia, a podczas uroczystego koncertu w Centrum Kultury „Rotunda" miała miejsce premiera pierwszej płyty KGC – „Yes I know Jesus".

Kontakt z zespołem: Lea Kjeldsen
tel. (0-12) 432 84 50, 601 357 537
e-mail: kgc@gospel.com.pl
www.kgc.gospel.com.pl

zapistnik

Tośki Krzyszton



G.Gielert

Tej podróży nie odbędziesz ze mną
– Jest jedno miejsce

Migają korony drzew
Niebo jak polna droga
Gdy przekraczam granicę
Chaotyczne sztuczne światła
– Są przerażające

Całe szczęście przychodzi do mnie
Mały przewoźnik
Pierścienie złota otaczają głowę
Odwiedza mnie tylko we śnie – codziennie
Do momentu gdy usłyszę
„Po raz ostatni..."

Dlaczego trafiła mi się dolina?
Dlatego, że zbierają się w niej łzy
Odbijające światło księżyca i gwiazd?

Gdy świeci słońce
Widzę staw
Rudy urwis moczy nogi
I macha do mnie ręką


FLAMABLE
ROZPAL SERCE
magazyn muzyczny
RUaH 29
CD 37
ISSN 1428-5983 WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE ZAIKS/BIEM EGZEMPLARZ NIE MA SPRZEDAŻ